

Uwielbiam  
kryminaty  
Sary Blædel

**Camilla Läckberg**

**SARA  
BLÆDEL**

# ZWIASTUN ŚWIERCI

Prószyński i S-ka

**SARA  
BLÆDEL**  
**ZWIASTUN ŚMIERCI**

Przełożyła  
Iwona Zimnicka

Prószyński i S-ka

# Spis treści

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12

13 14 15 16 17 18 19 20 21

22 23 24 25 26 27 28 29 30

31 32 33 34 35 36 37 38 39

40 41 42 43 44 45 46 47

48 49 50 51 52

**PODZIĘKOWANIA**

Przenikliwy zapach acetonu aż szarpał w nozdrzach. Sączył się przez szpary wokół drzwi i przenikał w mrok. Piwnicę oświetlały jedynie lampy na suficie, bo замуrował wszystkie okna. Framugi zlewały się teraz w jedno z podmurówką, na której wznosił się dom.

Przez chwilę stał w korytarzu, zakładając maseczkę i starannie naciągając na szczupłe palce lateksowe rękawiczki.

Pedant.

Słyszał własny oddech i wyczuwał wilgoć tkwiącą w ścianach piwnicy. Ze zdziwieniem pomyślał, że urządzenie do osuszania powietrza mimo dużej mocy i filtrów węglowych działa tak mało skutecznie. Chociaż zaczął je włączać na całą dobę, wciąż nie mógł się pozbyć zapachu. Ale zdążył się już do niego przyzwyczaić.

Odpowiadało mu to, że do piwnicy nie było bezpośredniego dostępu z parteru. Aby znaleźć schody, należało wyjść do ogrodu. Zaraz po zakupie domu zamontował w drzwiach mocne zamki.

Z kieszeni fartucha wyjął trzy klucze. Żółty otwierał beziskrową chłodnię, w której stała zamrażarka, a niebieski – pokój z dwumetrową wanną i pompą próżniową. Ostatni klucz, czerwony, umożliwiał dostęp do pomieszczenia położonego na samym końcu, do wystawy, jak to nazywał, gdzie stały w rzędzie trzy podłużne witryny – szklane trumny.

Zadbał o odpowiednie oświetlenie trzech leżących w nich kobiet. Lampy rozmieścił ze starannością fotografika portrecisty, tak aby światło padało łagodnie, żaden cień nie był zbyt mroczny, a wszystkie szczegóły pozostawały wyraźne.

Pracował już nad oświetleniem kolejnej witryny, która wkrótce będzie gotowa do przyjęcia następnej kobiety, i poprzesuwał wszystko, żeby zrobić na nią miejsce.

Przez chwilę stał, przyglądając się trzem nagim ciałom.

Były takie piękne. Miały różne kształty, idealnie tak, jak zaplanował. Jedno było szczupłe, drugie określiliby jako normalnej budowy. No i jeszcze to najpiękniejsze w całej kolekcji, to o najbardziej kobiecych kształtach, z dużymi ciężkimi piersiami i pełnymi udami. Pogładził dłonią biodro i poczuł, że krew już zaczyna odrobinę szybciej krążyć w jego żyłach, zapowiadając erekcję.

Zawsze bardzo się starał odtworzyć pierwotne kształty kobiet. Dokładnie je fotografował, od przodu i z boku, aby wiedzieć, na jaką wysokość powinny wznosić się piersi i jak ma się rysować linia nad talią. Zainspirowały go wystawy *Bodies* i *Cielesne światy* Günthera von Hagensa. Zafascynowała myśl o możliwości zachowania kobiecego piękna na wieczność.

Jasnowłosa nie prezentowała się jeszcze najlepiej w ostrym świetle jarzeniówek. Leżała w pustej stalowej wannie, a jej nagie ciało zapadło się w sobie. Przez ostatnie miesiące aceton wyciągał z tkanek całą wodę i tłuszcz. Mimo to po plecach przebiegł mu przyjemny dreszcz. Wspólnie wkraczali teraz w fazę końcową. Otaczał go sterylny chłód. Ściany pokrywały białe kafelki, a na końcu pomieszczenia stał stalowy stół na chemikalia i silikon. Obok kanistrów leżały węże, a także drewniane pudełko.

Podszedł bliżej, ale spuścił wzrok. To był najbardziej przykry etap całego procesu. Puste oczodoły, zapadnięta twarz. Pod obwisłym kokonem skóry zostały jedynie mięśnie i kości. Mimo to i tak dostrzegał piękno tego ciała, które zamierzał kształtować. Pod obcisłym czepkiem widać było długie jasne włosy chronione przed ciecżą. Pięknie będą wyglądały, gdy opadną na idealnie wymodelowane ramiona. Niczym artysta czuł miłość do swojego dzieła, rosnącą z każdym krokiem zbliżającym go do zakończenia.

Prawdę mówiąc, największe zaskoczenie przeżył za pierwszym razem.

Nie przygotował się psychicznie na tak wielką zmianę, jaka zaszła w tej pięknej kobiecie. Oczywiście dobrze wiedział, że ciało w siedemdziesięciu procentach składa się z wody, która zniknie w wyniku kąpieli acetonowej wraz z dziesięcioma, piętnastoma procentami innych substancji, mimo to widok niemal zwałił go z nóg i musiało minąć kilka dni, zanim wrócił do piwnicy, by dokończyć dzieła.

Ale nawet nie śniła mu się ta euforia, jaką przeżył, gdy silikon nasączający tkanki w końcu stwardniał, przywracając kobiecie wszystkie jej poprzednie kształty, i to z pewnym naddatkiem.

Poczuł się wtedy jak mistrz stworzenia.

Podszedł do stołu, rozwinął węże, przeniósł wielkie pojemniki z silikonem na stolik na kółkach i przysunął go do wanny. Z każdego pojemnika wychodziły dwa węże. Spojrzał na zegarek. Wypełnienie wanny potrwa niespełna pół godziny, a kiedy to nastąpi, zamknie pokrywę i zwiększy ciśnienie. Ona dalej będzie tam leżeć, podczas gdy silikon zacznie przenikać do komórek skóry i wypełniać jej ciało.

Za pomocą niewielkiego noża zdjął z pojemników kapturki ochronne i zaczął przelewać silikon. Początkowo szło mu to dość opornie, chociaż zadbał o to, by silikon był odpowiednio rozgrzany i płynął równym strumieniem, ale w końcu się udało. Gęściejsza od wody substancja już gromadziła się na dnie.

Cały proces wymagał wielkiej cierpliwości i staranności.

Te kobiety były jak małe dzieła sztuki. A może nawet wielkie dzieła, pomyślał, zamykając drzwi, aby w pełni skoncentrować się na jasnowłosej. Był jej to winien.

## 2

Nie, niestety, pani Milling. Z tego, co wiem, wciąż nie ma żadnych nowych wiadomości na temat pani córki – przepaszającym tonem powiedziała do słuchawki Louise Rick.

Pociła się w dresie. Właśnie wróciła na komendę po sześciu godzinach spędzonych z pozostałymi członkami grupy negocjacyjnej. Zaplanowane już dawno ćwiczenia koncentrowały się na samobójcach. O siódmej rano spotkali się koło mostu łączącego Zelandię z Amager i chociaż Louise robiła to już nie pierwszy raz, to jeszcze się nie przyzwyczała do zwisania z mostu na linie i nakłaniania wymagowanego kandydata na samobójcę do zmiany decyzji. Ale dzisiaj wszystko poszło gładko i Thiesen, szef grupy, z zadowoleniem stwierdził, że coraz lepiej daje sobie radę. Następnym razem miał być most przez Wielki Bełt.

– Oczywiście rozumiem pani niepokój. To rzeczywiście długi okres bez żadnego znaku życia.

Louise osunęła się na krzesło i rozpięła bluzę. W pokoju było gorąco i duszno, bo grzejnik ustawiono na maksimum ze względu na zimowe chłody. Na podłodze zobaczyła brudne ślady pośniegowego błota, które sama zostawiła. Weszła tu na chwilę i zaraz zamierzała wyjść, gdy zadzwoniła pani Grete Milling.

Rzadko mijał tydzień między telefonami emerytki, a zdążyło już upłynąć ponad pół roku od dnia, gdy jej dorosła córka Jeanette zniknęła podczas urlopu na hiszpańskim Costa del Sol. Sprawą zajmowała się policja hiszpańska, badali ją też funkcjonariusze z Wydziału Osób Zaginionych Komendy Głównej Policji. Mimo to starsza pani regularnie dzwoniła również do Wydziału Zabójstw Komendy Miejskiej w Kopenhadze dowiedzieć się, czy są jakieś nowe wieści.

Louise spojrzała na zegarek. Musiała odebrać Jonasa ze szkoły, bo miał

wizytę u ortodonty.

– Jestem pewna, że policja w Hiszpanii ciągle szuka Jeanette – pocieszyła nieszczęsną matkę, chociaż szczerze w to wątpiła.

Władze hiszpańskie miały zbyt wiele podobnych spraw: spragnione miłości kobiety ze Skandynawii często traciły głowy dla gorących egzotycznych mężczyzn i postanawiały przeżyć spontaniczną przygodę. Takich zaginięć nie traktowano więc całkiem poważnie, zwłaszcza gdy chodziło o bezdzietną singielkę po trzydziestce. Jedyną rzeczą, która mogła niepokoić policję w przypadku Jeanette Milling, był fakt, że od chwili zgłoszenia jej zaginięcia nie odnotowano żadnych operacji na jej koncie bankowym.

Grete Milling jakby wyczuła, że Louise jej nie słucha, ponieważ chrząknęła i powtórzyła:

– Próbowалам też kontaktować się z dziennikarzem, który pisał o sprawie Jeanette tuż po jej zaginięciu. – Wyjaśniła, że chciała się od niego dowiedzieć, czy nie znalazł czegoś, co mogłaby wykorzystać policja. – Ale on już tam nie pracuje, a człowiek, z którym rozmawiałam, w ogóle nic nie wiedział o Jeanette. Wszyscy jakby o niej zapomnieli.

Jeanette Milling poleciała z biurem podróży Spies z Billund do Malagi. Na lotnisku czekał już rezydent gotów na powitanie gości. Dobrze pamiętał wysoką kobietę z długimi jasnymi włosami, ale ich kontakt ograniczył się do wskazania jej autobusu, którym turyści mieli dojechać do hotelu w Fuengirolí. Od tamtej pory jej nie widział. W „Morgenavisen” opisywano również, że Jeanette Milling dotarła do hotelu i dostała pokój z widokiem na morze. Pewne było, że w hotelu spędziła cztery dni. Co rano, gdy schodziła na śniadanie, odhaczano ją na liście. Ale piątego dnia już się nie pojawiła.

Robiła zakupy w niewielkim supermarkecie w pobliżu. Policja potwierdziła to, sprawdzając wyciągi z jej konta. Wielu gości widziało ją przy basenie i w hotelowej restauracji. Opisywano ją jako osobę



uśmiechniętą i otwartą, pamiętano, że rozmawiała z ludźmi. I nagle zniknęła. W jednej chwili urwały się wszelkie ślady. Jej sprawę obszernie omawiano w mediach. „Morgenavisen” wysłała nawet dziennikarza i fotografa na Costa del Sol, aby prześledzili poczynania kobiety, zanim zapadła się pod ziemię. Ale to było pół roku temu. Cała historia dawno już przycichła i nikt więcej nie pisał o zaginionej córce Grete Milling.

– Możliwe również, że pani córka po prostu nie chce zostać odnaleziona – próbowała tłumaczyć Louise.

Cisza na drugim końcu linii kazała jej spuścić wzrok.

– Nie – rozległ się w końcu cichy, ale zdecydowany protest. – Nigdy nie zostawiłaby mnie w takiej niepewności.

Jeanette Milling mieszkała niedaleko Esbjerg, a od jej zniknięcia matka opłacała czynsz, tak aby córka nie straciła mieszkania. Jeanette przez ostatnich sześć lat pracowała jako sekretarka i recepcjonistka u dwóch fizjoterapeutów. Louise niewiele więcej o niej wiedziała. Poza tym nie była to sprawa, której musiała poświęcać czas. A już na pewno nie dzisiaj, pomyślała, znów patrząc na zegarek. Ale nie potrafiła zignorować telefonów od pani Milling, która ciągle dzwoniła pełna nadziei.

– Oczywiście, proszę za jakiś czas znów zadzwonić – powiedziała na zakończenie i odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę jeszcze siedziała, poruszona osamotnieniem, jakie najwidoczniej odczuwała matka po zniknięciu córki. Było coś wzruszającego w tej kobiecie, niezłomnie wierzącej w odnalezienie dziecka pomimo upływu tak długiego czasu. Prawie nie dawało się myśleć o dniu, w którym ktoś będzie musiał zgasić tę nadzieję i powiedzieć jej wprost, że może już zerwać umowę wynajmu mieszkania córki.

– Napijesz się ze mną kawy? – spytał Lars Jørgensen, przystając w drzwiach.

Louise pokręciła głową.

– Jonas idzie do ortodonta, więc muszę już lecieć – wyjaśniła,

jednocześnie sprawdzając esemesa, który przyszedł w trakcie rozmowy telefonicznej. „Zwolnili mnie wcześniej. Przyjedź po mnie do domu” – napisał chłopiec. – Widzimy się jutro – rzuciła Louise i uśmiechnęła się, kiedy Lars zaczął nucić *Pani domu ma zawsze coś do zrobienia*.

### 3

Nie było go tam! – niemal wrzasnął Carl Emil Sachs-Smith, gdy w czwartek przed południem, ignorując protesty recepcjonistki, wpadł do kancelarii adwokata Miklosa Wedersøgo w Roskilde, nie myśląc nawet o tym, że może w czymś przeszkadzać. – Został tylko sterczący gwóźdź!

Poczuł, że lepki pot spływa mu po plecach pod golfem, i rzucił płaszcz na podłogę. Zmęczony usiadł ciężko w fotelu naprzeciwko adwokata. Słynna witrażowa ikona wisiała w tamtym miejscu, odkąd sięgał pamięcią. Przez chwilę siedział z zamkniętymi oczami, czując, że krew z trudem dociera do jego mózgu, chociaż krążyła w ciele w takim tempie, od którego robiło mu się słabo.

– Nie rozumiem tego – szepnął, jakby słowa nie chciały mu przejść przez usta. – Przecież zawsze wisiał nad biurkiem ojca.

Minęło już pół roku od czasu, gdy wyjawiał adwokatowi rodzinną tajemnicę *Anioła śmierci*. W pewien wieczór pod koniec lata po zebraniu zarządu firmy Termo-Lux poszli we dwóch na kolację do restauracji w hotelu Prindsen w Roskilde. Siostra Carla Emila pojechała do domu, do córeczki, a Carl Emil przy koniaku opowiedział, w jaki sposób jego dziadek wszedł w posiadanie legendarnej ikony.

Jako młody szklarz z Roskilde dziadek otrzymał zlecenie na renowację witraży w katedrze. Właśnie do tej pracy sprowadził z Polski kilka partii starego kościelnego szkła. Wśród wielkich żelaznych ram, kilkusetletniego kurzu i barwionego szkła ujrzał nagle anioła śmierci. Początkowo dziadek oczywiście nie zdawał sobie sprawy z tego, iż trzyma w rękach skarb liczący sobie blisko tysiąc lat. Prędko jednak się zorientował, że to niezwykle przedmiot. Po przeczytaniu wielu książek na temat historii religii dowiedział się, że ikona zdobiła niegdyś świątynię Hagia Sophia, będącą głównym kościołem cesarstwa bizantyjskiego aż do czasu, gdy Turcy w 1453 roku

podbili Konstantynopol, a sułtan przekształcił prawosławną świątynię w meczet.

Carl Emil opowiedział również, jak legenda o niezwykłej ikonie uczyniła z niej jeden z najbardziej pożądaných przez kolekcjonerów skarbów kultury. W czasach, gdy *Anioł śmierci* zdobił Hagię Sophię, co po grecku znaczy „Święta Mądrość”, stanowił część dużej przeszklonej partii w bocznej nawie kościoła, nad wersetami wyrytymi w łukach nad wyrzeźbionymi z marmuru pawimi ogonami. Podobno szkło tego witraża w czystych niebieskich odcieniach rzucało krąg światła na posadzkę między dwiema grubymi, ozdobionymi szklaną mozaiką kolumnami, które stały po obu stronach ściany z oknami. Legenda głosiła, że pewnego dnia do kościoła przyszedł zrozpaczony wieśniak, by modlić się o wybaczenie za zabójstwo podłego złodzieja, który pod osłoną nocy usiłował skraść mu dwie sztuki bydła. Wieśniak rzucił w uciekającego złodzieja podniesionym z ziemi kamieniem, a ten jeden rzut okazał się celny i złodziej już więcej się nie podniósł. W kościele wieśniak stanął w kręgu światła i wpatrzony w witraż zaczął błagać o wybaczenie. Później opowiadał, że światło nagle nabrało intensywności i przemówił do niego anioł śmierci: „Twoje grzechy zostaną ci odpuszczone”. Z ulgą, ale i z przerażeniem w sercu wieśniak wrócił do domu. Podobno nigdy nie był ścigany za to zabójstwo, a jego historia szybko się rozeszła i tysiące ludzi zaczęły pielgrzymować do Hagii Sophii, aby uzyskać rozgrzeszenie.

Adwokat pozbierał papiery leżące przed nim na biurku, włożył je do teczki, którą odsunął na bok, i spojrział na Carla Emila.

– Kto jeszcze wie o istnieniu tej ikony? – spytał z powagą i chusteczką wytarł łysą czaszkę. – Zastanów się.

– Nikt, tylko rodzina – odparł wzburzony Carl Emil. – Chociaż przez lata wielu historyków sztuki i kolekcjonerów antyków bardzo usilnie starało się ją odnaleźć. Z moim ojcem wielokrotnie kontaktował się pewien niemiecki historyk sztuki, przekonany, że wpadł na ślad *Anioła*. Twierdził, że może

udokumentować drogę, jaką ikona przebyła z Konstantynopola po roku 1453 przez Bułgarię, Rumunię, Węgry, Słowację i później Polskę, nawet z podaniem konkretnych dat i miejsc. Ojcu jednak za każdym razem udawało się go przekonać, że trafił w ślepy zaułek. Czyżby dotarł do niej teraz, kiedy dom rodziców stoi pusty?

W goście rozpaczy zwichrzył jasne włosy i ukrył twarz w dłoniach, w milczeniu kręcąc głową. To Wedersøe po kolacji w Prindsen zaproponował Carlowi Emilowi sprawdzenie, ile poszukiwana ikona może być warta na rynku. Ustalili, że adwokat na razie delikatnie wybada teren, by dowiedzieć się, czy zgłosiłby się odpowiedni kupiec. Jego pośrednik w Nowym Jorku przeprowadził wywiad w niewielkim kręgu ekscentrycznych kolekcjonerów dysponujących dostateczną ilością gotówki, pozwalającą na nielegalne nabywanie dzieł sztuki i zaginionych skarbów kultury, które uznane domy aukcyjne określały jako bezcenne, i dziesięć po trzeciej w nocy duńskiego czasu Miklos Wedersøe odebrał telefon z wiadomością, że padła konkretna oferta zakupu *Anioła*. W przeliczeniu na duńską walutę było to około miliarda dwustu milionów koron.

Ta sama informacja kazała następnego dnia rano wskoczyć Carlowi Emilowi do swojego czarnego range rovera i z szumem w uszach pognać do wspaniałej posiadłości rodziców pod Roskilde, żeby zabrać stamtąd witrażową ikonę. Dom stał pusty od blisko pół roku, czyli od czasu zniknięcia ojca po samobójstwie matki. I choć większość ludzi uważała, że Walther Sachs-Smith postanowił pójść w ślady żony, jego ciała jeszcze nie odnaleziono, dlatego dom nad fiordem wciąż przypominał muzeum, którego nikt nie odwiedza.

– Co my zrobimy?! – zawołał Carl Emil, patrząc na łysą czaszkę adwokata, drogi garnitur i pomadkę do ust leżącą przed nim na stole.

Tamtego wieczoru w Prindsen Miklos Wedersøe odwdzieczył się za wyznanie Carla Emila opowieścią o swoim dzieciństwie. Jego matka była Rosjanką, ojciec Duńczykiem, który w Rosji, komunistycznej w owych

czasach, bawił jedynie przejazdem. Miklos już go nie pamiętał, bo zniknął, zanim ten skończył dwa lata, i nie zostawił synowi niczego oprócz zdjęcia i nazwiska, które brzmiało fatalnie, gdy w klasie odczytywano listę obecności. Matka zmarła, gdy Miklos miał czternaście lat, i po jej śmierci postanowił kontynuować naukę w szkole z internatem w Danii.

Oczywiście zrobił to ze względu na ojca, tego Carl Emil był pewien. Ale Miklosowi nie chodziło o nawiązanie kontaktu z ojcem, raczej o pokazanie mu, że daje sobie radę bez niego. Właśnie za to podziwiał go Carl Emil. I rzeczywiście należało przyznać, że Miklos Wedersø świetnie sobie radzi zawodowo, zasiadając w zarządach kilku znakomicie prosperujących spółek.

W tej chwili jednak Carl Emil nie potrafił zrozumieć, jak w ogóle prawnik mógł zachowywać taki spokój. Przecież miał zgodnie z zawartą przez nich umową otrzymać prowizję w wysokości dwudziestu procent ceny sprzedaży, bo to on ponosił ryzyko i koszty zaangażowania swojego informatora.

Wedersø wyciągnął jakąś plastikową teczkę i podsunął ją Carlowi Emilowi. W środku był rysunek przedstawiający anioła śmierci z wielkimi skrzydłami i lilią w ręku. Chociaż sprawiał wrażenie pospiesznie sporządzonego szkicu, dobrze oddano kolory: srebrny, jasnoniebieski, głęboki granat. Właśnie tak wyglądała witrażowa ikona, która wisiała w gabinecie jego ojca.

– Napisano tutaj, że uważa się, iż aniołem śmierci jest archanioł Gabriel. Ma on związki z magią i działa za pośrednictwem ludzkiej podświadomości – powiedział adwokat. – Takie informacje podał historyk sztuki z Niemiec, który od dłuższego czasu poszukuje świętej ikony. – Położył rękę na papierach i wyjaśnił, że dokumenty te znalazł w starych teczkach w archiwum ojca Carla Emila. – Leżały razem z korespondencją, którą twój ojciec prowadził z nim przez lata. – Wyjął kartki z teczki. – Zerknij na wymiary wypisane na marginesie – poprosił.

Carl Emil przyjrzał się rysunkowi, ale nie bardzo rozumiał liczby z boku.

– Jakiej wielkości była ikona waszego ojca?

– Z całą pewnością nie miała sześćdziesięciu na osiemdziesiąt centymetrów – odparł Carl Emil. – Była o wiele mniejsza.

Miklos Wedersøe pokiwał głową.

– Ale prawdziwy witraż ma właśnie takie wymiary. To zresztą o wiele bardziej pasuje do wielkości kościoła, skoro miał zajmować wyeksponowane miejsce w szerokiej nawie bocznej.

Carl Emil usiadł głębiej w fotelu i założył ręce za kark, wichrząc włosy z tyłu. Na chwilę zamknął oczy, starając się zapanować nad wzburzeniem.

– Czy to oznacza, że mój dziadek znalazł jedynie marną kopię? – spytał.

Wedersøe pokręcił głową.

– Sądzę raczej, że to wasz ojciec kazał wykonać kopię prawdziwej ikony.

Carl Emil otworzył oczy i pochylił się z zainteresowaniem.

– Do tego rysunku dołączony był rachunek wystawiony przez słynnego artystę. Ten człowiek, niestety, już nie żyje, ale rachunek pochodzi z 1986 roku i właściwie jestem przekonany, że właśnie w tym czasie twój ojciec zamówił kopię.

Carl Emil się wyprostował.

– To znaczy, że z gabinetu zniknęła tylko kopia?

– Tak – potwierdził Wedersøe. – Właśnie tak uważam. Ale jej zniknięcie może wskazywać, że na ślad ikony wpadł ktoś inny. No i oczywiście pozostaje kwestia tego, kto pierwszy znajdzie oryginał.

Carlowi Emilowi nagle zmąciło się w głowie. Poczł się zagrożony, chociaż nie wiedział, z której strony powinien spodziewać się ataku.

– Kto ma dostęp do domu waszych rodziców? – spytał adwokat.

– Nikt. – Carl Emil pokręcił głową. – Alarm jest włączony, więc do środka możemy wejść tylko moja siostra i ja. Zmieniliśmy kod, bo nie wiedzieliśmy, komu rodzice przekazali stary. Mieli przecież gospodynię i sprzątaczkę, które przychodziły kilka razy w tygodniu.

– Czy to oznacza, że gdyby wasz ojciec nagle się pojawił, nie mógłby wejść do własnego domu? – spytał adwokat.

Carl Emil westchnął i lekko się skulił.

– On już nie wróci. Za dużo czasu upłynęło. Przestałem w to wierzyć – wyznał, nagle smutniejąc i przypominając sobie o swojej stracie. – Mogliśmy usunąć z domu wszystkie wartościowe rzeczy, ale to przecież oznaczałoby niemal całe wyposażenie. Zresztą nie wolno nam nic stamtąd zabierać, dopóki nie przeprowadzimy postępowania spadkowego.

Adwokat pokiwał głową.

– Rozmawiałeś z siostrą? – spytał.

– Już tu jedzie – odparł Carl Emil, czując ściskanie w piersi.



Z takim wyglądem nie będę się mógł nigdzie pokazać! – prychnął Jonas ze złością, gdy wrócili do domu od ortodonty.

Louise pogłaskała go po policzku.

Szyny. Wiedziała, że to nie będzie przyjemne dla dwunastolatka. Już dziesięć dni temu założono mu na stałe aparat na dolne zęby, a teraz dołączył do niego drugi, na górnej szczęce.

– Przyzwyczaisz się – powiedziała, na szczęście nie dodając kolejnych frazesów. Stwierdzenie, że chłopiec później będzie z tego zadowolony, na pewno by go nie pocieszyło. – Na początek tylko Camilla i Marcus cię zobaczą. Mieli pod drodze wstąpić do lodziarni, niedługo przyjdą.

– Nie chcę żadnych lodów! A oni nie muszą przychodzić, żeby się na mnie gapić!

Przerwał im odgłos miękkich łap biegnących po podłodze i chwilę później, wesoło merdając ogonem, pojawiła się Dina. Żółty labrador skakał od Louise do Jonasa, kiedy się zorientował, że wrócili do domu. Był wprawdzie zupełnie głuchy, ale i tak zawsze wyczuwał, kiedy ktoś przychodził. Radośnie kręcił się teraz wokół nich, liżąc nogawki Louise, a Jonas w końcu usiadł na podłodze i zaczął się z nim bawić, nie przejmując się tym, że w uśmiechu odsłania cały metal w ustach.

Przybrany syn Louise wkrótce miał skończyć trzynaście lat, a nie minął jeszcze rok od tragedii, w której wyniku policjantka nagle stała się najbliższą mu osobą. Nikogo innego Jonas nie miał, żadnych krewnych. Jego matka zmarła na nieuleczalną chorobę krwi, gdy ledwie skończył cztery lata, lecz kiedy Louise go poznała, chłopiec wyraźnie pogodził się już z tą stratą i dobrze mu się żyło tylko z ojcem. Wkrótce jednak cały jego świat znów się zawalił, gdy ojca zastrzelono na jego oczach.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Louise to sam Jonas ją wybrał i poprosił o to,

by mógł zamieszkać z nią do czasu znalezienia dla niego rodziny zastępczej. Początkowo Louise traktowała opiekę nad chłopcem jako rozwiązanie tymczasowe. Podjęła się jej po prostu dlatego, że nie miała serca mu odmówić. Zawsze ceniła sobie niezależność i możliwość bycia panią własnego czasu. Teraz zaś należało to już do przeszłości. W jakimś bowiem momencie uświadomiła sobie, że przy Jonasie czuje się szczęśliwsza. Obecnie nowa rodzina chłopca składała się z Louise, Melvina, starszego pana, który mieszkał pod nimi, i Diny, żółtego labradora, którego niedoszły narzeczony Louise, Kim, wbrew jej woli wypożyczył chłopcu na czas nieokreślony.

Jonas coraz rzadziej wracał do przeszłości. Na początku dużo rozmawiali o wszystkich miłych wspomnieniach związanych z dzieciństwem, ale później chłopiec jakby odnalazł się w nowym życiu. Tak przynajmniej uważała Louise. Niedawno jednak nastąpiła zmiana. Spokojny, miły Jonas, niemal na każdym kroku okazujący wdzięczność za to, że może z nią mieszkać, nagle spochmurniał i zamknął się w sobie. Louise wydawało się, że rozumie przyczyny. W ciągu tego roku wiele się wydarzyło. Jonas stracił również przyjaciółkę z klasy, która jesienią zginęła w wypadku. Taka reakcja nie powinna dziwić. Tyle że ona jeszcze nie przyzwyczała się do tego nowego Jonasa, odcinającego się od niej, złoszczącego się i grymaszącego. Może pora porozmawiać z Jakobsenem, psychologiem, z którego wiedzy w razie potrzeby korzystał Wydział Zabójstw?

Louise przeszła do kuchni. Po dzisiejszych ćwiczeniach bolały ją ręce – od poprzedniego takiego wysiłku minęło już sporo czasu. Była członkiem grupy negocjacyjnej od 2006 roku. Komisarz Willumsen, jej bezpośredni szef z Wydziału Zabójstw, stale się złościł na ćwiczenia odbywające się w godzinach pracy, mimo że to właśnie on wytypował ją na ten kurs prowadzony przez specjalistów z FBI. Grupa negocjacyjna liczyła trzynaście osób i chociaż przynależność do niej nie wywierała bezpośredniego wpływu na pracę Louise, w każdej chwili mogła zostać wezwana, dlatego zawsze

musiała mieć przy sobie telefon przeznaczony do kontaktów z grupą. Oczywiście mogła odmówić udziału w akcji i poprosić, by zastąpił ją ktoś inny, ale wiedziała, że jeśli Thiesen zadzwoni, z pewnością stawi się na jego sygnał.

Pomyślała, że musi znów zacząć biegać. Ale tak trudno było wyjść z domu zimą. Mogłaby jednak zabierać ze sobą Dinę, mimo że Jonas wbrew jej wcześniejszym przypuszczeniom rzeczywiście regularnie wychodził z psem.

Ortodonta zapowiedział, że w pierwszych dniach Jonas będzie mógł jeść tylko lody, zupę i jogurt. Przygotował go też na możliwość odczuwania silnego bólu, gdy będzie ranił wewnątrz policzków o ostre brzegi aparatu, chociaż aby temu zapobiec, dostali do smarowania metalowej szyny tubkę wosku.

Louise położyła ją teraz na kuchennym stole i wstawiła wodę, żeby kawa była gotowa, gdy przyjaciółka i jej syn przyjdą z poczęstunkiem dla Jonasa. W tej samej chwili zadzwonił domofon.

– Otworzysz? – spytała, ale ponieważ Jonas nie odpowiedział, sama wyszła do przedpokoju.

Drzwi do mieszkania okazały się otwarte. Chłopca ani psa nie było widać. Zniknęła też smycz wisząca na haczyku.

Domofon rozległ się jeszcze raz. Louise sama więc wpuściła Camille i Markusa.

– Spotkaliście Jonasa na schodach? – spytała, gdy dotarli na czwarte piętro.

Pokręcili głowami.

– No to nie wiem, gdzie on jest – powiedziała głównie do Markusa. – Na pewno niedługo wróci, a na razie możesz po prostu iść do jego pokoju. Telewizor jest już chyba włączony.

MTV leciało niemal przez całą dobę, niezbyt głośno, ale na okrągło.

Louise weszła do kuchni, założyła na dzbanek z kawą pokrywkę,

poprosiła Camillę o wyjęcie miseczek do lodów i razem przeszły do salonu.

– Byłam dzisiaj u Nymanda – oznajmiła przyjaciółka, gdy już usiadły.

– To ciekawe – odparła Louise, ale jej irytacja wywołana zniknięciem Jonasa rosła. Możliwe, że wkraczał w okres dojrzewania i odzywała się w nim próżność, ale przecież nie mógł tak zniknąć z domu tylko dlatego, że miał aparat na zębach. – No i jak poszło?

– Dobrze. Bardzo ci dziękuję za pomoc.

Camilla знаła komendanta policji w Roskilde jeszcze z czasów, gdy pracowała tam jako dziennikarka „Roskilde Dagblad”, ale doszła do wniosku, że to nie wystarczy w sprawie, z którą zamierzała się do niego zwrócić. Chciała, by potraktował ją poważnie, dlatego poprosiła Louise, by do niego zadzwoniła.

– Nie wiem, czy nie uznał mnie za wariatkę, ale jestem pewna, że twoje wstawiennictwo bardzo pomogło.

– Przecież jesteś wariatką, więc o to nie można by mieć do niego pretensji – zażartowała Louise.

– Możliwe – przyznała przyjaciółka, sięgając po filiżankę. – Ale nie w tej sprawie. Jestem przekonana, że Inger Sachs-Smith została zamordowana, a komuś się upiekło.

Louise pokręciła głową.

– Skąd możesz mieć taką pewność? – spytała, chociaż Camilla już wcześniej zdradziła jej tajemnicę i opowiedziała, jak podczas swojej dwumiesięcznej podróży po Ameryce na hawajskiej plaży, przed domem oddanym do dyspozycji jej i Markusowi spotkała zaginionego bez śladu Walthera Sachs-Smitha. Louise nie mogła tylko pojąć, skąd bierze się pewność przyjaciółki co do tego, że żona starszego pana nie popełniła samobójstwa i że sam Walther Sachs-Smith nie maczał palców w jej śmierci.

– To dlatego, że nie znasz całej tej historii – oświadczyła Camilla, gdy Louise ponownie wyraziła swoje wątpliwości.

– Możliwe – przyznała Louise. – Ale trudno mi to przyjąć, skoro nie

chcesz mi zdradzić, co jeszcze wyjawiał ci Walther Sachs-Smith i jak uzasadniał swoje podejrzenia.

Camilla dokończyła lody, potem wzięła filiżankę do ręki, a nogi położyła na stoliku przy kanapie.

– Nie chcę, żebyś to rozgadała – powiedziała tonem nastolatki szykującej się do zwierzeń.

Louise pokręciła głową. Na razie nie miała pojęcia, co miałyby rozgadać, wiedziała jedynie, że Camilla zakochała się w najstarszym synu Walthera Sachs-Smitha, Frederiku, którego poznała w trakcie podróży wzdłuż Zachodniego Wybrzeża, i że podczas pobytu na Hawajach musiała dowiedzieć się czegoś ważnego, skoro postanowiła zaangażować w sprawę szefa Komendy Policji na Środkową i Zachodnią Zelandię.

– Nikomu nie powiem ani słówka – obiecała Louise, a jej irytację wywołaną zniknięciem Jonasa powoli zaczął zastępować niepokój.

Moja żona nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana. – Walther Sachs-Smith patrzył na Camillę bez jednego mrugnięcia, chcąc w ten sposób podkreślić wagę swoich słów.

Wciąż miała go przed oczami i niemal czuła ten wiatr, który nadciągnął od oceanu, kiedy siedzieli na tarasie przed domem na plaży na wyspie Kauai. Ocean Spokojny był bardzo niespokojny, fale waliły z coraz większą siłą, porywy wiatru szarpały liśćmi palm. Camilla czuła się podobnie, gdy starszy pan nachylił się do niej, mocno marszcząc czoło i spoglądając na nią ze smutkiem.

– To zabójstwo tylko upozorowano na samobójstwo - wyjaśnił. – Ale przecież zorientowałem się, że ktoś obcy był w domu. Zabójcy zamordowali Inger, ale nie znaleźli tego, po co przyszli.

Na chwilę się zamyślił, lekko się przy tym uśmiechając. Camilla wciąż go obserwowała. Od dwóch miesięcy, a konkretnie od pogrzebu żony, uważano go za zaginionego, a ona historię tej tragedii знаła wyłącznie z gazet. Inger Sachs-Smith znaleziono w sypialni. Na nocnej szafce stały opróżnione pojemniczki po środkach nasennych. I podobnie jak resztę Danii wzburzyła ją informacja, że wdowiec kilka dni po pogrzebie zapadł się pod ziemię, nie pozostawiając żadnej wiadomości swoim dorosłym dzieciom, ani synowi i córce mieszkającym w Danii, ani Frederikowi, który osiadł w Santa Barbara w Kalifornii.

– Zanim jednak te chciwe psy mnie dopadną, chcę zwrócić uwagę policji na to, że moja żona padła ofiarą przestępstwa. I właśnie do tego potrzebuję twojej pomocy. – Przygębiony zapalił kolejnego papierosa.

Dobiegał siedemdziesiątki, ale świetnie się trzymał. Był opalony, nosił luźną koszulę, a włosy ciągle miał czarne, chociaż siwe pasma zapowiadały rychłą przewagę. Ciemna blizna pod lewym okiem sprawiała, że kurze łapki

były jeszcze wyraźniejsze.

– Skąd możesz mieć pewność, że chodzi o zabójstwo, skoro na nocnej szafce znaleziono dwa puste opakowania po lekach? – spytała z zainteresowaniem Camilla, szybko łapiąc obrus, bo mocny powiew wiatru uniósł go jak latawiec.

– Ponieważ... – zaczął, kładąc na stole dłoń z szeroką ślubną obrączką – Inger nigdy nie targnęłaby się na własne życie. To oczywiście brzmi banalnie, ale ona ubóstwiała Isabellę, naszą wnuczkę. Od rozwodu naszej córki żona spędzała z wnuczką kilka dni w tygodniu i za nic w świecie by z tego nie zrezygnowała. Poza tym przy całej skromności uważam, że ceniła sobie również przebywanie ze mną. Nie zrezygnowałaby z tego wyłącznie dlatego, że morze nieco się wzburzyło.

Morze nieco się wzburzyło. Rzeczywiście można i tak to określić, pomyślała Camilla. Walther Sachs-Smith był jedną z najbardziej znanych postaci duńskiej gospodarki i figurował na liście najbogatszych osób w kraju, ale podczas przygotowań do zmiany pokoleniowej w jego firmie Termo-Lux został usunięty z zarządu i z kierownictwa fabryki okien przez dwójkę swoich młodszych dzieci, Carla Emila i Rebekkę, którzy sprzymierzyli się z nowym prawnikiem firmy. Było to podłe posunięcie, które odbiło się szerokim echem w działach ekonomicznych wszystkich gazet. Później temat podchwycili dziennikarze z tabloidów, którzy szybko powiązali samobójstwo Inger Sachs-Smith z tym skandalem.

– Poza tym ona nigdy nie miałaby na to odwagi – stwierdził Walther Sachs-Smith, wyrywając Camillę z zamyślenia. – Ale to jeszcze nie ten powód, dla którego z takim przekonaniem twierdzę, że doszło do przestępstwa.

Popatrzyła na niego z ciekawością i poprosiła, żeby kontynuował.

– W dniu śmierci Inger z mojego gabinetu zniknął *Anioł śmierci* – wyznał wreszcie i przeniósł wzrok na fale. – Oczywiście mam świadomość, że prawdopodobnie konieczne będzie poinformowanie policji o naszej

rozmowie, jeśli chcemy ją nakłonić do ponownego przyjrzenia się śmierci żony, ale najmądrzej będzie nie wspominać o naszym spotkaniu nikomu więcej – dodał ze smutnym uśmiechem. – Nawet mojemu najstarszemu synowi, chociaż to on udostępnił ci dom. Potrzebuję czasu, zanim wrócę do kraju i podejmę walkę.

Camilla zarumieniła się, ale postanowiła odsunąć od siebie myśli o Frederiku Sachs-Smicie i raczej skupić się na jego ojcu. Zaszła w nim jakaś zmiana w porównaniu ze zdjęciami, które znała z gazet i czasopism. Było go jakby trochę mniej. Sprawiał wrażenie zapadniętego w sobie, a z jego ciemnych oczu bił wyraźny smutek. Prawdopodobnie był to wynik śmierci żony, ale proces ten mógł też dokonywać się stopniowo, gdy Walther Sachs-Smith się ukrywał.

– *Anioł śmierci?* – powtórzyła pytająco.

– To długa historia, którą nie zamierzam cię męczyć...

– Chętnie posłucham – przerwała mu szybko.

W głębi domu mignął jej Markus. Najwyraźniej schronił się tam, kiedy wiatr zaczął się wzmagać. Powietrze wciąż było ciepłe, lecz kolejne podmuchy podrywały piasek, dlatego i oni wkrótce przenieśli się na taras pod bambusowy dach. Zależało jej na dokończeniu tej rozmowy. Cieszyła się, że może oderwać myśli od nieprzyjemnych wspomnień i że powoli budzi się w niej dawna dziennikarska ciekawość. Wyjeżdżając z Markusem do USA, raczej wątpiła, by zawodowa pasja kiedykolwiek jeszcze w niej odżyła. Odeszła z gazety, ponieważ praca w redakcji kryminalnej „Morgenavisen” przywiodła ją w zasadzie na skraj załamania nerwowego. Chociaż nie miała zbyt wielkiej ochoty tego przyznać, to wyjazd z synem był próbą ucieczki przed dotarciem do miejsca, w którym dalsza droga zupełnie znika z oczu.

Ale ta wyprawa okazała się odległa od wyobrażeń Camilli. Liczyła, że w jej trakcie odnajdzie spokój i coś sobie wyjaśni, a tymczasem znów pograżyła się w żalu, gdy z Danii dotarła do niej wiadomość o tragicznej



śmierci w wypadku samochodowym Signe Fasting-Thomsen, koleżanki z klasy Markusa. Nie spodziewała się natomiast, że podczas tej podróży się zakocha, a w tej chwili wiedziała już, jak bezrozumnie postąpiła, oddając serce bogatemu kawalerowi z Danii, który postanowił osiąść w Stanach.

Wyjęła z torebki plik kolorowych pocztówek z Hawajów, które razem z Markusem kupili, by wzbudzić zazdrość w rodzinie i znajomych tkwiących w pogrążonej w zimowych ciemnościach Danii. Odwróciła je teraz i zaczęła wykorzystywać jak kartki z notatnika.

– A więc dobrze – odezwał się Walther Sachs-Smith z drugiej strony stołu. – Przecież już i tak zawarliśmy umowę.

To prawda. Camilla przyrzekła, że zrobi wszystko, by nakłonić policję do ponownego zbadania sprawy śmierci jego żony, tym razem przy założeniu, że mogło dojść do zabójstwa. Walther Sachs-Smith w zamian obiecał jej wyłączność na całą tę historię.

– Religioznawcy skłaniają się ku tezie, że *Anioł śmierci* przepadł w czasie, gdy Bizancjum podbili Turcy, lecz w kręgach historyków sztuki panuje przekonanie, że witraż ocalał i trafił w bezpieczne miejsce, jeszcze zanim Hagia Sophia stała się meczetem. W innym wypadku odkryto by go podczas renowacji świątyni przeprowadzanej przez dwóch szwajcarskich architektów pod koniec dziewiętnastego wieku.

– I to jest prawda? – wtrąciła Camilla, patrząc na niego. – *Anioł śmierci* ocalał?

Walther Sachs-Smith powoli skinął głową. Spojrzenie miał zamysłone, skierowane w głąb siebie.

– Owszem – potwierdził.

Przez chwilę milczeli.

– Mój ojciec w wieku dwudziestu lat otworzył w Roskilde niewielki zakład szklarski mieszczący się w piwnicy. Był już wówczas żonaty z moją matką, która pochodziła z Polski. Jej ojciec pracował w kościele w Poznaniu. Kilka lat później ojcu zlecono renowację części okien

w katedrze w Roskilde. Za pośrednictwem teścia w Polsce kupił partię prześlicznych starych kościelnych okien wraz z ramami, które spoczywały ukryte na strychu jakiejś świątyni. – Walther Sachs-Smith przez chwilę patrzył w milczeniu na Camillę. – Nowe szkło nigdy nie będzie tym samym – wyjaśnił, bo wraz z ojcem zbudował fortunę na oknach termoizolacyjnych, więc o szybach wiedział wszystko. – Ze szkłem jest jak ze starymi domami. Zawsze najlepiej jest zachować stare szyby, nawet jeśli są nierówne albo zmatowiały. O wiele piękniej przepuszczają światło.

Camilla pokiwała głową. Sama odbyła niejedną rozmowę z prezesem spółdzielni, gdy planowano wymianę okien w jej kamienicy. Właśnie z tego powodu zachowali stare szyby.

– Mój ojciec osobiście pojechał do Polski po odbiór tych okien. Były wielkie i ciężkie, więc by uniknąć potłuczenia pięknego szkła podczas transportu, pozostawił szyby w masywnych żelaznych ramach. Część z nich była zamalowana i należało je oczyścić, inne wymagały tylko umycia – ciągnął mężczyzna. – I właśnie podczas mycia szyb w podwójnej ramie spod grubej warstwy brudu ukazał się anioł śmierci. Było to coś wyjątkowego i oczywiście bardzo ojca zaciekało. Długo szukał i sprawdzał, aż w końcu dowiedział się, że witraż wcześniej zdobił świątynię Hagia Sophia. Często się zdarzało, że Turcy na podbitych przez siebie terenach zamalowywali lub całkowicie niszczyli ikony czy mozaiki przedstawiające motywy chrześcijańskie.

– Ale... – zaczęła Camilla, lecz powstrzymała ją uniesiona dłoń Walthera.

– Pozwól mi najpierw skończyć. Mojego dziadka ze strony matki oskarżono w Polsce o okradanie kościoła. Parafianie ostro go zaatakowali i cała rzecz skończyła się tym, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku musiał zrezygnować z pracy i przeprowadzić się do małego domku pod miastem z opinią złodzieja, który zbecześcił świątynię. Mój ojciec mówił, że bardzo ciężko dotknęło to rodzinę, chociaż jego teść nie zrobił nic

złego. Zanim zaproponował mojemu ojcu kupno starego szkła, dostał na tę sprzedaż zezwolenie od proboszcza, który ucieszył się, że w ten sposób zdobędzie dla kościoła trochę pieniędzy. Dopiero gdy parafianie poinformowali o wszystkim biskupa, proboszcz zapomniał o wcześniejszej umowie.

Pokręcił głową i chwilę siedział z zamkniętymi oczami. Camilla stwierdziła, że wyraźnie brakuje mu siły głosu i charyzmy, które zwykle charakteryzowały go podczas wywiadów udzielanych w telewizji. Gdy teraz siedział tak naprzeciwko niej, wydawał się stary i słaby.

Słońce zniknęło wreszcie za zasłoną chmur, które przez całe przedpołudnie czały się na horyzoncie. Camilla zaczęła się już zastanawiać, czy nie wejść do domu, gdy Walther znów otworzył oczy.

– Możesz sobie chyba wyobrazić, co by to oznaczało dla moich dziadków, gdyby na jaw wyszło, że wśród starych szyb, które ojciec mojej matki znalazł na strychu w kościele i sprzedał zięciowi, znajdował się słynny witraż.

Camilla pokiwała głową. Nie miała już więcej widokówek do zapisywania, ale czuła, że nie będą jej potrzebne. Ten fragment historii zapamięta i bez notatek.

– Mój ojciec nigdy nie mówił o tym wprost, mimo to znaleźliśmy tę rodzinną historię. Wiedzieliśmy, że wśród szkła przywiezionego z Polski znalazł jakieś kosztowności. Po prostu nigdy konkretnie nie wspomniał o aniele śmierci – urwał na chwilę, zamyślony. – Chciał zwrócić ikonę – odezwał się wreszcie – ale nie mógł narażać teściów na kolejne kłopoty. Byli już starzy, w dodatku któregoś dnia zaczęła krążyć plotka o tym, że sprzedali zabytek, a pieniądze ukryli. I ta plotka nigdy się od nich nie odzepiła, ani od rodzeństwa mojej matki, które dorastało wśród tych oskarżeń i które wciąż żyje. Ja zaś po śmierci ojca odziedziczyłem tę rodzinną tajemnicę i odpowiedzialność za to, by nie obciążać polskiej części rodziny kolejnymi kłopotami.

– Anioł śmierci – powiedziała Camilla wpatrzona w ocean i białe grzywy fal walących o brzeg. Najbardziej doświadczeni surferzy ślizgali się po nich, sprawiając wrażenie, jakby to była najprostsza rzecz na świecie. – Czy to nie ów miłosierny anioł, który przychodzi po dusze ludzi w chwili śmierci?

Starszemu panu zwilgotniały oczy, więc Camilla taktownie odwróciła wzrok.

– Podobno właśnie tak jest – wyszeptał z trudem, ale już po chwili wyraz jego twarzy się zmienił. – Wiele lat temu kazałem wykonać kopię witraża i powiesiłem ją w swoim domowym gabinecie. Miała służyć za coś w rodzaju alarmu. Nie było to wielkie dzieło, ale wiedziałem, że jego zniknięcie będzie oznaczać, że ktoś wpadł na trop *Anioła śmierci*.

– I witraż rzeczywiście zniknął, gdy umarła twoja żona?

Pokiwał głową, znów zasmucony.

– Ktoś odkrył moją tajemnicę.

– Wiadomo kto? – spytała Camilla, patrząc, jak Walther wstaje, żeby zdjąć obrus ze stołu.

– Nie – odparł z powagą. – Wiem jedynie, że ci ludzie przyjdą znów, kiedy odkryją, że w ich ręce wpadła jedynie kopia.

Louise poszła po resztkę lodów i sięgnęła po miseczkę przyjaciółki. Nie zdziwiło jej, że Nymand zadzwonił na komendę dowiedzieć się, jakie jest jej zdanie na temat rewelacji Camilli o tym, że Inger Sachs-Smith nie odebrała sobie życia, a jej śmierć jest wynikiem zabójstwa. Pytał również, jak Louise odnosi się do wysnutej przez dziennikarki teorii upozorowania samobójstwa. Śmierć z własnej ręki potwierdzały wyniki badań kryminalistycznych, a przede wszystkim puste opakowanie po środkach nasennych znalezionych na jej nocnej szafce. „Osobiście uważam, że nic nie stracisz na poważnym potraktowaniu słów Camilli” – odpowiedziała mu Louise i zaproponowała, by komendant przynajmniej poprosił chemików z laboratorium, by jeszcze raz zbadali próbki pobrane z ciała Inger Sachs-Smith podczas sekcji.

Rodzina Sachs-Smithów cieszyła się w Roskilde wielkim szacunkiem, a Walther Sachs-Smith był bez wątpienia najlepszym podatnikiem w mieście. Już choćby tylko z tego powodu miał w nim spore wpływy. Louise tym bardziej więc czuła się zobowiązana, by zareagować, jeżeli zachodziło najmniejsze podejrzenie, że jego żona została zamordowana, a sam Sachs-Smith ukrył się z obawy o własne życie, jak twierdziła Camilla. „Oczywiście są rzeczy, których nie wyłapie się w trakcie zwykłych badań – przyznał w końcu Nymand. – Nawet bardzo drobiazgowych”.

– Nymand powiedział – oznajmiła Camilla, odstawiając miseczkę po lodach – że przyszła odpowiedź z Instytutu Medycyny Sądowej.

Louise z namysłem kiwnęła głową. Nie do końca rozumiała motywy, które kazały Camilli tak głęboko angażować się w tę sprawę, zwłaszcza że mogło się okazać, że żadnej sprawy nie ma. Prawdopodobnie jednak stało się tak dlatego, że Walther Sachs-Smith został jej podany na srebrnej tacy i to w czasie, gdy wszyscy uważali, iż zapadł się pod ziemię. Camilla jak zwykle zastrzegła sobie wyłączność na jego historię i już samo to mogło ją

tak wciągając, pomyślała Louise, patrząc na przyjaciółkę.

– Skąd u ciebie taka pewność, że Sachs-Smith się nie myli? – spytała, dobrze słysząc powątpiewanie we własnym głosie.

– Przecież to nie ja jestem tego pewna – zawołała z irytacją Camilla – tylko on!

– No dobrze – broniła się Louise. – Tyle zrozumiałam. Ale ty ufasz mi całkowicie.

– To prawda. Analitycy z Kopenhagi przesłali jedną z próbek pobranych od Inger Sachs-Smith do laboratorium w Niemczech, gdzie niedawno opracowano metodę umożliwiającą określenie, czy nie doszło do przedawkowania insuliny. Ten lek na cukrzycę w dużych dawkach jest śmiertelny.

– Insulina? – Louise zdziwiona uniosła brew.

– Jej najmłodszy syn od dziecka choruje na cukrzycę. W domu zawsze była insulina.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

– Mogła to zażyć przez pomyłkę? – spytała w końcu Louise.

Przyjaciółka pokręciła głową.

– Musiała dostać zastrzyk domięśniowy. Mówimy o dawce zdolnej zabić konia. Takie rzeczy nie dzieją się przez pomyłkę.

Louise przyznała jej rację.

– A co z synem? – spytała.

Camilla wzruszyła ramionami.

– On w każdym razie ma dostęp do insuliny.

Louise pokiwała głową.

– Policja już po pierwszych badaniach wiedziała, że Inger Sachs-Smith połknęła środki nasenne – ciągnęła Camilla. – Ich ślady znaleziono w żołądku. Nymand wysnuł więc teorię, że sprawca wykorzystał jej otępienie lekami, przypuszczalnie rozpuścił jeszcze kilka tabletek i dał jej do picia. Potem mógł bez problemu wstrzyknąć insulinę. Igła do takich

zastrzyków jest tak cieniutka, że patolog może przeoczyć ukłucie. Puste opakowania po środkach nasennych miały zmylić policję, co zresztą się udało.

– Cholera! – westchnęła Louise. – To rzeczywiście mogło się odbyć w ten sposób. Zbrodnia prawie idealna.

– Nymand wznawia śledztwo. – Camilla naciągnęła pled na nogi. – Tym razem przy założeniu, że Inger Sachs-Smith została zamordowana.

Rozległo się pukanie do drzwi i do kancelarii adwokackiej Mikłosa Wedersøego weszła Rebekka Sachs-Smith. Długi jasny płaszcz niosła przerzucony przez ramię, ciemne włosy miała zebrane w luźny koński ogon, a okulary przeciwsłoneczne Chanel odsunięte na czoło.

– Widzę, że już zaczęliście – powiedziała, zostawiając płaszcz na wieszaku przy drzwiach. – Ciekawa jestem, co jest aż takie ważne, że musiałam rzucić wszystko i natychmiast tu przyjechać.

Zirytowana podeszła do Carla Emila i pocałowała go w policzek, otaczając go jak zwykle chmurą perfum. Była elegancka w klasycznym znaczeniu tego słowa. Miała na sobie miękki kaszmirowy kardigan, a na szyi barwną jedwabną chusteczkę. Była wysoka i szczupła i w przeciwieństwie do Carla Emila, bardzo podobnego do matki, miała ciemne włosy i cerę po ojcu.

– Dziękuję, że przyjechałaś tak szybko. – Adwokat uprzejmie przystawił jej krzesło. – Macie ochotę na kawę? – spytał, otwierając drzwi do recepcji.

Oboje kiwnęli głowami. Carl Emil usiadł wygodniej w fotelu i spojrzał przez okno. Roztaczał się z niego widok na katedrę w Roskilde. Zimowe słońce świeciło tak ostro, że niebo wydawało się blade. Za drugim oknem teren opadał w stronę fiordu i Muzeum Statków Wikińskich. Kancelaria była urządzona gustownie, w sposób klasyczny, z mosiężnymi klamkami i lampkami. Szafy, stół i krzesła z mahoniem ostro kontrastowały z sięgającą dość wysoko pomalowaną na biało boazerią.

Carl Emil jakby z daleka słyszał Mikłosa informującego siostrę o ofercie kupna *Anioła śmierci* i zniknięciu jego kopii z domu rodziców. Miliard dwieście milionów duńskich koron... Właściwie nie zamierzał wtajemniczać Rebekki w całą tę sprawę, ale kwota była tak wielka, że po prostu musiał zwrócić się do niej o pomoc, jeśli chciał zachować nadzieję na odnalezienie



oryginalnej ikony i przeprowadzenie transakcji.

– O tym absolutnie nie ma mowy! – zawołała jednak Rebekka, gdy sekretarka adwokata postawiła już przed nimi kawę i zamknęła za sobą drzwi. – *Anioł śmierci* nigdy nie był na sprzedaż i nie zostanie sprzedany, nawet gdyby miał przynieść tak ogromne pieniądze, jak twierdzicie. –

Ze złością odwróciła się do Carla Emila: – Znów nie masz pieniędzy, a zabrakło ojca, żeby cię wspomógł w tarapatach finansowych? – spytała drwiąco. – Sprzedaj mieszkanie albo samochód, ale trzymaj się z dala od tego, co nie twoje!

Carl Emil był środkowym dzieckiem w gromadce rodzeństwa, dwa lata starszym od Rebekki i jedynym z trójki, który nie skończył studiów. Jego stosunki z siostrą zaczęły się psuć już wtedy, gdy stwierdzono, że choruje na cukrzycę. Matka poświęcała mu całą uwagę, Rebekka natomiast stała się ukochaną córeczką tatusia. Zawsze lubiła błyszczeć i zależało jej na uznaniu.

– Nie mogę sprzedać tej ikony – odparował z udawanym spokojem, poprawiając się w fotelu. – Nie wiem, gdzie ona jest. To ty zabrałaś kopię z gabinetu ojca?

Siostra spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby rzucił jej na głowę psią kupę.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała w końcu. – Niczego nie wzięłam z tego domu. Żadne z nas nie ma do tego prawa. Ty również! – Spojrzała na adwokata. – Kiedy dostałeś tę ofertę?

– Zatelefonowano do mnie dziś w nocy o trzeciej. Mój informator w Nowym Jorku właśnie otrzymał ostateczne potwierdzenie.

Rebekka znów zwróciła się do brata:

– Czy to oznacza, że znasz wartość *Anioła śmierci* już od rana?

Carl Emil dość niechętnie kiwnął głową.

– Ale z was gnojki! Chcieliście go sprzedać za moimi plecami! – skonstatowała trzeźwo, patrząc na nich ze złością. – A teraz nie możecie go znaleźć, dlatego mnie wezwaliście.

– Ależ skąd! – zaproponował natychmiast Miklos Wedersøe. – Nigdy nie mieliśmy takiego zamiaru.

Przerwała mu szybkim uniesieniem dłoni.

– Daj spokój! Gdyby tak było, zadzwoniłbyś i do mnie, kiedy pojawiła się ta oferta, a ja przecież nawet nie wiedziałam, że szukacie kupca! – Pokręciła głową, gniewnie zaciskając wargi.

– Przestań! – przerwał jej Carl Emil. – Taka transakcja przyniosłaby nam miliard dwieście minus dwadzieścia procent dla Miklosa i jego człowieka z Nowego Jorku za pośrednictwo w sprzedaży.

– Uważam, że powinniśmy to rozważyć – wtrącił się adwokat, patrząc na Rebekkę.

Po raz pierwszy Rebekka uciekła wzrokiem, ale zaraz wbiła w niego piwne oczy.

– Czy wam ciągle będzie mało? – spytała, patrząc na prawnika. – Przecież wszyscy troje świetnie zarobiliśmy na sprzedaży Termo-Luxu. Kiedy wreszcie będziecie zadowoleni?

Carl Emil nie zdążył zapanować nad złością. Poderwał się z krzesła i pochylił nad siostrą.

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych bzdur! To ty chciałaś, żeby młodsze pokolenie przejęło firmę, zanim ojciec poczuł się na to gotowy. No i nie mógł się dowiedzieć, że za progiem już czekają Anglicy. Wcisnęłaś do zarządu mnie i Miklosa, żeby mieć po swojej stronie odpowiednią liczbę głosów, które zmuszą ojca do wycofania się z zarządu. To nie był mój pomysł!

Rebekka wstała i odsunęła go na bok.

– Możesz sobie tego oszczędzić – oświadczyła zimno. – Sam się podpisałeś na wszystkich dokumentach, więc trochę za późno na odgrywanie niewiniątka. Poza tym miałeś pełną świadomość, co się dzieje, i nie mogłeś się doczekać, kiedy dostaniesz pieniądze.

Te słowa uderzyły go mocniej niż cios pięścią. Rzeczywiście był na tyle

głupi, że złożył podpis na wszystkich dokumentach, które miały związek z przejęciem firmy.

Rebekka zwróciła się do prawnika:

– A ty ile z tego wyciągnąłeś? – spytała. – Jesteś gotów na wszystko, byle tylko na twoje konto wpływały kolejne sumy?

– Przestań! – krzyknął Carl Emil, łapiąc ją za ramię. – Żadnemu z nas aż tak nie zależy na władzy jak tobie, dobrze o tym wiesz.

W czasie gdy on w szkole się obijał, jego siostra była wzorową uczennicą. Ukończyła wszelkie możliwe studia z zarządzania, i to z wynikami powyżej średniej. Miała nad nim oczywistą przewagę, mimo to Carl Emil nie mógł się powstrzymać.

– Szacunek dla Frederika za to, że się wycofał. Różnica między wami dwójgim polega na tym, że on potrafił zbudować własną karierę, ty natomiast zasiadłeś na tronie ojca – powiedział, z przyjemnością patrząc, jak głęboko ją to uraziło.

Ich najstarszy brat już od piętnastu lat mieszkał w Stanach Zjednoczonych i zajmował się pisaniem scenariuszy filmowych. Był outsiderem, rozstał się z rodzinnym klanem, by zrealizować swoje marzenia. Jako dwudziestosiedmiolatek został przyjęty do znanej szkoły filmowej w Nowym Jorku, a teraz był już współautorem wielu ważnych obrazów nakręconych w Hollywood. Nie zależało mu jednak na sukcesach kasowych, bo nie brakowało mu pieniędzy – był zarazem zdolnym finansistą i inwestorem, zbił majątek na rynku nieruchomości. Nie musiał już więcej zarabiać i dawno wycofał się z rodzinnej spółki. Odkąd Rebekka i Carl Emil przejęli kierownictwo w Termo-Luksie, nie mieli od niego żadnych wiadomości.

– Wiesz, gdzie jest ta ikona? – spytał Carl Emil, korzystając z okazji, że chociaż na chwilę zbił siostrę z pantafyku.

– Nie, nie wiem – odparła ze złością. – Ale nawet gdybym wiedziała, i tak bym wam nie zdradziła tej tajemnicy. Możecie być pewni.

– Posłuchajcie – włączył się Wedersøe, który ciągle siedział z dłońmi złożonymi na biurku. – Może powinniście raczej wspólnie się zastanowić nad tym, kto usunął ikonę z gabinetu waszego ojca. Jeżeli ktoś zaczął na nią polować, to możliwe, że wróci, kiedy się zorientuje, że to kopia. – Wbił wzrok w Rebekkę. – To od was zależy, czy sami znajdziemy tę prawdziwą, czy też będziemy siedzieć i czekać, aż zniknie, bo ktoś nas uprzedzi.

– Pozwólcie, że powiem tak... – zaczęła powoli Rebekka. – Jeśli nawet znajdziecie *Anioła śmierci*, nigdy nie zgodzę się na sprzedaż. Wszystkie nasze plany się powiodły. Nikomu z nas niczego nie brakuje. Mamy to, co chcieliśmy.

Ty masz, pomyślał Carl Emil ze złością, ale z oczu siostry już wyczytał, że przegrał. Rebekka miała świadomość, że brat, uzyskawszy swobodę finansową, zostawi ją samą, a ta myśl najwyraźniej jej się nie podobała.

– *Anioł śmierci* pozostanie w rodzinie. To część naszej historii – oświadczyła. – Nie zgodzę się na sprzedaż nawet za taką sumę.

Carl Emil ciężko westchnął. Po prostu nie zamierzała iść mu na rękę.

– A jeśli mimo to przyjdzie wam do głowy, żeby sprzedać anioła za moimi plecami, to pójdę do prasy i opowiem, jak wasza chciwość zabiła naszych rodziców.

– I co, może zdradzisz też, w jaki sposób dziadek wszedł w posiadanie witraża i ukrył jeden z legendarnych zabytków?! – zawołał złośliwie Carl Emil.

– Nie, tego nie zrobię, tyle mogę ci obiecać. Chcę, żeby ta historia nadal pozostała w rodzinie. Ale wyjawię, w jak wyrafinowany sposób oszukaliście ojca i Frederika, skłaniając ich do sprzedaży dużej części akcji na krótko przed tym, jak ich wartość wzrosła o sto trzydzieści procent.

– Ta historia uderzy również w ciebie – zauważył Carl Emil, kręcąc głową nad siostrą.

– Owszem, mam tego świadomość. Ale to wy się pod tym podpisaliście. – Wstała i pochyliła się nad bratem. – Pamiętaj, jeśli zaczniesz szukać

*Anioła śmierci*, pójdę do prasy – szepnęła mu do ucha, zerwała płaszcz z wieszaka i wyszła.

Kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, Carl Emil opadł na fotel i pocierając czoło, usiłował zapanować nad myślami.

– Kto wpadł na ślad *Anioła śmierci*? – spytał. Poczł się nagle zmęczony, a narastający niepokój jakby zaczął kłuć go w skórę.

Miklos Wedersøe spojrział na niego z powagą i wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Ale dobrze by było, gdyby Rebekka zgodziła się pomóc nam w szukaniu oryginału, zanim ktoś nas uprzedzi.

– Na pewno w końcu pójdzie po rozum do głowy – stwierdził Carl Emil bez przekonania i opuścił ręce na kolana. – To wymaga tylko trochę czasu.

– Myślisz, że sama może go odnaleźć? – spytał adwokat.

– Jeśli ktokolwiek może to zrobić, to właśnie ona. Ale wydaje mi się, że nie miała świadomości, iż w gabinecie ojca wisiała jedynie kopia.

– Niech to szlag trafi! – zaklął Miklos Wedersøe, po raz pierwszy zdradzając, że jeśli transakcja nie dojdzie do skutku, on również wiele straci.

– A jeśli Rebekka się uprze i nie zechce sprzedać witraża?

– O to się nie martw. Nie będziemy trzymać w ukryciu barwionego szkła za miliard koron, nie mając z tego żadnej przyjemności. Z Rebekką sobie poradzę – dodał wzburzony Carl Emil. – A jeśli nie będzie mogło być inaczej, to sprzedamy *Anioła śmierci* bez jej błogosławieństwa.

– Raczej bym na nią nie liczył – zauważył adwokat.

– Gwiżdż na Rebekkę! – Carl Emil już podjął decyzję. – Tylko dowiedz się najpierw, jak będzie wyglądała nasza sytuacja, jeżeli ona rzeczywiście wyjawia prasie tę historię z akcjami.

Miklos Wedersøe przez chwilę się zastanawiał.

– Nie sądzę, aby to miał być jakiś problem. Powinniśmy w dość prosty sposób odeprzeć jej zarzuty. Ja oczywiście będę twierdził, że działałem w dobrej wierze, doradzając twojemu ojcu i bratu sprzedaż akcji.

Jakżeby inaczej, pomyślał Carl Emil. Dopił kawę, myśląc o niebotycznej

kwocie, jaką wspólnie z Rebekką zapłacili adwokatowi za doprowadzenie do tej transakcji. To był wyścig z czasem. Sprawę należało załatwić, zanim opinia publiczna się dowie, że bez wiedzy ojca prowadzili negocjacje z konkurencyjną angielską firmą, która nalegała na przejęcie Termo-Luxu. Zważywszy na honorarium, jakie Miklos wziął za ustawienie wszystkiego, nie powinny się pojawić żadne problemy. Nie rozumiał, z jakimi rewelacjami mogłaby wystąpić siostra. Przecież zabezpieczyli się na wszelkie sposoby. Przygotowali się też na sytuację, gdyby wyszło na jaw, że mieli świadomość, iż sprzedaż firmy konkurencji może skutkować gwałtownym wzrostem ceny akcji. To przecież Rebekka zaproponowała, by zarobili na tym jak najwięcej, kiedy ojciec i brat byli już praktycznie poza firmą.

– Poza tym termin wniesienia skargi minął już wiele miesięcy temu – stwierdził Miklos Wedersøe. – Daleko jej to nie zaprowadzi.

Carl Emil pokiwał głową, a w końcu wstał i zabrał płaszcz z krzesła.

Grete Milling płakała do słuchawki.

Louise właśnie weszła do swojego pokoju po piątkowej porannej odprawie, a Lars Jørgensen przyniósł dzbanek kawy i postawił na biurku dwie czyste filiżanki. Partner Louise pracował w niepełnym wymiarze godzin, ponieważ żona się od niego wyprowadziła, zostawiając mu pod opieką dziewięcioletnie bliźnięta adoptowane z Boliwii. Najbliższy weekend dzieci miały spędzić u matki, więc Lars nie zamierzał wychodzić tak wcześnie. Zaplanował uporządkowanie i zarchiwizowanie wszystkich teczek z aktami spraw, których stos urósł ostatnio na niskim regale.

Właśnie podał filiżankę Louise, kiedy zadzwonił jej telefon.

– Wypowiedziano umowę na wynajem mieszkania Jeanette – wyszłochała starsza pani – a teraz grożą, że wezwą komornika, jeśli sama nie opróżnię go w weekend. Chcą zacząć remont i przygotować je dla nowych lokatorów. Już ściągnęli pieniądze z konta na fundusz remontowy.

Louise odstawiła filiżankę z kawą i przysunęła sobie krzesło do stołu.

– Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego to się stało właśnie teraz? – spytała. – Ostrzegali panią, że umowa zostanie wypowiedziana?

– Nie. – Pani Milling pociągnęła nosem. – Przecież ja co miesiąc płacę czynsz i mam wszystkie pokwitowania!

Louise usłyszała, że kobieta szeleści jakimiś papierami.

– Twierdzą, że wysłali pismo w tej sprawie, ale przecież korespondencja mojej córki przekazywana jest do mnie, a żadnego pisma od właściciela nie dostałam. Mówią, że komornik wszystko uprzątnie i wywiezie rzeczy do magazynu, jeśli sama nie będę mogła się tym zająć.

Głos znów jej się załamał. Louise pozwoliła jej przez chwilę płakać.

– Nie możecie nic zrobić, żeby nie dopuścić do wyrzucenia mojej córki na bruk? – spytała, odzyskując kontrolę nad sobą. – Co ze wszystkimi jej

rzeczami? Gdzie się podzieje, kiedy wróci do domu?

Louise nie mogła się przemóc, by powiedzieć Grete Milling, że jej córka najprawdopodobniej już nigdy nie wróci.

– Oczywiście zawsze może zamieszkać u mnie. – Pani Milling wytarła nos i ciągnęła: – Ta pani, która do mnie dzwoniła, twierdziła, że firma wynajmująca mieszkania prowadzi taką politykę. Kiedy ktoś nie korzysta z mieszkania przez trzy miesiące, to umowa automatycznie wygasa, ale zawsze uprzedzają o tym pisemnie. Uważała, że w wypadku Jeanette już i tak przeciągają to zbyt długo.

Louise nie bardzo miała co powiedzieć, więc po prostu słuchała.

– Gdybym tylko mogła powiedzieć właścicielom coś nowego, to możliwe, że zgodziliby się jeszcze trochę poczekać. Ale kiedy dzwoniłam do Wydziału Osób Zaginionych, żeby porozmawiać z Ragnerem Rønholtem, usłyszałam, że naczelnik jest na zebraniu. Będę musiała teraz jechać do mieszkania córki i dopilnować, żeby rzeczy Jeanette nie poginęły – ciągnęła pani Milling.

Znów wybuchnęła płaczem, a Louise w tym czasie spojrzała do kalendarza. Nie uważała się wprawdzie za osobę obdarzoną większą empatią niż jej koledzy, ale sprawa starszej pani wywarła na niej wrażenie. Postanowiła zadzwonić do Wydziału Osób Zaginionych i spytać, czy nie znajdzie się tam ktoś, kto mógłby się nią zająć. Poza tym miejscowa policja w Esbjerg powinna wyznaczyć kogoś, kto dopomógłby matce w spakowaniu rzeczy Jeanette Milling i przewiezieniu ich do jakiegoś magazynu.

– Pani Milling, proszę mi podać swój numer telefonu – powiedziała Louise, wyciągając notatnik spod stosu papierów. – Zaraz sprawdzę, czy uda mi się złapać gdzieś Rønholta. Zastanowimy się, jak możemy pani pomóc w załatwieniu tej sprawy. – Zapisała numer długopisem, który podrzucił jej Lars. – Oddzwonię, kiedy uda mi się z kimś porozumieć – obiecała.

Usiadła przy komputerze i weszła na policyjną stronę z listą osób zaginionych w całym kraju. Jeanette miała na niej numer trzy. Na stronie



zamieszczono dwa jej zdjęcia: portret i drugą fotografię zrobioną w letni dzień. Stała na plaży w jasnej sukience, długie włosy powiewały jej na wietrze, a słońce świeciło jej w oczy. Tekst wciąż był ten sam, krótki, rozsyłany do wszystkich okręgów policyjnych w związku z prowadzonymi poszukiwaniami: „Poszukiwana Jeanette Milling. Zaginęła 30-letnia Jeanette Milling z Esbjerg. Ostatni raz widziano ją 26 lipca 2009 roku podczas urlopu w Fuengirola na Costa del Sol w Hiszpanii o godzinie 9.30 w hotelowej restauracji na śniadaniu”. Pod zdjęciami zamieszczono jeszcze dopisek: „Informacje o losach Jeanette Milling po 26 lipca godz. 9.30 można przekazywać do Komendy Okręgowej Policji dla Południowej Jutlandii lub do Wydziału Osób Zaginionych Komendy Głównej Policji w Kopenhadze”. Podano też numer telefonu do dyżurnego. Więcej informacji nie było.

Louise zadzwoniła do kolegów z Komendy Głównej i połączyła się z Hanne. Sekretarka Rønholta pracowała w Wydziale Zabójstw, kiedy Louise w nim zatrudniano. Była sympatyczną kobietą z burzą kręconych włosów i słabością do barwnych indyjskich szat i kadzideł. Potrafiła doprowadzić Willumsena do szaleństwa i Louise nie miała wątpliwości, że właśnie z uwagi na obcesowy charakter komisarza Hanne natychmiast skorzystała z okazji przejścia do innego wydziału. Trafiła do Ragnera Rønholta, a jej uduchowanie bardziej współgrało z jego namiętnością do orchidei i niemych filmów.

– Jest na zebraniu – odparła Hanne, gdy Louise spytała ją o szefa.

– A kto prowadzi sprawę Jeanette Milling?

– Trele-morele – prychnęła Hanne. – Nie wiem, czy w ogóle ktoś konkretny nad tym siedzi. Przecież od zaginięcia minęło już tyle czasu. Napłynęło mnóstwo nowych spraw, więc jej teczka pewnie trafiła do Ragnera. Tak jak zwykle, kiedy ślady zaczynają stygnąć.

Przed laty zlikwidowano Wydział Osób Zaginionych przy Komendzie Głównej, a jego obowiązki przejęły zespoły śledcze na poszczególnych

komendach regionalnych. Obecnie reaktywowany po kolejnej reformie wydział składał się z Rønholta, dwóch asystentów i Hanne. Trudno na nich narzekać, pomyślała Louise. Przecież co roku ginie ponad półtora tysiąca osób. To oczywiste, że nie są w stanie pracować nad tyloma sprawami.

– A jak wygląda jego kalendarz po tym zebraniu? – spytała Louise, zerkając na swego partnera, aby się upewnić, czy nie ma nic przeciwko jej wyjściu.

Lars kiwnięciem głowy wyraził swoją zgodę. Przysunął już sobie krzesło do regału i zaczął przeglądać teczki, które należało przenieść do archiwum.

– To zależy... – odparła Hanne. Louise usłyszała kilka uderzeń w klawiaturę. – Powiem ci, że Ragner wychodzi dzisiaj już około pierwszej. Leci po południu do Paryża z przyjaciółką – powiedziała sekretarka z rozbawieniem w głosie.

Louise się roześmiała. Wszyscy znali zamiłowanie Ragnera Rønholta do kobiet. Był kawalerem, niedawno skończył sześćdziesiąt lat i nigdy nie ukrywał, że znakomicie się czuje w towarzystwie swoich cudownych przyjaciółek.

– Gdybyś zaraz przyszła, to jeszcze byś go złapała przed wyjściem. Nie ma żadnych innych spotkań.

– Byłabyś tak miła i uprzedziła, że już idę, żeby mi nie uciekł? – poprosiła Louise. – Postaram się nie zająć mu zbyt dużo czasu. Ale przed chwilą rozmawiałam z panią Milling. To bardzo nieprzyjemna sprawa. Ktoś musi w końcu powiedzieć tej nieszczęsnej kobiecie, że jej córka prawdopodobnie już nigdy nie wróci do domu. A jeśli tym kimś mam być ja, to chcę wcześniej przeczytać całe akta sprawy.

– No dobrze, przychodź. Postaram się, żeby miał czas na rozmowę z tobą. Ale jak ci powiedziałam, o trzynastej wychodzi. Spakowana walizka stoi w biurze.

– No to do zobaczenia – rzuciła Louise i odłożyła słuchawkę, ledwie jednak zdążyła wstać, gdy zabręczała jej leżąca na biurku komórka. –

Nieobecności?! – zawołała zaskoczona, gdy wychowawczyni Jonasa spytała o wyjaśnienie tak wielu opuszczonych godzin w ciągu ostatnich tygodni.

– Pomyślałam, że może znów zaczął chodzić do psychologa – ciągnęła nauczycielka – a w takim razie miło by było, gdyby zechciała mnie pani o tym poinformować.

– Oczywiście – zapewniła szybko Louise. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone.

– Dzisiaj wyszedł już po dziesiątej, a wczoraj w ogóle nie pojawił się szkole.

Louise zrezygnowała z udawania, że świetnie o tym wie.

– W ogóle tego nie rozumiem – przyznała.

Kiedy wracała z pracy, Jonas zawsze był w domu albo w parku Frederiksberg z psem. Ale ze szkoły zwykle wychodził o drugiej.

– Często opuszcza szkołę już po przerwie śniadaniowej.

– Dlaczego nic mi pani nie powiedziała? – spytała Louise.

– Właśnie mówię – odcięła się nauczycielka. – Ale czy dobrze rozumiem, że pani nic o tym nie wie?

– To prawda – potwierdziła Louise. – A może coś się stało w szkole?

Nauczycielka wyraźnie się wahała.

– To nie jest łatwy chłopiec – powiedziała w końcu.

Nie jest łatwy? Przecież Jonas to najmiłsze i najłatwiejsze dziecko na świecie, pomyślała Louise, czując narastający gniew.

– Z tym się nie zgodzę – zaprotestowała krótko. – Do tej pory nigdy nie zaniedbywał lekcji...

– Dzwonię wyłącznie po to, by poinformować panią, że ma pani problem – przerwała jej nauczycielka. – A problemy nie znikają tylko dlatego, że rodzice czy opiekunowie nie chcą przyznać, że istnieją.

Louise skapitulowała. Nie zamierzała wdawać się w kłótnie z wychowawczynią ani też nie chciała stawać do walki w obronie Jonasa po tym, jak schował się u Melvina, żeby uniknąć spotkania z Camillą

i Markusem. Wrócił do domu dopiero po ich wyjściu, a Dina była wtedy taka głodna, że opróżniła swoją miskę jeszcze szybciej niż zwykle. Prawdę mówiąc, Louise zauważyła, że coś się dzieje. Sądziła jednak, że przygnębienie i zamknięcie się w sobie przynależną do okresu dojrzewania. Ale co ona o tym wiedziała? Przecież nigdy wcześniej nie miała do czynienia z nastolatkiem. W ogóle z żadnym dzieckiem. Nie przypuszczała jednak, że Jonas zaczął wagarować.

– Porozmawiam z nim – obiecała i podziękowała wychowawczyni za telefon.

Przygnębiona pojechała do Wydziału Osób Zaginionych.

Na biurku w sekretariacie stał wielki bukiet czerwonych tulipanów, zasłonięta nim Hanne z przejęciem rozmawiała przez telefon, ale usłyszawszy pukanie w kontuar, poprosiła, żeby Louise podeszła bliżej. Drzwi do pokoju inspektora były otwarte. Louise dała Hanne znak, że nie musi przerywać rozmowy, i po prostu tam weszła. Na jej widok naczelnik Wydziału Osób Zaginionych przy Komendzie Głównej wstał i rozłożył ręce do uścisku.

– Miło cię widzieć, Rick – powiedział. – Co tam u was słychać?

– Wszystko w porządku. Willumsen cały tydzień jest na urlopie, ale w poniedziałek już wraca, więc pewnie znowu się zacznie – odparła Louise z uśmiechem. Nie było powodu informować Ragnera Rønholta o tym, że Michael Stig, zastępujący Willumsena, jeszcze bardziej dał im się we znaki.

Komisarz Willumsen słynął w kopenhaskiej policji ze swojego głośnego i aroganckiego stylu bycia, lecz chociaż bywał nieznośny, Louise w zasadzie go lubiła, zwłaszcza że – jak sam powtarzał – u niego mówiło się tylko „tak”, „nie” lub „pocałuj mnie w dupę” i wszystko było jasne. Michael Stig natomiast był tylko asystentem kryminalnym jak pozostali, ale ponieważ skończył kurs zarządzania, korzystał z każdej okazji, by posterować kolegami.

– Podobno jakaś straszna historia z żoną Willumsena. Rak macicy?

– Tak – potwierdziła Louise. – Usunięto jej duży guz, ale, niestety, nie ma pewności, czy udało się wyciąć całość.

– No widzisz. Trzeba korzystać z życia, póki jeszcze można. – Rønholt wskazał na niedużą walizkę stojącą przy drzwiach i w końcu zmienił temat.

– Hanne mówiła, że rozmawiałaś z Grete Milling.

– Rozmawiam z nią regularnie – powiedziała Louise. – Wydaje mi się, że ona dzwoni do mnie, ponieważ chce się upewnić, że sprawa jej córki nie trafiła do Wydziału Zabójstw. Ale ja już naprawdę nie wiem, co mam jej mówić. Przecież w żadnym momencie nie byłam zaangażowana w to śledztwo. A teraz wypowiedziano umowę najmu mieszkania córki, o czym wynajmujący najwyraźniej zapomniał uprzedzić matkę.

– Wchodzi komornik? – spytał Rønholt, proponując jej miętówkę.

Louise się poczęstowała.

– Mieszkanie w Esbjerg ma zostać opróżnione w ten weekend. Dzwoniła do mnie po pomoc, chciała, żebym przekonała właściciela, by to jeszcze odłożył. Ona ciągle wierzy, że córka wróci do domu. Co wy jej mówicie, kiedy dzwoni?

Naczelnik wyjął teczkę ze sprawą trzydziestolatki.

– Zwykle to ja z nią rozmawiam – wyjaśnił. – Ale nie ma zbyt wiele do przekazania. Po jej ostatnim telefonie dzwoniłem do Hiszpanii dowiedzieć się, jak tam wygląda sprawa, lecz nie pojawiły się żadne nowe ślady. Nie dzieje się w ogóle nic nowego. – Wyjął z teczki streszczenie śledztwa i przejrzał je. – Od czasu, gdy Jeanette zniknęła z hotelu, wszelki ślad po niej zaginął. Jakby zapadła się pod ziemię zaraz po wyjściu z restauracji po śniadaniu. Policja znalazła w pokoju hotelowym jej komórkę i portfel. – Poglądził się po wypielęgnowanej brodzie.

– Oglądaliście jej mieszkanie? – spytała Louise.

– Tak, sprawdzaliśmy wszystko. – Uniósł rękę i omawiając każdy kolejny punkt, zaginał palec. – List pożegnalny – nic takiego nie było. Poczta elektroniczna – opróżniliśmy jej komputer, ale nie znaleźliśmy

niczego, co by odbiegało od normalnej korespondencji. Konto – nie było żadnych operacji, a nie wzięła ze sobą dużej sumy w gotówce. Wiemy, że leciała samolotem i że pojawiła się w hotelu, co potwierdzili również świadkowie. – Pokręcił głową. – Po prostu nie mamy nic. I szczerze przyznam, że zaginięcie Jeanette Milling zalicza się do najbardziej frustrujących spraw, z jakimi miałem do czynienia. Przez cały czas utrzymujemy kontakt z policją hiszpańską, nasi ludzie również pojechali na Południe, ale po prostu utknęliśmy w miejscu. Albo ona tak starannie zaplanowała swoje zniknięcie, że po prostu nie da się jej odnaleźć, albo też padła ofiarą przestępstwa, którego wszelki ślad urywa się w hotelu. Trudno cokolwiek stwierdzić. Ale oczywiście nie odwołujemy poszukiwań, przynajmniej dopóki nie odnajdziemy jej zwłok.

– Nie możecie jednak ukrywać przed matką, że uważacie odnalezienie jej córki żywej za bardzo mało prawdopodobne – powiedziała Louise. – To niezdrowe, żeby tak trzymała się nadziei, którą nawet wy już straciliście.

Zamyślony pokiwał głową.

– Może masz rację. Ale pani Milling sprawia wrażenie takiej rozsądnej, chociaż rzeczywiście chyba nie może się pogodzić ze stratą córki. Może Thune pojedzie tam w poniedziałek i z nią porozmawia. Chyba rzeczywiście pora, abyśmy trochę przygasili tę nadzieję, żeby kobieta mogła zacząć godzić się ze smutną rzeczywistością.

– W poniedziałek?! – zawołała Louise. – To za późno! Przecież mieszkanie ma zostać opróżnione już w ten weekend, a pani Milling ma zamiar tam jechać.

Rønholt tylko rozłożył ręce.

– Pani Milling nie może zostać zupełnie sama z rzeczami córki, to nieludzkie! Ktoś musi się nią trochę zająć. A wygląda na to, że oprócz córki nikogo nie miała.

– Dzisiaj nie zdążę nikogo tam wysłać – usprawiedliwił się Rønholt. – A nie wiem, jak jest w Esbjerg. Nie wiadomo, czy mają ludzi, którzy

mogliby pomóc...

– Musisz coś zrobić! – przerwała mu Louise. – Przecież ta kobieta po wejściu do mieszkania może się kompletnie załamać.

Przyznał jej rację. Widziała, że rozważa różne możliwości.

– Przecież ty jesteś przyzwyczajona do rozmów z ludźmi w sytuacjach kryzysowych – oświadczył w końcu. – Nie mogłabyś posłużyć nam wsparciem i towarzyszyć pani Milling? Oczywiście poproszę cię o to oficjalnie, sam to załatwię z Willumsenem.

Louise opadły ręce. Nie kusił jej dodatkowy dyżur, wielkich pieniędzy za służbę w weekend też się nie dostawało. Ale ją zawsze interesowały sprawy osób zaginionych, przypominały trochę oglądanie filmu od tyłu: znała zakończenie, ale musiała również zobaczyć początek, żeby zrozumieć przebieg zdarzeń.

– Owszem, mogę się tym zająć – zgodziła się, sięgając po teczkę, którą Rønholt odłożył na biurko. – Ale wcześniej muszę odwiedzić panią Milling.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział Rønholt. – Starsza pani mieszka w Dragør.

– Dobrze.

Louise wstała i zaczekała, aż naczelnik zapisze jej adres. Na wszelkich wypadek poprosiła jeszcze o numer telefonu do policjanta, który zajmował się tą sprawą w Komendzie Rejonowej w Esbjerg, tak aby mogła się z nim skontaktować, gdyby zaszła potrzeba wezwania psychologa.

Carl Emil ukrył twarz w dłoniach i poprosił policjantkę, żeby powtórzyła.

Tuż po dziewiątej rano obudził go telefon z Komendy Okręgowej Policji dla Środkowej i Zachodniej Zelandii. Najpierw poprosił, żeby zatelefonowano później, ale w zamian za to usłyszał, że ma się stawić na komendzie w Roskilde o jedenastej razem z siostrą.

– Nie mamy już pewności, czy wasza matka sama odebrała sobie życie – powtórzyła funkcjonariuszka, patrząc na niego zza okrągłego stołu konferencyjnego w jasnym gabinecie komendanta. – Pewne rzeczy wskazują na to, iż mamy do czynienia z zabójstwem.

– Co to ma znaczyć?! – zawołała Rebekka, świdrując wzrokiem komendanta.

Nymand zasiadł za swoim biurkiem, nie wtrącając się do rozmowy prowadzonej przez podwładną. To on zadzwonił do rodzeństwa Sachs-Smithów i poprosił, bez żadnego wyjaśnienia, aby stawili się na komendzie. Przygotował też śledczą na to, że rodzeństwo przyjdzie prawdopodobnie przekonane, że wezwanie dotyczy zaginięcia ojca. Może liczyło na odnalezienie jego zwłok, bo wtedy mogłoby wszcząć postępowanie spadkowe po rodzicach.

– Otrzymaliśmy wyniki nowych badań zleconych w śledztwie – ciągnęła policjantka.

– W śledztwie? – przerwał jej zaskoczony Carl Emil. – W sprawie śmierci naszej matki toczy się śledztwo? Nie wiedziałem o tym.

W gabinecie było duszno, a chociaż duże okna przepuszczały mnóstwo światła, pomieszczenie sprawiało wrażenie zatłoczonego. Komendant wytapetował pokój sztuką skandynawską, przez co wydawał się mniejszy.

Carl Emil zaczął się pocić. Wbił wzrok w policjantkę.



– W każdym razie teraz już się toczy – odpowiedziała, zerkając na Nymanda, który lekko skinął głową. – Cały czas sądziliśmy, że to samobójstwo, ale właśnie otrzymaliśmy wyniki kolejnego badania przeprowadzonego na zlecenie Instytutu Medycyny Sądowej i okazuje się, że wasza matka oprócz silnych środków nasennych w żołądku miała również znaczną ilość insuliny we krwi. A ponieważ nigdy nie chorowała na cukrzycę i nikt jej nie przepisywał tego rodzaju leków, podejrzewamy, że doszło do przestępstwa.

– Ależ to nieprawdopodobne! – zawołała Rebekka, ciemnymi oczami patrząc to na policjantkę, to na komendanta. – Przecież na jej nocnej szafce znaleźliśmy dwa puste opakowania po tabletkach nasennych.

Nymand skinął głową.

– Owszem, i w próbkach pobranych podczas sekcji stężenie leków nasennych było wysokie, ale zważywszy na taką ilość insuliny, której obecność wykazały najnowsze badania, nie ma najmniejszych wątpliwości, że to właśnie insulina ją zabiła.

Carl Emil ściągnął sweter przez głowę i odwracając się od jasnowłosej policjantki, próbował spojrzeć Nymandowi w oczy.

– Twierdzicie więc, że ktoś wdarł się do domu naszych rodziców, aby zabić matkę, i wyszedł z niego, niczego stamtąd nie zabierając? – spytał tonem, który zabrzmiał nieco bardziej sarkastycznie, niż zamierzał. – Nasza matka miała sporo cennej biżuterii, a część klejnotów, która nie jest zamknięta w sejfie, leży w szkatułce na toalecie w sypialni.

– My nic nie twierdzimy – odparł Nymand spokojnie. – Po prostu informujemy, że pojawiły się nowe elementy w sprawie. Dlatego wszczynamy śledztwo, które będzie dotyczyć zabójstwa.

– Klejnoty leżały nietknięte, kiedy ją znaleźliśmy - dodała Rebekka, składając ręce pod brodą, a jej rolex na luźnej bransoletce zsunął się po rękę. – Nie było żadnych śladów włamania. Przecież sami to sprawdzaliście!

Carl Emil wyczuł jej spojrzenie i przeniósł wzrok na policjantkę.

Pomyślał o *Aniele śmierci*, ale postanowił to przemilczeć.

– Na miłość boską! – prawie krzyknął, rozkładając ręce. – W domu pełno kosztowności, srebra leżą na wierzchu, a na ścianach wiszą cenne dzieła sztuki. Gdyby ktoś się włamał, to przecież coś z tego by zabrał!

Nymand przyznał mu rację.

– My również uważamy, że wasza matka musiała wpuścić sprawcę do domu – powiedział. – Właśnie wysłałem techników, żeby ponownie sprawdzili dom. Zaczęli już badania na zewnątrz.

Nymand wstał i przyniósł im nakaz przeszukania. Rebekka straszliwie pobladła. Niespokojnie przekręcała pierścionki na palcach. Carl Emil, czując na sobie jej wzrok, wolno kiwnął głową. Nymand wrócił za swoje biurko i ciężko usiadł na obrotowym krześle.

– Rozumiem, że to dla was szok – znów odezwała się policjantka – ale jak sami zauważyliście, to nie był rozbój. Wasz ojciec również uważał, że nic nie zginęło. Należy więc przyjąć, że to nie było zabójstwo z chęci zysku – mówiła powoli i wyraźnie, a jej niebieskie oczy patrzyły spokojnie raz na Carla Emila, raz na Rebekkę. – Dlatego muszę spytać – ciągnęła teraz już nieco leniwym tonem – czy potraficie wskazać kogoś, kto mógłby mieć motyw do dokonania zabójstwa waszej matki?

Carl Emil mimowolnie pokręcił głową. Myśli zaczęły mu uciekać, a koszula już lepiała się od potu.

– Czy ona mogła mieć romans – spytała policjantka – i państwa ojciec mógł go odkryć?

W pokoju zapadła tak ciężka cisza, że Carl Emil usłyszał, jak jego siostra z trudem łapie powietrze. Rebekka powoli wstała i odwróciła się do komendanta. Jej ciemne oczy stały się niemal całkiem czarne.

– Proszę mi powiedzieć – zaczęła groźnie – czy wy próbujecie insynuować, że nasza matka miała kochanka – z trudem panowała nad głosem – i dlatego nasz ojciec ją zabił... – Zrobiła parę kroków w stronę Nymanda.

– My niczego nie insynuujemy – powstrzymał ją komendant spokojnie. – Po prostu musimy sprawdzić taką ewentualność, zwłaszcza że wasz ojciec zniknął tuż po pogrzebie. A może to on miał kochankę? Może wyjechali gdzieś razem? Przecież nic o tym nie wiemy.

Carl Emil spojrzął na siostrę, która wciąż stała. W końcu pokręcił głową.

– Nigdy nie miałem powodu, by podejrzewać rodziców o romans – powiedział, patrząc wprost na policjantkę. – Zawsze byli razem. Razem wyjeżdżali, razem wychodzili z domu. Po prostu razem żyli.

Policjantka zaczęła zapisywać. Carl Emil nie bardzo rozumiał, w którym momencie ich zwyczajna rozmowa zmieniła się w coś, co bardziej przypominało przesłuchanie. Poprawił koszulę zupełnie przyklepioną już do pleców. Ich matka kochała Isabellę, swoją jedyną wnuczkę. Kiedy były mąż Rebekki wyprowadził się z willi na Frederiksborgvej, zaczęła kilka razy w tygodniu odbierać dziewczynkę ze szkoły. Trochę go to nawet zaskoczyło, bo w tym czasie atmosfera w rodzinie osiągała punkt zamarzania po usunięciu ojca z Termo-Luxu, lecz matka najwyraźniej zdecydowała, że rodzinne spory nie mogą się odbić na wnuczce.

Ojciec nie zostawił żadnego listu. W dniach poprzedzających jego zniknięcie nie wspominał też o żadnych planach. Wszystko kręciło się wokół pogrzebu matki. Nagle po prostu przepadł, a gdy na poważnie zaczęli się niepokoić jego nieobecnością, Rebekka na biurku w gabinecie ojca znalazła tylko jego komórkę i portfel. Leżały ułożone równiutko obok siebie, co uznała za działanie celowe. Nikt nie wiedział, kiedy dokładnie ojciec zniknął. Po przejęciu firmy dzieci nie utrzymywały z nim kontaktu na co dzień. Siostra Carla Emila ciągle powtarzała, że będzie to pozytywnym sygnałem dla blisko tysiąca pracowników. Nowy zarząd powinien wyraźnie zaznaczyć nadejście nowych czasów, zmianę tonu i podstawowych wartości spółki. Pomyślał teraz, że Rebekka z pewnością miała rację, iż ojcu trudno byłoby się przestawić. Tak przecież bywa, kiedy człowiek coś zbuduje, a czasy się zmieniają. Carl Emil tęsknił za ojcem, lecz nie mógł powiedzieć,

że żałuje działania za jego plecami. Żałował jedynie, że tak zaufał siostrze.

– Musimy porozmawiać z ludźmi, którzy mieli bliski kontakt z waszymi rodzicami.

Głos policjantki przywołał go z powrotem do gabinetu komendanta policji. Przez chwilę patrzył na nią bez słowa. Musiał odzyskać kontrolę nad emocjami.

– To nie nasz ojciec zabił matkę – oświadczył z udawanym spokojem. – Rodzice bardzo się kochali. Przeżyli razem całe życie. Poza tym ojciec ma alibi. Był na zebraniu zarządu na Fionii, możecie spytać o to innych uczestników tego spotkania. To po prostu niemożliwe. Musicie szukać dalej.

– To jest możliwe – odezwał się Nymand ze swojego miejsca pod oknem. – Mógł jej zrobić zastrzyk przed wyjazdem. W przeważającej liczbie zabójstw ofiara i sprawca są ze sobą blisko powiązani, a tu mamy do czynienia z zabójstwem, które nie zostało popełnione w afekcie. Wszystko wskazuje na to, że zabójca starał się ukryć swój czyn.

– Musimy znaleźć motyw – uzupełniła policjantka i rzuciła kilka przykładów: – Zazdrość? Zemsta? Pożądanie? Zysk...

– Kogo wasza matka wpuściłaby do domu? – przerwał jej Nymand.

– Każdego – odpowiedziała Rebekka, która z powrotem usiadła. – Zwykle drzwi otwierała pomoc domowa, ale kiedy miała wolne, matka sama szła do wejścia.

– A pomoc domowa zjawiała się dopiero po śmierci waszej matki – wtrąciła policjantka. – Z raportu wynika, że to ona wezwała karetkę, znalazłszy waszą matkę w sypialni.

Carl Emil kiwnął głową. Matka w dniu śmierci była w posiadłości sama, bo ojciec wcześniej rano pojechał na Fionię.

– Nie zabił jej nikt znajomy – oświadczyła Rebekka. – Wszyscy ją lubili. – Przez chwilę milczała, w końcu wbiła spojrzenie ciemnych oczu w Nymanda. – Ale pan oczywiście nie może o tym wiedzieć, bo przecież pan jej nie znał.

Komendant niespokojnie poruszył się na krześle.

– Owszem, dobrze znałem waszą matkę. Przecież aktywnie działała na rzecz miasta.

Carl Emil zdołał opanować złość, chociaż jakby strzelił w niego piorun. Aktywnie działała na rzecz miasta! Jego rodzice hojnie rzucali groszem za każdym razem, gdy stowarzyszenie kupców szukało sponsorów na sobotnie letnie jarmarki albo świąteczne oświetlenie Algade. To przecież z ich podatków utrzymywała się połowa Roskilde! Rzeczywiście aktywnie działali na rzecz miasta, ale najwyraźniej nie na tyle aktywnie, by nie brukać ich pamięci po śmierci.

Zaczerpnął głęboko powietrza, próbując otrząsnąć się z gniewu.

– Do czego jesteście wam teraz potrzebni? – spytał, wstając i niespokojnie podchodząc do okna.

– Prosilibyśmy o sporządzenie listy nazwisk osób z bliskiego kręgu waszych rodziców. No i musimy wejść do domu.

– Wobec tego muszę się najpierw skontaktować z naszym adwokatem – oświadczył Carl Emil, a komendant kiwnął głową.

– Oczywiście.

Carl Emil od razu wyjął komórkę i czekał niecierpliwie, żeby adwokat odebrał.

– Nie mogę teraz rozmawiać – oznajmił Wedersøe bez wstępów. – Oddzwonię.

– Nie! Musisz mnie wysłuchać – zaprotestował Carl Emil natychmiast. – Dzwonię z komendy w Roskilde. Policja twierdzi, że znalazła dowód na to, że nasza matka została zamordowana. Podejrzewają, że zrobił to nasz ojciec!

Usłyszał, że adwokat przeprosza kogoś, i chwilę później rozległ się odgłos zamykanych drzwi.

– Co to ma znaczyć? – spytał Miklos Wedersøe już bardziej przejęty.

– W próbkach pobranych z jej ciała podczas sekcji znaleziono dużą dawkę insuliny. Teraz policja żąda szczegółowych informacji o naszych

rodzicach i ich bliskich znajomych.

– Możesz spokojnie ich udzielić – zapewnił szybko adwokat.

– Proszę też o dostęp do domu. Mam tam z nimi jechać czy po prostu podać im kod do alarmu?

– Podaj im kod, bo inaczej niepotrzebnie stracisz czas – odpowiedział adwokat. – Aż do końca dnia mam umówione spotkania, ale jakoś się skontaktuję z Nymandem. Musi mi wyjaśnić, na jakiej podstawie podejrzewa waszego ojca. Formalnie wciąż jestem jego adwokatem.

Carl Emil podszedł do biurka Nymanda i zapisał mu na kartce sześciocyfrowy kod do alarmu. Potem zadzwonił do zarządcy posiadłości z prośbą, by wydał policjantom komplet kluczy. Zabrał już swój sweter z krzesła, kiedy Nymand wstał.

– Poproszę was o przejście do sąsiedniego pokoju. Tam powiecie, co robiliście w dniu śmierci waszej matki. Trzeba też od was pobrać odciski palców. Mam nadzieję, że to dla was oczywiste – dodał, wyprowadzając Carla Emila na korytarz. – A z tego, co rozumiem, to pan chyba ma nieograniczony dostęp do insuliny, prawda?

Po drodze z komendy Rebekka non stop gadała. Rano, kiedy Carl Emil zabrał ją spod głównego wejścia do Termo-Luxu na spotkanie z policją, nie poświęciła mu prawie żadnego spojrzenia, wyraźnie dając do zrozumienia, że jest obrażona po ostatniej wizycie w kancelarii Wedersøego, ale teraz górę wzięło w niej wzburzenie oskarżeniami wysuniętymi wobec ojca.

– Dobrze przynajmniej, że ojciec sam nie musi przez to przechodzić. Nie wie, że policja go podejrzewa o zabójstwo – powiedział Carl Emil. – To by go kompletnie załamało.

Odwróciła się do brata, kręcąc głową.

– Czy ty myślisz wyłącznie o ojcu?! – zawołała ze złością. – Nie pomyślałeś w ogóle, jak to dotknie mnie? Jak ludzie zareagują, kiedy się o tym dowiedzą? Dla nieszczęśliwej rodziny, w której doszło do samobójstwa, można mieć współczucie, ale ono gaśnie, kiedy któregoś z jej członków oskarża się o zabójstwo. Ruszą plotki, a gazety uwielbiają takie tematy!

Carl Emil bez słowa zwolnił pedał gazu i zerknąwszy w boczne lusterko, skierował wielkiego range rovera na ścieżkę rowerową.

– Wydaje ci się, że ciebie dotknie to najbardziej? – spytał, nie kryjąc obrzydzenia. – Przecież to, że policja podejrzewa ojca o zabójstwo, to znacznie poważniejsza sprawa!

– Nie godzę się na dalsze traktowanie w taki sposób. Jeśli policja chce się dowiedzieć czegoś więcej, ty się tym musisz zająć. Ja się będę zajmowała firmą.

Wzburzony Carl Emil patrzył przed siebie. Nie skomentował ostatnich słów Rebekki. Włączył kierunkowskaz i dalej w milczeniu jechał Frederiksborgvej. Nic dziwnego, że Jeffrey ją rzucił. Małżeństwo siostry przetrwało niespełna cztery lata i Anglik już miał dość. Przeniósł się

do mieszkania w Kopenhadze przy Kongens Nytorv.

Ale przecież on sam też nie czuł się najlepiej, gdy zasypano go gradem pytań o to, co robił w dniu, gdy matkę znaleziono martwą. No i jeszcze ta sprawa insuliny. Nie mógł przecież zaprzeczyć, że zawsze miał ją przy sobie, tak przecież jest z chorymi na cukrzycę. W domu rodziców też przechowywał zapas, więc w zasadzie była dostępna i dla ojca. Przez całe przesłuchanie starał się nie tracić panowania nad sobą, chociaż wiele razy został doprowadzony na skraj wytrzymałości nerwowej, a w końcu w ogóle już nie wiedział, co o tym myśleć. Z tamtego dnia pamiętał jedynie, że leżał w łóżku otoczony duszącym zapachem róż, gdy zadzwoniono z wiadomością o śmierci matki. Na szczęście wiedział, gdzie mieszkała tamta dziewczyna, więc mógł podać jej nazwisko i adres.

Zahamował na czerwonym świetle. Mógł z detalami opisać swoje rozluźnienie i rozleniwienie, kiedy odbierał komórkę. A także poczucie niepojętej straty, jakie ogarnęło go, gdy dowiedział się o samobójstwie matki. I tamten mróz, który sparaliżował mu wtedy ciało, przeniknął go aż do szpiku kości i wciąż nie odpuszczał.

– Nasz ojciec nie zabił matki – oświadczył, nie patrząc na siostrę.

– Insulina – szepnęła Rebekka po dłuższej chwili. – Co na to powiesz?

Nie chciał odpowiadać, jechał dalej w milczeniu.

– Więc może to nie przypadek, że *Anioł śmierci* zniknął – ciągnęła Rebekka.

Policja mówiła o zabójstwie upozorowanym na samobójstwo. Trudno to było pojąć. W tej chwili Carl Emil jeszcze nie potrafił przewidzieć konsekwencji tej nowej informacji. Musiał patrzeć na drogę, a nie przyglądać się siostrze. Ale i tak czuł na sobie jej spojrzenie.

– Dziadek i ojciec potrafili dochować tajemnicy. Dlaczego nie jest zaskoczeniem dla mnie, że ty tego nie potrafisz? Dlaczego nie mogłeś trzymać gęby na kłódkę? To takie do ciebie podobne. Zawsze ci mało bez względu na to, ile dostaniesz!



Ukryta za ciemnymi okularami i kolorową chusteczką wydawała się blada i słaba, ale gniew w jej głosie potrafił zmrozić. Carl Emil musiał przyznać, że trudno mu było pojąć ostatnie wydarzenia. Oskarżenia wobec ojca. Podejrzenia skierowane wobec niego. Dopiero kiedy przeszedł do sąsiedniego pokoju w komendzie, uświadomił sobie, że oto stał się bohaterem śledztwa w sprawie o zabójstwo, które najprawdopodobniej koncentrować się będzie wokół całej rodziny.

Przez chwilę znów jechali w milczeniu. Wreszcie Rebekka głośno nabrała powietrza, jakby szykując się do zadania najważniejszego pytania.

– Ilu osobom zdradziłeś tajemnicę *Anioła śmierci*?

Westchnął, włączył lewy kierunkowskaz, zaczekał, aż nadjeżdżający z przeciwka samochód ich minie, i skręcił na podjazd prowadzący do dużej willi siostry położonej tuż nad fiordem Roskilde. Pod szerokimi oponami range rovera zachrząścił żwir, gdy wolno podjeżdżał i stawał obok jej małego kabrioletu, eleganckiego mini coopera. Duże audi Rebekki zostało w firmie.

– Nikomu oprócz Miklosa – odparł, wzruszając ramionami. – Ale nie mogę zagwarantować, że wiadomość nie zaczęła się rozchodzić, kiedy zaczął badać rynek.

– Ty cholerny idioto! – krzyknęła Rebekka.

Carl Emil pokiwał głową, spoglądając na fiord. Naprawdę nie wiedział, ile osób zostało w to wtajemniczonych. Osobiście napisał dwa e-maile do domów aukcyjnych z pytaniem o ich doświadczenia z takimi zabytkami jak ten stary kościelny witraż, ale z obu otrzymał odpowiedź, że jeśli naprawdę jest mowa o takim zabytku, to nie mogą pomóc, ponieważ musi zostać zwrócony do Stambułu, do muzeum, w które przekształciła się Hagia Sophia.

Główne drzwi dużej białej willi otworzyły się gwałtownie i jego ośmioletnia siostrzenica w różowych crocsach puściła się biegiem w stronę samochodu. Szybko wysiadł i objął dziewczynkę, żeby nie zdążyła

rozdzielić ich Rebekka. Długo tulił Isabelłę, a potem nachylił się i pocałował ją w oba policzki.

– Witaj, księżniczko! – powiedział. – Jak ci idzie taniec?

– Bardzo dobrze – uśmiechnęła się z dumą dziewczynka. – Wystąpię dopiero w wiosennym przedstawieniu. Sama pomagałam przy szyciu sukienki, w której będę tańczyć. Chcesz zobaczyć?

Carl Emil pokręcił głową.

– Dzisiaj nie mam czasu, ale następnym razem chętnie ją obejrzę. No i pokażesz mi, co będziesz tańczyć.

Dziewczynka z zapałem pokiwała głową.

Rebekka też podeszła i pocałowała córkę. Objęła ją i razem ruszyły w stronę domu. Carl Emil zrobił kilka szybkich kroków i położył rękę na ramieniu siostry.

– Bekka, do diabła! Przecież nie mamy żadnej przyjemności z tego *Anioła śmierci*. W dodatku nawet nie widzieliśmy oryginału, najwyraźniej więc nie będziemy za nim tęsknić. Pomóż mi go szukać!

Słyszał swój błagalny ton i sam się za to nienawidził, ale Rebekka nie miała wyłączności na decydowanie o tym, co zrobią z rzeczami należącymi do ich rodziców.

Siostra jednak wzruszyła ramionami, jakby chciała strząsnąć jego rękę, i nie patrząc na niego, oświadczyła:

– *Anioł śmierci* to część historii naszej rodziny. Nie jest na sprzedaż.

Wzięła córkę za rękę i poszła w stronę domu.

Chętnie będę towarzyszył pani Milling do Esbjerg – zaofiarował się Melvin, gdy Louise ze spotkania z Rønholtem wróciła do domu tylko po to, żeby wziąć samochód, i krótko wyjaśniła mu, dlaczego znów niedługo musi wyjść.

Jonas siedział z sąsiadem w kuchni nad rozłożonymi puzzlami z tysiąca kawałków. Na szczęście zaczęli układać obrazki na dużej drewnianej płycie, którą łatwo dawało się przenosić. „Dziewięć pięknych latarni morskich Bretanii”, informował napis na pokrywce, którą ustawili pod ścianą. Posortowali też kawałeczki układanki kolorami. Louise uważała, że mają za dużo czasu, skoro chce im się zabierać do takiej dłubaniny, ale trudno było zaprzeczyć, że spędzają miło czas. Uczeń i emeryt. Tym nowym projektem zajmowali się już od kilku dni. Jonas układał ramkę, a Melvin latarnie, o które rozbijały się fale. Dina spała na podłodze z głową na stopach Jonasa.

– Będzie potrzebowała firmy przeprowadzkowej, która wszystko spakuje i przewiezie do magazynu – powiedziała Louise. – Wydaje mi się, że nie da rady sama wszystkiego przypilnować.

– Właśnie dlatego chętnie z tobą pojedę – powtórzył Melvin. – Nawet jeśli wszystko ma trafić do magazynu, to przypuszczam, że jednak ta pani będzie chciała wybrać kilka rzeczy, które zabierze do domu.

Louise pokiwała głową. Rzeczywiście można się było tego spodziewać. Siedziała w salonie i przeglądała akta sprawy Jeanette Milling. Nic w korespondencji e-mailowej ani w billingach telefonicznych nie wskazywało, by kobieta przed wyjazdem miała kontakt z kimkolwiek w Hiszpanii. Nie planowała więc swojego zniknięcia. Louise przestudiowała też raporty. Policja z Esbjerg rozmawiała z kolegami z pracy i ze znajomymi Jeanette Milling. Nikt nie mógł w niczym pomóc, nikt nic nie wiedział

o żadnym hiszpańskim kochanku, nie zauważył też, by była przygnębiona. Nikt spośród jej znajomych nie miał nawet cienia podejrzenia, by mogła targnąć się na własne życie.

– To byłoby dla niej straszne, gdyby wszystkie te rzeczy ktoś po prostu spakował, a ona nie mogłaby nawet ich posortować – upierał się Melvin. – Chętnie dotrzymam jej towarzystwa, żeby w spokoju mogła odłożyć to, co zechce zatrzymać.

Melvin Pehrsson sam stracił żonę kilka lat wcześniej. Ostatnie lata życia spędziła w domu opieki, wiedział więc, jakie znaczenie ma dla człowieka to, by mógł otoczyć się niektórymi rzeczami najbliższej osoby, jak zrobił on, gdy jego żonę sztucznie utrzymywano przy życiu.

– Ależ, Melvinie! – zawołała Louise. – Przecież wy się nie znacie!

– Ale się poznamy, skoro mamy razem jechać pociągiem aż do Esbjerg.

– Ja też jadę – oświadczył Jonas.

– Nigdzie nie pojedziesz, ty masz chodzić do szkoły! I siedzieć tam aż do ostatniego dzwonka! – warknęła Louise, od razu żałując swojego tonu.

Nie zdążyła jeszcze z nim porozmawiać. Nie chciała poruszać przykrego tematu przez telefon, a po powrocie do domu zwyczajnie o tym zapomniała, widząc, jak miło chłopiec spędza czas z Melvinem.

Reakcja nastąpiła natychmiast. Oczy Jonasa pociemniały, wbił spojrzenie w stół, zasłaniając twarz opadającą grzywką. Melvin chciał coś powiedzieć, ale Louise pokręciła głową. Przez chwilę stała, obserwując chłopca.

Nie mogła zrozumieć, co się z nim dzieje. Przecież zastała go w kuchni grzecznego jak zawsze, bez cienia tego buntu i zacięcia, które zauważyła przed przyjściem Camilli i Markusa. Dobrze, że zbliżał się weekend, będzie miał dwa dni na przyzwyczajenie się do aparatu na zębach.

– Czy wam się wydaje, że to będzie wyjazd na rodzinną wycieczkę? – zażartowała, żeby nieco załagodzić atmosferę.

Właściwie pogodziła się już z myślą o tym, że sama zawiezie starszą

panią do mieszkania córki, aby była na miejscu, gdy zjawią się ludzie z firmy przeprowadzkowej. Jednocześnie sama będzie miała okazję zobaczyć, jak mieszkała Jeanette Milling i w jakim stanie zostawiła mieszkanie przed wyjazdem. Louise była przekonana, że po rzeczach leżących na wierzchu będzie umiała rozpoznać, czy Jeanette miała zamiar wrócić do domu.

– Rozmawiałam już z firmą przewozową. Mogą przyjechać w sobotę po południu i zapakować wszystko w skrzynie, a w niedzielę rano przewieźć je na Zelandię. Trzeba im tylko powiedzieć dokąd. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy pani Milling w ogóle będzie miała ochotę jechać do mieszkania córki.

– Oczywiście, że tak – oświadczył Jonas, więc Louise nie powiedziała już nic więcej.

On również był obecny przy likwidowaniu mieszkania na plebanii po śmierci jego ojca. Zabrał stamtąd głównie rzeczy ze swojego pokoju, ale również część należących do pastora. Resztę spakowano i oddano na przechowanie aż do dnia, kiedy Jonas będzie miał własne mieszkanie i wybierze to, co zechce zachować.

– Zaproponuję jej naszą pomoc i zobaczymy, co na to powie – zdecydowała Louise, zdejmując kluczyki z wieszaka w przedpokoju. – Widzimy się później. Nie wiem, kiedy wrócę. Wszystko zależy od reakcji pani Milling.

Dom w Dragør był żółty i miał z przodu nieduży ogródek otoczony zielonym płotem i z wyłożonymi brukiem alejkami. W oknach się świeciło. Pani Milling otworzyła, zanim Louise zdążyła dotknąć palcem dzwonka. Musiała ją zauważyć, kiedy wchodziła przez furtkę.

– Jak miło z pani strony, że wybrała się pani aż tutaj. – Starsza kobieta uśmiechnęła się ciepło. – Zastanawiałam się, kiedy wreszcie ktoś zechce poświęcić trochę czasu na rozmowę ze mną.

Louise wzięła od pani Milling podany jej wieszak. Siwowłosa staruszka miała miłe piwne oczy, a na szyi duży srebrny wisior. Ruszyła przodem

do niskiego salonu i wskazała Louise ciemnoczerwoną kanapę. Sama wyszła do kuchni i wkrótce wróciła stamtąd, niosąc tacę. Ręce trochę jej drżały, gdy stawiała ją na stole, Louise nachyliła się więc, żeby pomóc.

– Przyniosę jeszcze kawę w dzbanku – oznajmiła pani Milling i zawróciła do kuchni.

Louise sama więc zaczęła ustawiać na stole filiżanki i miseczkę z ciasteczkami.

– Okropny u mnie bałagan – powiedziała pani Milling, kiedy już siedziały naprzeciwko siebie. – Próbowałam posprzątać pokój gościnny, bo myślałam, że tam mogłyby trafić rzeczy Jeanette, a przynajmniej ich większość...

Nalała kawy i zachęciła Louise, żeby poczęstowała się ciasteczkami. Louise nabrała powietrza w płuca i położyła ręce na kolanach.

– Pani Milling... – zaczęła. – Bardzo mi przykro, że to powiem, ale, niestety, musi pani przygotować się na to, że córka nie wróci już do domu. Nie potrafię powiedzieć, czy Jeanette padła ofiarą przestępstwa, czy sama odebrała sobie życie, czy też może postanowiła zniknąć, żeby zacząć wszystko od początku, ale sądzę, że nadeszła już pora, aby pogodzić się z myślą o tym, że życie pani córki w Esbjerg już się skończyło.

Pani Milling powolnym ruchem odstawiła filiżankę na stół.

– A więc pani uważa, że ona już nie wróci – powtórzyła, zaciskając dłonie.

Louise ze współczuciem pokiwała głową.

– Obawiam się, że właśnie tak. Hiszpańska policja poszukuje jej od chwili, kiedy zniknęła, ale nikt jej nie widział. Od tego ostatniego śniadania w hotelu nie ma żadnego śladu.

Zapadła cisza. Wreszcie przerwała ją pani Milling:

– Moja córka nie popełniła samobójstwa. I nie zniknęłyby też bez uprzedzenia. Miałyśmy tylko siebie. Pożegnałaby się ze mną jak należy. Zawsze miałyśmy dla siebie nawzajem szacunek i zrozumienie. Często

rozmawialiśmy o tym, że może nadejść taki dzień, gdy którejś z nas nie będzie się chciało dłużej być na tym świecie. Oczywiście ten temat pojawiał się głównie z uwagi na mój wiek. I dopuszczaliśmy ewentualność szybszego odejścia. Pozwalałyśmy sobie na to.

Louise kiwnęła głową, czując ściskanie w piersi. Ale to nie była jej żaloba. Nie mogła jej brać na siebie.

– Ustaliłyśmy jednak, że wcześniej należy się pożegnać, żeby nie było żadnych nieporozumień i niedopowiedzeń. Tak się umówiłyśmy. Uszanowałabym również, gdyby miała ochotę spróbować czegoś nowego, zacząć wszystko od początku, jak pani się wyraziła. Ale powiedziała by mi o tym i uporządkowała swoje rzeczy przed wyjazdem. Moja córka nigdy nie zostawiłaby mnie z tym wszystkim, z czym muszę sobie teraz sama radzić. Wiedziała przecież, że to na mnie spadnie.

– A jaki może być według pani powód tego, że córka nie wraca do domu? – spytała, gdy po policzku kobiety spłynęło kilka łez.

– Ona nie żyje – zapłakała starsza pani, spuszczać głowę i zamykając oczy. – Wydaje mi się, że moja córka nie żyje. Ale dopóki nikt nie powiedział tego wprost, a policja dalej jej poszukuje, dopóty ciągle miałam nadzieję. Łatwiej było odpychać wszystko od siebie, chociaż w głębi ducha wiem, jak jest naprawdę.

Na parapetach stały gęsto rośliny doniczkowe, w rogach pokoju lampy stojące, a na podłodze leżał gruby dywan. W tym domu musiał kiedyś mieszkać mężczyzna, pomyślała Louise, patrząc na ciężkie mahoniowe biurko z podkładką do pisania i lampką.

– Niczego nie wiadomo na pewno, dopóki nie znajdzie się ciała – zauważyła, gdy Grete Milling doszła już nieco do siebie.

Matka Jeanette w milczeniu kiwnęła głową. Oczy miała mokre, a dłonie wciąż zaciskała na kolanach, jakby były jedynym stałym punktem, którego mogła się trzymać. Dalej nic nie mówiła. Louise naląła sobie kawy z dzbanka i z pytającą miną sięgnęła po filiżankę pani Milling, bo jej kawa

zdążyła już wystygnać.

– Rozmawiałam z firmą przeprowadzkową w Esbjerg, która mogłaby spakować i przewieźć rzeczy Jeanette już w ten weekend.

Starsza pani spojrzała na nią zaskoczona i nagle energicznie podniosła rękę.

– Bardzo dobrze. Właśnie tak musi być – stwierdziła. – Muszę raczej zrobić tak, jak mi każą, i opróżnić to mieszkanie, żeby na moją córkę nikt się nie złościł. Jeżeli dostatecznie wcześnie wyjdę z domu, to powinnam zdążyć na pociąg, który mnie tam zawiezie, zanim wszystko spakują. – Wstała. – Mam gdzieś rozkład. Pociągi jeżdżą chyba od rana, chociaż to weekend.

Wróciła z rozkładem Kolei Duńskich, usiadła i sięgnęła po okulary.

– Autobusem dojadę na Dworzec Centralny – podjęła – a po dotarciu do Esbjerg też powinnam znaleźć jakiś autobus z dworca. Jeanette mieszkała w Hjerting.

– A może ja bym tam panią zawiozła? – wtrąciła szybko Louise, przerywając jej planowanie. – Zabrałabym panią koło dziesiątej. Myślę, że dotarłybyśmy na miejsce, zanim firma zacznie pakować rzeczy.

– Ależ, moja droga, nie może pani tracić na mnie wolnego dnia!

Louise z uśmiechem wyjaśniła, że jej sąsiad, a także dwunastoletni przybrany syn zaofiarowali się z pomocą.

– To bardzo miło z pani strony, ale nie mogę pozwolić, żeby pani z całą rodziną wyprawiała się tak daleko.

– Bardzo tego chcemy – nalegała Louise, nie wyjaśniając, że jada w obawie o reakcję starszej pani. – Wyjazd z Kopenhagi dobrze nam zrobi, a ja chciałabym poza wszystkim zobaczyć mieszkanie pani córki, zanim zostanie zlikwidowane.

Pani Milling zdenerwowana wyłamywała palce.

– W takim razie zapłacę przynajmniej za benzynę – oświadczyła.

– Dobrze – zgodziła się Louise. – Wobec tego jesteśmy umówione.

– Zatem bardzo dziękuję. To naprawdę bardzo miłe z pani strony. Mój



mąż zmarł wkrótce po confirmacji Jeanette i od tamtej pory nie mam samochodu. W ogóle niewiele jeździłam, chociaż zrobiłam prawo jazdy kilka lat po ślubie.

– To naprawdę żaden problem – zapewniła ją Louise. – Chętnie się przejadę. I proszę się niczego nie obawiać. I Melvin, i Jonas wiedzą, czym jest strata najbliższej osoby. Rozumieją, że człowiek potrzebuje wtedy pomocy.

Spytała jeszcze, czy pasuje jej zaproponowana dziesiąta nazajutrz.

– Oczywiście – odparła starsza pani. – Będę gotowa. Muszę tylko wziąć klucze do mieszkania Jeanette.

Grete Milling odprowadziła Louise do drzwi i ujęła obie jej dłonie.

– Dziękuję, że poświęciła pani dla mnie czas – powiedziała.

– To ja pani dziękuję – uśmiechnęła się Louise. – Do jutra.

Z jej ciała zostały jedynie włókna i kości, wszystko inne zastąpił silikon, który wypełnił każdą komórkę, zachowując jej pierwotną strukturę i uodparniając ją na naturalny rozkład. Innymi słowy, kobieta została zakonserwowana na wieki.

Jedynym elementem niepasującym teraz do całości były puste oczodoły, bo gałki oczne nie wytrzymały kąpieli w acetonie. Nie dało się ich ocalić, dlatego musiały zostać zastąpione parą szklanych, wyjętych z drewnianego pudełka. Zrobił z tego całą ceremonię. Musiał dobrać kolor. Zużył już trzy pary, a zielone chciał zachować dla rudowłosej, która dopełni jego kolekcję.

Te zielone zresztą się nie nadawały. Od samego początku wiedział, że oczy tej kobiety muszą być niebieskie, ale czy mają być jasne i przejrzyste, czy też mieć głębszą, bardziej intensywną barwę, to mógł stwierdzić dopiero, gdy będzie gotowa do umieszczenia jej w przeszklonej witrynie.

Po jego ciele rozlało się przyjemne ciepło.

Nareszcie czuł, że ją zna, chociaż nigdy nie oglądał jej żywej. Nie przeszkadzało mu to jednak, i tak rodziła w nim silne emocje. Podobnie było w wypadku trzech pierwszych kobiet. Stały się częścią jego życia. Taką zresztą miał nadzieję, gdy zamawiał tamtą pierwszą.

Idealna, pomyślał, przyglądając się blondynce.

Schował już węże i płynny silikon, odsunął stolik na kółkach i posprzątał, tak aby wszędzie panował ład, zanim wyciągnie lampy nagrzewające. Trzy duże czerwone lampy tego samego rodzaju, jakich używano na kurzych fermach do ogrzewania jaj i piskląt. Haki w suficie wbił już dawno. Rozmieszczył je w odległości pięćdziesięciu centymetrów, aby ogrzewały ciało na całej długości, mimo że kobiety różniły się wzrostem.

Przystawił niedużą drabinę, wspiął się na nią i zawiesił pierwszą lampę.

Miał ochotę na kieliszek szampana. Zwykle wznosił toast dopiero, gdy

kobieta znalazła się w witrynie, ale teraz ogarnęła go nieoczekiwana euforia. Kobieta w wannie była prawie gotowa. Jeszcze tylko silikon musiał zastygnąć, no i należało włożyć oczy. To ukoronowanie dzieła.

Włosy blondynki wciąż skrywał czepek, ale teraz, gdy wanna była już pusta, a on miał przełożyć swoje dzieło na nosze, mógł je uwolnić. Teraz nie mogły już doznać uszkodzeń.

Poszedł po nosze na kółkach do pierwszego pomieszczenia. Zabrzęczały, gdy wsuwał je przez drzwi. Podjechał nimi aż do samej wanny. Z szafy wyjął duże białe frotowe prześcieradło. Pachniało lawendą, francuskim płynem do płukania tkanin. Rozpostarł je na stalowej powierzchni i poprawił tak, by wszystkie cztery rogi opadały równo.

Po trwającej pół roku pracy przyszła pora na przyjemności. Wreszcie osiągnęli punkt, w którym blondynka miała odzyskać swoją godność. W przeciwieństwie do wszystkich innych kobiet, które się starzały, jej uroda miała zostać zachowana na zawsze.

Blondynka była drobna i lekka. Bez najmniejszego kłopotu przeniósł ją na nosze. Sięgnął po mniejszy ręcznik i wytarł ją do sucha.

Piersi miała jędrne, w kształcie kropli. Poprawił nieco ułożenie rąk, odwrócił dłonie wnętrzem do dołu i wygładził palce. Silikon nie najlepiej rozszedł się po jej nogach, w kilku miejscach utworzyły się purchle, ale z tym sobie poradzi, zanim włączy lampy. Dopiero gdy silikon zastygnie, trudno jest poprawić błędy. Właśnie w tej chwili jego dusza artysty naprawdę się budziła. Przed włączeniem lamp musiał modelować i kształtować, zajmować się najdrobniejszymi szczegółami, dzięki którym to ciało będzie idealne.

Zapalił mocne światło na suficie, a lampę roboczą przesunął nad jej twarz. Roztarł palce, by je rozgrzać, i zaczął wygładzać jej policzki. Miała delikatną skórę, białą jak muszla. Gdy ją przywieziono, była opalona, z okropnymi śladami po bikini. Na szczęście opalenizna wyblakła po kąpieli w acetonie i cera znów stała się jednorodna.

Gdy skończył modelować ciało, zadowolony cofnął się o krok i poczuł dumę. Znów mu się udało. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Mimo że jeszcze nie skończył, już teraz widział, że rezultat będzie idealny.

Z uśmiechem przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia po drewniane pudełko ze szklanymi oczami. Łatwiej było je umieszczać przed zastygnięciem silikonu. Zdecydował się na intensywnie niebieskie, a gdy je włożył, odniósł niemal wrażenie, że się poruszyły.

Rezultat naprawdę był świetny. Właściwie fantastyczny, stwierdził z dumą, przesuwając nosze pod lampy. Zabrał pudełko i ściereczkę, a potem włączył nagrzewanie.

Największe oczarowanie przeżył w związku z pierwszą kobietą. Była ujmująca. Młoda, blada, z długimi czarnymi włosami... Wygląd ciała odgrywał wielką rolę. Musiały do siebie pasować, tak aby wystawa była idealna.

Nie chciał nic o nich wiedzieć. Składał zamówienie, ze szczegółami opisując, jak mają wyglądać, a dostawa musiała być zgodna z jego oczekiwaniami. Innych kobiet nie potrzebował.

Milion duńskich koron za jedne zwłoki dostarczył na przydrożny parking na Zelandii. Ale miejsca dostawy były różne, a płacił dopiero po otrzymaniu ciała. To kwestia wzajemnego zaufania.

Podczas dostawy nigdy ze sobą nie rozmawiali, a on nie zadawał żadnych pytań. Sprawdzał tylko, czy towar jest zgodny z zamówieniem.

Do tej pory wszystko się zgadzało. Cieszył się, że znalazł partnera będącego takim profesjonalistą. Oczywiście człowiek ten nie przypadkiem działał na hiszpańskim Costa del Sol. Było tam wiele hoteli przyciągających samotne kobiety, miał więc w czym wybierać. Poza tym ciała dawało się bez problemów przetransportować do Danii. Umożliwiały to otwarte granice Unii.

Wcześniej tego dnia złożył jeszcze jedno zamówienie. Już nie mógł się doczekać, gdy przybędzie ostatni na razie eksponat do jego kolekcji.

W sobotę rano reżyserka filmowa Naja Holten wylądowała na lotnisku w Maladze. Musiała wstać o nieprzyzwoicie wczesnej porze, żeby zdążyć na Kastrup na odprawę o szóstej, i bardzo była wdzięczna Jesperowi za to, że ją odwiózł, bo dzięki temu uniknęła jazdy pociągiem przez Øresund.

To śmieszne, ale już za nim tęskniła. Za nim, za psem, kotem i za domem. Przeprowadzili się bardzo niedawno, wszędzie panował bałagan, a parter dopiero szykowali, więc po domu kręciła się gromada hałasujących robotników i cały czas trzeba było podejmować mnóstwo decyzji. Któregoś dnia nagle poczuła, że ma dość. W przypływie dodatkowych nerwów przed premierą zarezerwowała bilet lotniczy i zamówiła dość drogi hotel. Jesper nie protestował, tylko pocałował ją bez słowa, kiedy oznajmiła, że właśnie zafundowała sobie tydzień w słońcu, żeby naładować akumulatory i odnaleźć spokój przed premierą kolejnego filmu. To już w przyszły wtorek, pomyślała, znów czując przyjemne łaskotanie w brzuchu.

Wyjęła torebkę z półki na bagaż podręczny i ruszyła za strumieniem podróżnych kierujących się już ku taśmie z walizkami.

Na lotnisku nie zwróciła uwagi na mężczyznę ubranego w żółtą kamizelkę personelu i obserwującego pasażerki, które właśnie przyleciały samolotem z Kopenhagi. Nie dostrzegła go, gdy jak cień przysunął się nieco i schował za tablicą informującą o przylotach. Nie zauważyła też, jak w skupieniu usiłował wyłowić te kobiety, które zdawały się podróżować same. Jej uwagę zwróciło natomiast trzech mężczyzn, którzy przy taśmie bagażowej nalewali likieru Gammel Dansk do plastikowych kieliszków zabranych z samolotu.

– Ale będzie, ale będzie! Laski, piwo i wino! – zaśpiewał jeden, stukając się kieliszkiem z pozostałymi, i wlał sobie do gardła całą jego zawartość.

Nie zauważyła ich w samolocie. Całe szczęście, pomyślała. Teraz jednak nie mogła się powstrzymać, żeby nie patrzeć w ich stronę. Z rozmowy zorientowała się, że to piekarze z Frederikssund, którzy razem wyjechali na urlop. Najwyraźniej mistrz i dwaj jego czeladnicy. Kompletnie bez hamulców, rozochoceni czekającą ich popijawą na sto fajerek i tygodniem spędzonym na słońcu.

Wielu podróżnych odebrało już bagaż i opuszczało halę przylotów. Tłum powoli zaczął się przerzedzać. Jeden z piekarzy upuścił walizkę, ściągając ją z taśmy. Dwaj pozostali też już mieli swój bagaż. Wzniesli kieliszki w kierunku Nai, proponując jej jednego.

– Nie, nie mam ochoty, ale bardzo dziękuję – uśmiechnęła się, kręcąc głową. Już zdążyła się zirytować tym, że jej walizka jak zwykle jest ostatnia.

Taśma się zatrzymała, a piekarz z butelką w ręce zawołał:

– Pewnie wszyscy poszli do domu na sjęstę!

Cholera, pomyślała Naja. Nie miała najmniejszej ochoty koczować na lotnisku w oczekiwaniu na bagaż.

Szybko się odwróciła, gdy mężczyzna w żółtej kamizelce chrząknął za jej plecami. Uśmiechnęła się, widząc, że trzyma jej walizkę. Prędko sprawdziła etykietkę z nazwiskiem. Wszystko się zgadzało. Naja Holten. Dała mu dwa euro za pomoc, uznając, że walizka pewnie spadła z wózka, którym przewożono bagaże z samolotu.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę odprawy celnej i dalej do wyjścia. Na chwilę stanęła przed terminalem, napawając się ciepłem. Potem skierowała się do wypożyczalni samochodów. Nie zauważyła, że mężczyzna w żółtej kamizelce wyszedł za nią na zewnątrz. Nie zorientowała się też, że wsiadł do białej toyoty zaparkowanej nieco dalej przy krawężniku.

Hotel znajdował się tuż przy morzu, a gdy podjechała pod łukowate wejście, po którego obu stronach powiewały hiszpańskie flagi, zjawił się młody chłopak i otworzył jej drzwiczki. Upewniwszy się, że Naja ma zatrzymać się w tym właśnie hotelu, wyjął jej walizkę z bagażnika

i wyciągnął rękę po kluczyki. W zamian za nie wręczył jej karteczkę z numerem i odjechał.

Naja obserwowała, jak samochód skręca na hotelowy parking, a za nim jedzie biała toyota. Nie czekała jednak dłużej, tylko poszła do recepcji, w której powitała ją mówiąca płynnie po angielsku młoda Hiszpanka i poprosiła o paszport. Zameldowała się, a recepcjonistka wytłumaczyła jej, że w hotelu oprócz restauracji, w której podawano śniadanie, są jeszcze dwie inne. Była również część wellness ze spa i siłownią. Kobieta położyła na kontuarze niedużą broszurkę i zaczęła informować o wszystkich zabiegach, z jakich można u nich skorzystać.

– Siłownia jest w podziemiach obok spa – wytłumaczyła, wskazując na ogród, gdzie znajdowały się dwa duże baseny rozdzielone fontanną.

Naja z uśmiechem wzięła broszurę i lekko się odsunęła od napierającego na nią mężczyzny, który stanął za jej plecami.

– Trzeba iść alejką za tym drugim basenem, tam są schody. Jest też napis „Wellness” – kontynuowała recepcjonistka. – Nietrudno znaleźć.

– Rzeczywiście zapowiada się nieźle – stwierdziła Naja i podziękowała, spoglądając na pierwszy basen, przy którym większość leżaków była już zajęta.

Powietrze miało wprawdzie zaledwie dwadzieścia stopni, ale na bezchmurnym niebie świeciło słońce, postanowiła więc, że za kilka minut sama się tam rozłoży.

– Gdyby ktoś zostawił jakąś wiadomość telefoniczną albo gdyby przyszedł e-mail, to bardzo proszę mnie o tym powiadomić – poprosiła, tłumacząc, że nie chce włączać komórki w trakcie urlopu, lecz zależy jej, aby dział marketingu producenta filmowego mógł ją złapać.

– *Of course* – zaćwierkała recepcjonistka, wskazując na tablicę, na której każdy z pokoi w hotelu miał swoją kieszonkę, i jakby jeszcze chcąc się upewnić, że Naja wszystko zrozumiała, wskazała na tę należącą do pokoju dwieście jedenaście. – *Two, one, one* – dodała z uśmiechem, wręczając Nai

klucz i tłumacząc, że musi iść korytarzem dookoła, bo jej pokój superior znajdował się tuż nad samym brzegiem morza.

Kiedy Naja Holten odwróciła się i sięgnęła po walizkę, mężczyzny, który wcześniej stał za nią, już nie było.



Carl Emil obudził się w sobotę z gwałtownym pulsowaniem w głowie. Poprzedni wieczór zanadto się przeciągnął i Carl Emil wypił za dużo dobrego wina i kilka za dużych ginów z tonikiem w Umami, gdzie wspólnie z dwoma dobrymi przyjaciółmi miał zarezerwowany stolik na stałe. Obrócił się na łóżku, ale pulsowanie nie ustawało.

Po powrocie do domu z komendy policji w Roskilde nie mógł się otrząsnąć z tego przeżycia. Powracało falami. Czy jego matka naprawdę została zamordowana? Przez kogo?

Komendant twierdził, że to zabójstwo, a potem wystąpili z oskarżeniami wobec ojca.

Nawet teraz, mając umysł zamglony przez kaca, uważał to za kompletny idiotyzm. W przeciwieństwie do śmierci matki Carl Emil szybko pogodził się z myślą, że ojciec postanowił pójść w ślady ukochanej żony. To miało sens, nie chciał zostawać sam. Ale nawet na sekundę nie przyszło mu do głowy, by ich ojciec miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią matki.

To był kolejny powód, dla którego nie mógł wczoraj wieczorem wytrzymać samotnie w mieszkaniu. Wszystkie te myśli: witraż i pieniądze, insulina – zaczynały nieopanowanie krążyć mu po głowie, gdy tylko wokół niego zapadała cisza.

Oczywiście stosunki w rodzinie były dość napięte od czasu, gdy oboje z Rebekką przejęli Termo-Lux. Matka bardzo się na to gniewała, a w dniu, w którym ojciec ustąpił z funkcji prezesa zarządu, zjawiała się bez zapowiedzi w mieszkaniu Carla Emila – dwie godziny później, aby mieć pewność, że zdążył wrócić do domu. Jeszcze nigdy nie widział matki tak rozgniewanej. Kiedy usiedli w salonie naprzeciwko siebie, zrobiła mu wykład o przyzwoitości i lojalności. Dosłownie wygłosiła kazanie o tym, jak należy się wobec siebie zachowywać, gdy w grę wchodzi związki rodzinne.

Carl Emil podciągnął kołdrę i lekko się pod nią skulił.

Matka, wychodząc z mieszkania, nazwała go niewdzięcznikiem i od tamtej chwili mało ją widywał.

Zmęczony sięgnął do nocnej szafki i odszukał zegarek. Zapisał się na spinning w klubie fitness, zajęcia zaczynały się za pół godziny.

Odrzucił kołdrę na bok. Musiał wstawać. Oprócz tego wszystkiego wisiało nad nim jeszcze ryzyko, że przejdzie mu koło nosa blisko pół miliarda duńskich koron tylko dlatego, że odsypia pijaństwo. Jeżeli *Anioł śmierci* wciąż znajdował się w posiadłości rodziców, to należało go znaleźć, aby Miklos mógł zrealizować transakcję. Chociaż oczywiście nie dało się wykluczyć, że nie tylko kopia zniknęła.

Tyle pieniędzy, i to w zasięgu ręki. Carl Emil ciężko westchnął, stwierdzając, że musi wziąć się w garść i nie tracić kontroli nad sytuacją. Tylko spokojnie, powtarzał w myślach, gdy z piaskiem w oczach i rdzą w gardle szedł do łazienki. Wyjął z szafki proszki od bólu głowy. Ale jego siostra miała rację. Do spokoju było mu daleko. Już niedługo dziennikarze wywęszą, że policja podejrzewa ojca o zabójstwo matki, a wtedy rozpęta się prawdziwe piekło.

Szybko się wykąpał, włożył strój do ćwiczeń, do torby wrzucił dzinsy i koszulę i odszukał klucze.

Wieniec pogrzebowy leżał na wycieraczce pod drzwiami.

Ułożono go z mnóstwa białych i niebieskich świeżych kwiatów. Ich zapach poczuł zaraz po otwarciu drzwi. Na wstędze, którą dołączono do wieńca, wielkimi złotymi literami wypisano: „Spoczywaj w pokoju”, a między łodyżki wsunięto niewielką kopertę.

Chwilę się wahał, ale w końcu nachylił się i wyjął kopertę z wieńca. Dech mu zapało, kiedy przeczytał leżącą w środku kartkę. Było na niej napisane „Anioł śmierci”. Rzucił kartkę na ziemię i jednym skokiem wpadł z powrotem do przedpokoju, jakby nagle płomienie zaczęły lizać mu nogi.

Przez chwilę stał, próbując się opanować, ale gdy usłyszał trzaśnięcie

jakichś drzwi, szybko wciągnął wieniec do mieszkania. Serce mu waliło jak młotem. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy to nie jakiś bardzo kiepski żart, z którego przyjaciele zaśmiewają się teraz, siedząc w Café Jorden Rundt. Ale oni przecież nic nie wiedzieli o witrażu, jeśli oczywiście nie wygadał się po pijaku.

Miał nadzieję, że tak się nie stało.

Do jednego z jego przyjaciół koledzy wysłali striptizerkę akurat w taki wieczór, w którym gościł na kolacji w domu partnera w interesach, a sam Carl Emil kilka miesięcy wcześniej kupił bilety lotnicze i zabrał wszystkich chłopaków na wyjazd-niespodziankę do Nicei. Kazał im się stawić w Café Victor w piątek po południu, pozwolił zabrać tylko paszporty, a stamtąd pojechali prosto na lotnisko. Ale tamten wyjazd to był tylko żart, świetna zabawa, nikt wtedy nie mógł poczuć się urażony.

Oczywiście, że nie wysyłali sobie wieńców pogrzebowych.

Osunął się na wysoki stołek barowy projektu Philippe'a Starcka i wyjrzał na marinę Tuborg Havn. W głowie miał płataninę myśli, które zlewały się w gęstą mgłę. Wyraźnie wiedział jedynie to, że ktoś zagroził mu śmiercią i zostawił tę groźbę tuż pod jego drzwiami w czasie, gdy on spał.

Lęk zaatakował go jak nagły chłód. Przeszył go dreszcz i zaczął szczerkać zębami.

– Musimy odnaleźć *Anioła śmierci* – zaczął Carl Emil, gdy Miklos Wedersø odebrał telefon. Opowiedział o wieńcu z białą kopertą. – Oni chcą dostać ten witraż! Inaczej mnie zabijają!

Słowa padały urywanie, chociaż starał się mówić spokojnie. Wstrząs wywołany widokiem wieńca przeniknął mu do krwi, która coraz szybciej krążyła po ciele. Mało brakowało, a nikt by nie odkrył, że matkę zamordowano. Jeśli te same osoby postanowiły rozprawić się z nim, to przecież już udowodniły, co potrafią.

– Dlaczego uważają, że ja go mam? – Starał się oddychać głęboko, żeby się uspokoić i nie wpaść w niekontrolowaną panikę. Serce mocno waliło mu

w piersi. – Musimy znaleźć tę ikonę!

– Opanuj się! – przerwał mu adwokat chłodno. – Dlaczego ktoś miałby chcieć cię zabić?

– Dlatego że zabijali już wcześniej – odpowiedział szybko Carl Emil. – A może ci sami ludzie zabili też mojego ojca? Przecież tego nie wiemy!

– Nie rozmawiajmy o tym przez telefon. Pogadamy, jak do mnie przyjedziesz. O dwunastej mam spotkanie z radą parafialną, ale potem jestem wolny. Wobec tego może o drugiej?

– Dobrze, dobrze – warknął Carl Emil, rozzłoszczony innymi obowiązkami adwokata. – A ja w tym czasie będę szukał ikony.

Wyciągnął spod zlewu wielki worek, wcisnął do niego wieniec razem z białą kartką i pospieszył do windy. Truchtem pobiegł do samochodu, a po drodze wyrzucił worek do pojemnika na śmieci stojącego przy ścianie budynku.

Starął się wyglądać na rozluźnionego, kiedy wsiadał do range rovera. Na prywatnym parkingu jak zwykle nikogo nie było, lecz on i tak ostrożnie się rozejrzał, zanim ruszył. Zniecierpliwiony bębnił w kierownicę, gdy musiał stanąć na czerwonym świetle, a w momencie gdy zmieniło się na zielone, dodał gazu i ruszył Tuborgvej, kierując się ku autostradzie.

– Oczywiście niewykluczone, że masz rację – przyznał Miklos Wedersøe, kiedy Carl Emil powtórzył, że na *Anioła śmierci* polują te same osoby, które zostawiły wieniec pod drzwiami jego mieszkania.

Przed spotkaniem z adwokatem Carl Emil pojechał do siedziby Termo-Luxu. Blisko godzinę poświęcił na odnalezienie ikony. Najpierw przeszukał wielkie magazyny, w których stały w równych rzędkach szyby okienne i ramy, potem sprawdził wszystkie pomieszczenia na poddaszu i wszystkie piwnice, a na koniec zajrzał do szafek ojca. Przeszedł później do starego magazynu oddalonego nieco od głównego budynku, gdzie przechowywano wszystkie stare szyby, które nie nadawały się do okien zespolonych. Niektóre pochodziły jeszcze z czasów jego dziadka. Ciągle miał nadzieję, że

*Anioł śmierci* leży gdzieś ukryty wśród zapomnianych zapasów. Ale nie znalazł kolorowego witraża i wreszcie musiał się poddać.

– Przecież nie wiemy, kto zabrał kopię z gabinetu twojego ojca, więc trudno stwierdzić, czy to te same osoby – stwierdził Wedersøe i zaczął rozpakowywać torbę z jedzeniem. Podał Carlowi Emilowi serwetkę.

Carl Emil musiał mu przyznać rację. Przecież nawet nie wiedział, kiedy zniknął *Anioł śmierci*. Już od dawna nie zaglądał do domowego gabinetu ojca. Nie miał tam zresztą po co przychodzić, odkąd zaczęła się ta awantura z firmą. Rebekka z pewnością również tam nie zaglądała, oczywiście pod warunkiem że to nie ona zabrała ikonę.

– Musimy to potraktować poważnie! – zawołał Carl Emil rozgorączkowany, biorąc od Mikłosa kanapkę.

Adwokat spojrzał na niego.

– Ja to traktuję poważnie – odparł. – Ale ty musisz się trochę uspokoić, żebyśmy mogli rozsądnie o tym porozmawiać. Na razie policja podejrzewa twojego ojca o zabójstwo, a ja się obawiam, że zaczęła się interesować również tobą.

Carl Emil zamknął oczy.

– Wczoraj późnym popołudniem rozmawiałem z Nymandem. Powiedział mi, że policyjni technicy nie znaleźli śladów włamania do posiadłości. Zauważyli natomiast, że cyfrowy monitoring, ten przy głównym wejściu, był wyłączony. I oczywiście zabezpieczyli mnóstwo śladów, które przekazali do analizy. Teraz czekają na wyniki. Nic jednak nie wskazuje na to, by do posiadłości wdarł się ktoś z zewnątrz. To oznacza, że wasza matka albo sama wpuściła zabójcę, albo też zabójca przebywał już w domu, gdy doszło do tragedii. Policja skłania się właśnie ku tej teorii, skoro podejrzewa rodzinę ofiary.

Carl Emil otworzył oczy i pokiwał głową.

– No tak, ale oni nie znają historii *Anioła śmierci* – zauważył cicho.

– Oczywiście, że nie, ale być może powinniśmy im powiedzieć, jak

twoim zdaniem to się ze sobą wiąże. Mogliby przeczesać posiadłość twoich rodziców i zatrzymać ikonę, gdyby ją znaleźli.

Carl Emil przez chwilę milczał.

– Ale wtedy nie moglibyśmy jej sprzedać – stwierdził w końcu. Założył ręce na kark i odchylił się na krześle.

– No tak, to oczywiste – przyznał adwokat. – Ale pieniądze chyba nie są takie ważne, jeśli ktoś chce cię zabić?

Przez okno wpadł promień słońca i Carl Emil zmrużył oczy. Czuł, że pora na uzupełniającą dawkę panodilu.

– Ja bym tak nie powiedział – zaoponował, wyjmując z kieszeni dwie tabletki. – Pytanie tylko, czy można się godzić na takie groźby. – Popił tabletki kawą, której nalał mu Miklos. – Ja się na to nie godzę – dodał. – Ale muszę znaleźć tę ikonę. Bo skoro ktoś chce mnie tak wystraszyć, to chyba oznacza, że też nie znalazł jeszcze prawdziwego witraża.

– A więc nie zamierzasz włączyć w to policji? – spytał Wedersøe.

Carl Emil szybko pokiwał głową.

– Niech sobie dalej pracują nad teorią, że to ojciec. Jak sądzisz, jakie będzie ich następne posunięcie?

Adwokat starł kilka okruszków z podkładki do pisania z miną świadcząca o tym, że się zastanawia.

– Wyobrażam sobie, że zaczną poszukiwać twojego ojca przez Interpol. W Danii najprawdopodobniej zintensyfikują działania. Przekażą komunikat do mediów. Ty na pewno też nie unikniesz kolejnego przeciśnięcia przez wyżymaczkę.

No tak, z pewnością, pomyślał Carl Emil.

– Jadę teraz do domu rodziców. Przejrzę wszystkie kąty – postanowił, wstając. – Jeśli nie znajdę ikony, będę musiał poprosić o pomoc Rebekkę.

– Jeśli ty jej nie znajdziesz, to ona na pewno też nie – zauważył Wedersøe.

Carl Emil się uśmiechnął.

– Jeśli *Anioł śmierci* tam jest, Rebekka go znajdzie. A jeśli witraż nie ma w domu, to musi być gdzieś w firmie. Moja siostra jest jedyną osobą, która zna tam każdy kąt. Po prostu muszę ją w to zaangażować.

– Nawet gdyby ci się udało namówić ją do pomocy w poszukiwaniach i nawet gdybyście znaleźli tę ikonę, to przecież twoja siostra jasno oświadczyła, że nie ma zamiaru jej sprzedawać – przypomniał Miklos. – Do tego już na pewno nie zdołasz jej namówić.

– Właśnie że tak – odparł Carl Emil. – Wydaje mi się, że znalazłem na to sposób.

Grete Milling zabrała na drogę termos z kawą i porcelanowe filiżanki. Razem z Melvinem siedziała z tyłu samochodu i całą drogę rozmawiali. Na przednim fotelu spał Jonas z nogami podciągniętymi pod brodę, żeby na podłodze zmieściła się Dina. Obudził się dopiero, gdy Louise skręciła na parking w Hjerting, gdzie mieszkała Jeanette, i wyłączyła silnik, stając przed czerwonym dwupiętrowym budynkiem z małymi ogródkami z przodu.

– To tam. – Grete Milling wskazała numer dwanaście. – Mieszkanie mojej córki jest na parterze.

Domy stały w grupach: pięć budynków po jednej stronie asfaltowej alejki i trzy wyglądające na nieco większe po drugiej. Za osiedlem Louise dostrzegła duży obszar wspólny, trawnik z ławkami, ale teraz, w lutym, wszystko wydawało się szare i po zimowemu smutne.

Melvin podał pani Milling rękę i pomógł jej wysiąść z samochodu. Starsza kobieta zdążyła już wyjąć klucz z torebki i wręczyła go Louise.

– Niech pani idzie pierwsza, ja zaraz przyjdę – powiedziała i została razem z Melvinem, natomiast Louise i Jonas poszli do budynku.

Przy głównych drzwiach wisiała skrzynka pocztowa z nazwiskiem Jeanette. Wyglądało na to, że więcej reklam i lokalnych gazetek już by się w niej nie zmieściło. Mokre od deszczu i zlepione wystawały ze szpary w skrzynce, wyraźnie wskazując, że dawno nikt jej nie opróżniał.

Przedpokój był nieduży. Pod ścianą stała niewielka biała komoda, a nad nią wysokie lustro w ładnie rzeźbionej ramie. Bardzo kobiece, pomyślała Louise i otworzyła jedyne drzwi prowadzące dalej z korytarza.

Również w salonie panowały ład i porządek. Jasno i ślicznie, stwierdziła Louise, patrząc na stół z czterema wiklinowymi krzesłami. Na drugim końcu pod ścianą stała miękka biała kanapa z dużymi indyjskimi poduszkami wyszywanymi cekinami, a na ścianie wisiały obrazy z motywami



kwiatowymi. Nieliczne książki na regale stojącym przy kanapie były ułożone według kolorów. Na parapecie stał wazon ze zwiędłymi kwiatami.

Absolutnie nic nie wskazywało na obecność mężczyzny w życiu Jeanette Milling, a jedynym dysonansem, jaki rzucił się Louise w oczy, naruszając tę czystość i biel, były czarne ślady butów na jasnych dywanach. Najwyraźniej policjanci nie zawracali sobie głowy wycieraniem butów, gdy przyszli sprawdzić mieszkanie, pomyślała, kierując się do drzwi wejściowych, żeby jeszcze raz starannie oczyścić swoje.

Jonas cały czas nie ruszał się z przedpokoju.

– Dobrze wytrzymaj buty – poleciła mu. – I nie zdejmuj kurtki, bo tu zimno jak w psiarni.

Kiwnął głową i podszedł do wycieraczki.

– Uważasz, że ona nie żyje, prawda? – spytał, gdy Louise chciała wrócić do salonu.

Przez moment zastanowiła się, czy nie skłamać, ale kiwnęła głową.

– Myślę, że to bardzo prawdopodobne – odparła.

– Ale tu wygląda tak, jakby ona po prostu wyszła do pracy – stwierdził Jonas, wchodząc do salonu.

Miał rację. Pominąwszy kurz czy brudne dywany, mieszkanie wyglądało tak, jakby Jeanette Milling niedawno je opuściła. Na stoliku przy kanapie leżała gazeta, a na kuchennym stole stał dzbanek do herbaty nakryty kapturkiem. Rzeczywiście, równie dobrze mogła wyjść do pracy, przyznała Louise.

Sięgnęła po leżącą na stoliku gazetę. Była z dwudziestego pierwszego lipca, a więc z dnia tuż przed wyjazdem Jeanette. Potem przeszła do drzwi prowadzących do sypialni. Łóżko przykrywała narzuta w kwiatki, przy wezłowniu leżało kilka małych poduszek. Jeanette przed wyjazdem miała chyba dużo czasu. Louise otworzyła szafę ubraniową. Bluzki i bluzy leżały ułożone w starannych stosikach, na wieszakach wisały sukienki, spódnice i blezery. Ubrań było całkiem sporo. Niektóre wyglądały wręcz na drogie,

ale czy Jeanette nie zabrałaby ze sobą więcej rzeczy, gdyby wyjeżdżała z zamiarem rozpoczęcia nowego życia?

Otworzyła nocną szafkę przy łóżku. Na górnej półce znalazła niedużą obciążoną skórą szkatułkę na biżuterię, w której, jak się okazało, leżały pierścionki, kolczyki i naszyjniki. Niektóre wyglądały na odziedziczone w spadku. Postawiła szkatułkę na łóżku, tak aby pani Milling mogła przejrzeć jej zawartość, a potem nachyliła się nad dolną półką. Za tubką kremu do rąk i balsamem do ust leżał wibrator w pudełku i otwarta paczka prezerwatyw. A więc taką zupełną cnotką zaginiona kobieta nie była.

Usłyszała, że Melvin z panią Milling weszli do środka, szybko więc zamknęła szafkę.

– Zabrałam ze sobą skrzynkę i kilka toreb z Ikei – powiedziała do pani Milling, wchodząc do salonu. – Zaraz je przyniosę.

Mieli około godziny do przyjazdu ekipy, która spakuje resztę.

– A szkatułkę z biżuterią pani córki postawiłam na łóżku – dodała.

– Ja pójdę z tobą – oświadczył Jonas. – Chyba pochodzę z Diną.

Louise pogładziła go po włosach. Zauważyła, że chłopiec pobladł, i wyczuła, że ta sytuacja stała się dla niego zbyt przykra. Jonas bardzo przeżył opróżnianie plebanii. Poświęcili na to blisko tydzień, a po powrocie do domu chłopiec codziennie płakał przez sen. Nie powinna była zabierać go ze sobą. Przecież mógł iść do Camilli i Markusa, co zresztą Louise mu proponowała, ale nie chciał. Zastanawiała się nawet, czy chłopcy się nie pokłócili i czy z tego właśnie powodu Jonas uciekł tamtego dnia, gdy Camilla z Markusem mieli ich odwiedzić, lecz nie chciała o to pytać. Przez całą drogę był grzeczny i miły, w ogóle nie dostrzegła u niego tej strony, o której mówiła wychowawczyni.

Patrzyła, jak podchodzi do samochodu i otwiera drzwiczki, trzymając smycz w rękę. Żółty labrador natychmiast wyskoczył i zaczął merdać nie tylko ogonem, ale i całym zadkiem. Po chwili Dina pociągnęła Jonasa na trawnik.

Louise krzyknęła jeszcze do chłopca, że miska na wodę jest w bagażniku, zabrała skrzynkę i wróciła do mieszkania Jeanette.

Pani Milling już wystawiła kilka rzeczy na stół, między innymi szkatułkę z biżuterią. Położyła na niej szeroką złotą obrączkę i właśnie na nią wskazywała, kiedy weszła Louise.

– To ślubna obrączka jej ojca. Jeanette chciała prosić jubilera o przerobienie jej na pierścionek, który sama mogłaby nosić. Nigdy do tego nie doszło, ale chętnie wezmę tę obrączkę do domu.

Louise kiwnęła głową. Pani Milling się uśmiechnęła.

– Jeanette zawsze miała tyle planów, chociaż nieczęsto udawała się ich realizacja.

– No tak, skąd my to znamy! – westchnęła Louise i pomogła Melwinowi rozłożyć składaną skrzynkę. – A co z ubraniami? – spytała, przechodząc do kuchni, gdzie pani Milling już otworzyła szafkę i ostrożnie wystawiała na stół serwis Mega Mussel z Królewskiej Fabryki Porcelany.

– Ubrania trzeba po prostu spakować. Jeśli Jeanette nie wróci, będę musiała je oddać Kościołowi na cele charytatywne – odparła, koncentrując się na porcelanie. – Zbierała ten serwis, odkąd zaczęli go produkować – dodała z uśmiechem. – Na każdą gwiazdkę i urodziny dostawała coś nowego z tej serii.

W kuchni panował porządek, wszystko było poukładane bardzo rozsądnie. Louise spojrzała na lodówkę, na której wisiały karteczki z notatkami, przepisy kulinarne i dwa zaproszenia na imprezy przymocowane dużymi magnesami: jedno na firmową wycieczkę do lasu w sierpniu, drugie na czyjeś trzydzieste urodziny we wrześniu. Oba wydarzenia już dawno się odbyły.

Louise stała zamyślona, a stos królewskiej porcelany rósł na kuchennym stole. Pomyśleć tylko, zbierać serwis! Sama jeszcze do tego nie dorosła, chociaż jej następne urodziny miały już być czterdzieste. Ciągłe wystarczał jej anonimowy biały zestaw, który kupiła w sieciowym sklepie Imerco,

kiedy Peter się od niej wyprowadził, zabierając włoskie talerze.

– W domu właściwie sama mam dość naczyń, mimo wszystko...

Louise kiwnęła głową. Dobrze to rozumiała.

Wróciła do sypialni, z której przechodziło się do łazienki. Zaraz za drzwiami ustawiono tu niedużą pralkę. Półki nad umywalką uginały się od kremów, perfum i produktów do pielęgnacji włosów. Jeanette Milling wyraźnie lubiła ekskluzywne marki. Sporo też było przyborów do makijażu. Ciekawe, czy w ogóle wzięła coś ze sobą na wakacje, zastanowiła się Louise, która wszystkie swoje kosmetyki mieściła w jednej prostej kosmetyczce. Ale Jeanette musiała zabrać przybory toaletowe, bo na półce pod lustrem nie było ani szczoteczki, ani pasty do zębów, a pod prysznicem – szamponu i mydła.

Usłyszała, że Melvin i pani Milling szeleszczą papierem gazetowym. Zapewne zaczęli pakować porcelanę i układać ją w skrzynce. Louise wróciła do sypialni i chwilę stała, chłonąc ostatnie wrażenia.

Przez okno zobaczyła, że Jonas spuścił Dinę ze smyczy. Znalazł gdzieś patyk, który jej rzucał, a pies wyskakiwał wysoko w górę i łapał go w powietrzu. Niewiele było życia w tej okolicy w sobotnie popołudnie. Louise powiodła wzrokiem po ciemnych oknach i pustych ogródkach. Zaczęło kropić, więc może nic dziwnego, że ludzie siedzieli w domach.

– Chciałaby pani zabrać coś z łazienki? – spytała, wracając do salonu.

Pani Milling pokręciła głową.

– Wzięłam kilka drobiazgów z salonu i chciałabym jeszcze tylko znaleźć album ze zdjęciami. Powinien stać na tym regale. – Ruchem głowy wskazała wysoką przeszkloną witrynkę za stołem. – Na samym dole.

Louise podeszła i otworzyła szafkę. Na najniższej półce stało kilka segregatorów, a za nimi oprawiony w skórę album fotograficzny. Kucnęła i wyciągnęła dwa segregatory. Policja oczywiście już je wszystkie dokładnie sprawdziła, mimo to i ona zaczęła je przeglądać: świadectwo chrztu, dokumenty ubezpieczeniowe, pokwitowania opłaty za czynsz. Rozmaite

papiery, które człowiek zachowuje. W następnej teczce były dokumenty bankowe, wyciągi i zestawienia środków na koncie emerytalnym. Jeanette miała też zwykłe konto oszczędnościowe, na którym było blisko dwieście tysięcy. Pieniądze te uzbierały się z wpłat dokonywanych w ostatnich sześciu czy siedmiu latach.

– Pani córce udało się zaoszczędzić bardzo dużo pieniędzy – stwierdziła zaskoczona Louise, patrząc na panią Milling.

Starsza pani z uśmiechem pokiwała głową.

– Tak, Jeanette potrafi oszczędzać. Co miesiąc odkładała pieniądze, a ponieważ pracowała u fizjoterapeutów już tyle lat, to coś się z tego uzbierało. Początkowo, zdaje się, oszczędzała na samochód, ale ciągle jeszcze nie zrobiła prawa jazdy, więc przypuszczam, że w końcu zaczęła oszczędzać z rozsądku. Zawsze dobrze jest mieć coś odłożonego.

Louise kiwnęła głową. Pani Milling na pewno miała rację, ale sama Louise niczego takiego nie praktykowała. Oczywiście starała się mieć pewien zapas pieniędzy, żeby nie pożyczać, gdyby zepsuła się pralka, ale o takiej kwocie mogła jedynie marzyć.

Odstawiła segregatory, a album dołożyła do innych rzeczy do zabrania. Kiedy skrzynka się zapełniła, Melvin pomógł ją zanieść do samochodu. Porcelanowe naczynia ważyły swoje. Później zabrali torby z Ikei.

Kiedy Louise wróciła, Grete Milling robiła ostatnią rundkę po mieszkaniu córki. Louise nie bardzo wiedziała, co sobie wcześniej wyobrażała. Może myślała, że starsza pani usiadzie i zacznie płakać. Ale matka Jeanette raczej spokojnie zegnała się z córką. Było coś ogromnie wzruszającego w sposobie, w jaki dotykała oparcie krzesel i gładziła podłokietniki kanapy. Właśnie tak rozstawała się ze wszystkimi rzeczami. Sprawiała przy tym wrażenie zupełnie spokojnej, gdy po pewnym czasie przysłała do Louise i oświadczyła, że mogą zamykać.

Louise jeszcze przez chwilę rozglądała się po salonie. Nie wierzyła, by Jeanette Milling sama zaplanowała swoje zniknięcie. Nic z tego, co tu

zobaczyła, nie wzbudzało w niej takich podejrzeń. Lokatorka tego mieszkania raczej zdecydowanie zamierzała tu wrócić.

Zamknęła drzwi i zadzwoniła do Hansa z firmy przeprowadzkowej, by powiedzieć mu, że wkłada klucz do skrzynki na kwiaty przy drzwiach wejściowych. Ostatni raz spojrzała na dom i poszła zawołać Jonasa i Dinę. Mogli wracać do Dragør.

Rozumiem, że w weekend wybrałaś się do Esbjerg – powiedział komisarz Willumsen, mijając Louise na korytarzu w poniedziałek po porannej odprawie. – Nie licz na to, że będziesz mogła sobie odebrać te godziny, chociaż Rønholt wystawił ci zlecenie.

– Na nic nie liczyłam – oświadczyła Louise ze złością.

Weszła do swojego pokoju i włączyła komputer.

– Gdzie on jest? – Willumsen, który wszedł za nią, wskazał na puste miejsce Larsa Jørgensena.

Partner Louise jeszcze się nie zjawił. Wyjaśniła, że miał odebrać bliźnięta od matki i zawieźć je do szkoły.

– Będzie najpóźniej o dziesiątej – poinformowała, świadoma, że to podziąła na Willumsena jak czerwona płachta na byka.

– Ten wydział już niedługo zmieni się w sanatorium dla ciężarnych zakonnicek – warknął, znów skupiając się na Louise. – Nie mamy w wydziale takich rezerw, żebyś traciła czas na sprawy, które nawet nam nie podlegają!

Louise westchnęła. Jej szef słynął z tego, że kiedy brakowało mu ludzi, ściągał ich z innych wydziałów, ale sam nigdy nie chciał nikogo wypożyczyć.

– O tym, co robię w czasie wolnym, ciągle sama decyduję. Ty miałeś w zeszłym tygodniu urlop i nawet nie mogłam cię spytać o pozwolenie – zauważyła zimnym tonem, by wychwycił ironię.

Willumsen przysiadł na niskim regale koło drzwi. Louise dopiero teraz zauważyła, że jej partner zdołał uporać się ze wszystkimi stosami teczek. Półki były puste. Lars musiał też znieść wszystko do archiwum, trudno więc było przystać na określenie jego pobytu tutaj jako wywczaśów w sanatorium, ale tego szef grupy śledczej oczywiście nie dostrzegął. Wrzeszczał na wszelki wypadek.

– Rønholt prosił, żebym cię wypożyczył na jeszcze jeden dzień. Chce, żebyś przeczytała akta sprawy Milling. Twierdzi, że przyda im się świeże spojrzenie.

Louise patrzyła na niego wyczekująco.

– Odmówiłem. Nie uważam, żebyś mogła poświęcać na to czas. Dziewczyna zniknęła i w tej sprawie już nic więcej nie da się zrobić. Pojawi się, kiedy sama zechce – oświadczył i zdecydowanym ruchem założył ręce na piersi.

Louise odchyliła się na krześle.

– Mylisz się – powiedziała cicho, chociaż nie chciało jej się z nim dyskutować. – Jeanette Milling nie zniknęła sama. Absolutnie nic na to nie wskazuje. Jestem przekonana, że padła ofiarą przestępstwa.

Willumsen zaczął kręcić głową. Jego czarne włosy lśniły, a krawat był zawiązany porządnie, przy samej szyi. Louise stwierdziła nagle, że ten tydzień urlopu dobrze mu zrobił. Ostatnio wydawał się taki spięty. Domyślała się, że choroba jego żony może być poważniejsza, niż sam mówi, albo to z nim samym coś się działo. Chociaż wymagało to wielkiego wysiłku, gotowa była patrzeć przez palce na aroganckie zachowanie szefa i jego ostre słowa, byle tylko swoim złym humorem nie doprowadzał do szaleństwa całego wydziału.

– Nie zniknęła sama – powtórzyła. – A o wypożyczenie mnie możesz się nie martwić, bo już i tak przeczytałam akta. Pożyczyłam je, kiedy byłam u Rønholta w piątek, i czytałam przez weekend. Ale jemu też pewnie nawet się nie śni, że ktoś może pracować więcej, niż mu za to płacą.

Willumsen lekko się uśmiechnął.

– A więc uważasz, że coś się jej stało? – spytał, opuszczając ręce.

Louise potwierdziła.

– Może się utopiła. Ale w takim razie dziwne, że morze nie wyrzuciło ciała. Przecież minęło już tyle czasu – zauważyła. – Pewne jest przynajmniej to, że nie zniknęła dobrowolnie.



– No dobrze. Zadzwoń do Rønholta i przekażę mu twoją ocenę tej sprawy. Nie będzie ci musiał więcej zawracać głowy – stwierdził Willumsen zadowolony, nawet nie próbując ukryć, że sam zamierza zebrać pochwały za to, że Louise czytała dokumenty w czasie wolnym.

– Dobrze, zadzwoń – zgodziła się, patrząc na niego z większą ciekawością, ponieważ wciąż nie wstawał. Najwyraźniej miał jeszcze jakąś sprawę.

– Przeczytałem rano w gazecie, że policja w Roskilde zaczęła podejrzewać starego Sachs-Smitha o zabójstwo żony – powiedział wreszcie i lekko mrużąc oczy, spytał: – Wiesz coś o tym?

Zmarszczyła czoło, żałując, że nie zdążyła zajrzeć do porannych gazet przed wyjściem do pracy. Od pojawienia się Jonasa i Diny rano nigdy nie miała na to czasu, po gazety sięgała ewentualnie dopiero wieczorem, ale większość i tak trafiała na stos rosnący na podłodze w kuchni – czas na lekturę gazet zabierało jej przygotowywanie drugiego śniadania i kolacji.

– A dlaczego, na miłość boską, sądzą, że miałyby zabić żonę? To brzmi jak kompletne szaleństwo! – zawołała zdumiona, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Rzeczywiście dziwne – przyznał Willumsen. – Ale jeszcze bardziej mnie dziwi, że Nymand i jego ludzie wrócili do tej sprawy pod wpływem twojej przyjaciółki Camilli Lind.

Louise usiłowała zapanować nad twarzą. Dobrze wiedziała, co może być dalej, i podjęła zobowiązanie, że będzie się starała zachować neutralność. Obiecała Camilli, że nie powie nikomu o jej spotkaniu z Waltherem Sachs-Smithem, lecz w zamian zażądała, by Camilla później nie wyjawiała jej wiedzy.

Willumsen spojrział na nią badawczo.

– Przed chwilą dzwoniłem do Nymanda, aby dowiedzieć się, co się stało, że zdecydował się ponownie wszcząć śledztwo. – Znów założył ręce na piersiach i lekko przekrzywił głowę. – No i dowiedziałem się, cholera, że

na rozmowę z Camillą Lind zgodził się na twoją prośbę. Właśnie ta rozmowa skłoniła ich do ponownego zbadania próbek krwi pobranych po śmierci pani Sachs-Smith. Bóg jeden wie, co ta twoja przyjaciółka im powiedziała, ale to musiała być jakaś rewelacja, skoro zdecydowali się na zaangażowanie zagranicznego laboratorium. To przecież kosztuje. Ale bingo! Wyniki nowych badań wykazały, że pani Sachs-Smith najprawdopodobniej nie popełniła samobójstwa, tylko zmarła w wyniku przedawkowania insuliny, którą jej wstrzyknięto. Tabletki nasenne podano jej tylko po to, by ją otumanić.

Louise nie potrafiła wymyślić żadnej rozsądnej odpowiedzi.

– Co takiego wie Camilla Lind? – spytał komisarz, nachylając się w jej stronę i opierając ręce na kolanach. – Zdaje się, że podczas pobytu w Stanach zabawiała się z najstarszym synem z tej rodziny.

Najwyraźniej plotki krążące po wydziale interesowały Willumsena bardziej, niż Louise sądziła.

– Owszem – przyznała. – Kiedy była w Santa Barbara, przeprowadziła wywiad z Frederikiem Sachs-Smithem.

Willumsen pokiwał głową.

– No właśnie.

– Nie mogę ci więcej pomóc – powiedziała, nieśmiało próbując zakończyć tę rozmowę.

Machnął ręką.

– Nie obchodzi mnie, w czym ty mi możesz pomóc. Chcę porozmawiać z Camillą Lind. Nie mogłabyś poprosić, żeby do mnie zajrzała w ciągu dnia? Chętnie bym się dowiedział, co takiego wywąchała. Bo to, że wie coś o tej rodzinie, jest pewne jak dwa razy dwa.

– Chcesz później zatriumfować nad Nymandem?

Louise nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Willumsena zawsze pociągały sprawy, które zajmowały dużo miejsca w mediach, ale jeszcze nigdy nie wtrącał się do śledztw w ewidentny sposób należących do innych

okręgów policyjnych.

– Bzdura! – warknął. – Ale przecież możemy im asystować, jeśli dowiemy się czegoś, czego oni nie są świadomi.

Louise pokręciła głową.

– Nie sądziłam, że mamy rezerwy do udzielania pomocy przy śledztwach, które nie należą do wydziału – powiedziała spokojnie. – Poproszę Camillę, żeby do ciebie zadzwoniła, ale za to pojedę do Rønholta.

Willumsen wstał i z zadowoleniem kiwnął głową.

– No dobrze. Tylko powiedz swojej przyjaciółce, że może przyjść po lunchu.

Walther Sachs-Smith nie zabił żony! Dajcie spokój! – zawołała ze złością Camilla, gdy już usadowiono ją w gabinecie Willumsena z kawą w białej stołówkowej filiżance. – Całe przedpołudnie spędziłam na przesłuchaniu w jakiejś kanciapie na szczotki na komendzie policji w Roskilde, bo te głupki zachowują się jak ślepcy, i to w sprawie, w której właśnie nastąpił przełom! – Gniewnie pokręciła głową, patrząc na Willumsena.

Milcząca Louise starała się trzymać z tyłu. Camilla i Willumsen mieli ze sobą kilka gwałtownych starć, ale akurat w tej chwili, o dziwo, wydawało się, że grają w tej samej drużynie.

– Bardzo możliwe, że ma pani rację – przyznał komisarz. – Ale musi istnieć jakiś powód, dla którego udało się pani skłonić Nymanda do wznowienia śledztwa.

Camilla powolnym ruchem złożyła ręce przed sobą na stole i nawet nie próbowała ukrywać, jak bardzo zamierza ważyć słowa.

– Oczywiście, że mam powód. W dodatku bardzo dobry. Chodzi o *Anioła śmierci* – oznajmiła, czekając, czy komisarz zareaguje na tę nazwę.

Szef Louise uniósł tylko brew i poprosił Camillę o bliższe wyjaśnienia.

– Nie bardzo wiem, o co chodzi – przyznał.

– No tak – westchnęła. – Oczywiście. Nymand też nie wiedział. Za każdym razem, kiedy zaczynałam opowiadać o *Aniele śmierci*, przerywał mi i znów się dopytywał o mój romans z Frederikiem Sachs-Smithem. Nymand jest przekonany, że to właśnie on naprowadził mnie na jakiś ślad.

– A tak nie było? – wtrącił Willumsen.

Camilla błyskawicznie ugryzła się w język i tylko rozłożyła ręce.

– Nie mogę się wdawać w bliższe szczegóły dotyczące tego, czego się dowiedziałam. Obowiązuje mnie ochrona źródła informacji. I wy też dobrze

o tym wiecie – oznajmiła, patrząc wprost na Willumsena, który pokornie kiwnął głową, mimo że Louise zauważyła głęboką zmarszczkę rysującą się na jego czole. – W dniu, w którym zamordowano Inger Sachs-Smith, z gabinetu jej męża zniknął *Anioł śmierci*. To bardzo stary zabytkowy witraż. Wisiał tam od dwudziestu pięciu lat i przez cały ten czas był ściśle strzeżoną tajemnicą rodzinną – wyjaśniła Camilla i nachyliła się do Willumsena. – Tu chodzi o bardzo stary bizantyjski zabytek, który w ogóle nie powinien znajdować się w rękach tej rodziny, lecz te okoliczności są chwilowo zupełnie nieistotne. Faktem jest, że może być niezwykle atrakcyjnym obiektem dla kolekcjonerów.

– I jak Nymand zareagował na tę informację? – spytał z zainteresowaniem Willumsen.

– Nigdy nie słyszał o *Aniele śmierci*, a ja akurat z tego powodu nie zamierzam czynić mu wyrzutów. Ale dałam mu kopię tego.

Wyjęła z torebki plastikową teczkę i rzuciła ją na biurko. Komisarz zaczął rozkładać na nim papiery. Na samym spodzie znajdowała się lista z kolumną wypełnioną cyframi.

– To w przeliczeniu na duńskie korony – dodała Camilla, obserwując go, gdy czytał.

*Jackson Pollock, painting – 833 mln koron*

*Picasso's nude, Green Leaves and Bust – 630 mln koron*

*The Wittelsbach Diamond – 140 mln koron*

*Blue and white jar, Guan Yuan Dynasty – 130 mln koron*

*The Jenkins Venus (late 1st, mid 2nd century) – 68 mln koron*

*Umayyad Cordoba, Hind Spain – 31 mln koron*

*Mamluk enameled glass jug, Egypt or Syria – 28,3 mln koron*

– Słynne dzieła sztuki osiągają kosmiczne ceny – powiedziała, patrząc na Willumsena. – Na tej liście są przedmioty sprzedane przez domy aukcyjne Christie's i Sotheby's. Zarejestrowane dzieła sztuki, którymi można swobodnie handlować. Natomiast poszukiwane zabytki

nieposiadające certyfikatu dopuszczającego je do sprzedaży osiągają na nielegalnym rynku ceny zupełnie innego rzędu.

Willumsen w milczeniu studiował liczby. Kiedy już się z tym uporał, spojrzał na Camillę, ale się nie odezwał.

– Ja po prostu próbuję powiedzieć – podjęła – że tego rodzaju skarby kultury potrafią osiągać niebotyczne ceny. Dlatego uważam, że policję powinno zainteresować, kto zabrał witrażową ikonę z gabinetu Walthera Sachs-Smitha akurat w dniu śmierci jego żony.

Komisarz pokiwał głową.

– Mógł to zrobić sam Sachs-Smith – zauważył. – A fakt zniknięcia witraża nie wpłynie na przekonanie Nymanda. Gdybyśmy założyli, że Walther Sachs-Smith wcale nie poszedł w ślady żony, tylko właśnie on ją zabił, a dopiero potem zapadł się pod ziemię, to chyba oczywiste, że zabrałby przy tej okazji najwartościowsze rzeczy z domu.

Camilla pokręciła głową i na chwilę przymknęła oczy, ale zaraz znów je otworzyła.

– Tylko że w gabinecie nie wisiała prawdziwa ikona, lecz jej kopia. Walther Sachs-Smith nie był aż taki głupi i przed laty kazał wykonać kopię witraża. Natomiast faktem jest, że ikona zniknęła w dniu śmierci Inger Sachs-Smith.

Willumsen rozciągnął wargi w uśmiechu.

– Skoro ten witraż nie był taki cenny, to może nie należy upatrywać w nim motywu – stwierdził, zbierając papiery.

Camilla zaczęła kręcić głową. Louise widziała, jak na twarzy przyjaciółki odmalowują się po kolei najprzeróżniejsze uczucia. W pewnej chwili wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpłakać, ale moment później uderzyła pięściami w stół, aż filiżanka zatańczyła na spodeczku.

– Uwierzcie mi! – krzyknęła. – On tego nie zrobił!

Willumsen się uśmiechnął.

– Źle szukacie, tu chodzi o ten witraż! – nie ustępowała. Chwilę później

nachyliła się nad biurkiem komisarza. – Co wiecie o tym zamachu, którego dokonali Carl Emil i Rebekka przeciwko ojcu, przejmując władzę w Termo-Luksie?

Willumsen wzruszył ramionami, przyznając, że nic ponad to, o czym jesienią pisały gazety.

– Ta dwójka rodzeństwa to ludzie kompletnie pozbawieni skrupułów – oświadczyła Camilla. – Są gotowi na wszystko. Nie wolno o tym zapominać. Przecież całkiem niedawno pokazali całej Danii, że nie ma dla nich żadnej świętości. Do jasnej cholery, to Walther i jego ojciec zbudowali tę firmę, a ta para dzieciaków nie miała żadnych moralnych zahamowań przy ograbieniu go z majątku!

– Nie znam bliższych okoliczności tego przejęcia, ale z tego, co wiem, jego akcje po prostu od niego odkupiono – próbował oponować Willumsen.

Camilla nie pozwoliła mu dokończyć:

– Pomyłka! To było najbrudniejsze i najohydniejsze przejęcie firmy, jakie tylko można sobie wyobrazić. W zasadzie aż się dziwię, że uszło im na sucho. No, ale rodzice z całą pewnością nie chcieli prać wszystkich brudów publicznie. Jestem przekonana, że ta sprawa powinna trafić do Wydziału Przepływów Gospodarczych.

– Czy to też ma jakiś związek z tym obrazem, o którym pani mówiła? – Willumsen jakby stracił wątek.

– Wszystko się ze sobą wiąże! – zawołała Camilla. – Przecież wyraźnie widać, z jaką zimną krwią potrafia działać ci dwoje. Gotowi sprzedać własną zmarłą babkę!

– I zabić matkę? – spytał Willumsen z niedowierzaniem. – Czy właśnie to próbuje pani powiedzieć?

– Insulina – zauważyła Camilla. – Nie uważacie za dziwny zbieg okoliczności, że syn ofiary miał całą szafkę specyfiku, którym zabito jego matkę?

Willumsen nie zareagował.

– To zdecydowanie bardziej prawdopodobne, niż że miałyby to zrobić ich ojciec – zakończyła.

Willumsen wstał i podszedł do okna wychodzącego na Otto Mønstedsgade. Stał z rękami w kieszeniach, jakby roztargniony, kołysząc się na palcach i piętach. W końcu odwrócił się do Camilli i spojrzał na nią z powagą.

– Gdzie on jest? – spytał. – Pani się z nim spotkała, prawda?

Ponieważ Camilla nie odpowiadała, przeniósł wzrok na Louise.

– Czy ty coś o tym wiesz?

Raz, dwa, trzy, cztery – Louise skupiona liczyła w duchu, żeby zachować spokój. Popatrzyła w szefowi w oczy i pokręciła głową, chociaż gdy dowiedziała się, że policja podejrzewa Walthera Sachs-Smitha o zabójstwo żony, to usiłowała zmusić Camillę, by przyznała się do spotkania z nim na Hawajach.

Komisarz podszedł do krzesła Camilli i ojcowskim gestem położył jej rękę na ramieniu.

– Musi pani mieć świadomość, że może pani zostać oskarżona o zatajenie informacji istotnych dla śledztwa w sprawie o zabójstwo. Może pani grozić więzienie. – Lekko uściśnął ją za ramię i wrócił na swoje krzesło. – Gdzie pani go spotkała?

Camilla tylko pokręciła głową. Wprawdzie Louise już ją przygotowała na to, że za zatajenie tak ważnych informacji może zostać ukarana, ale wcale się tym nie przejęła i najwyraźniej wciąż tego rodzaju groźby nie robiły na niej wrażenia.

– Niech pan przestanie mnie straszyć! – oświadczyła niewzruszona. –

Przyszłam tu, bo chciał pan ze mną porozmawiać, chociaż nie ma pan kompletnie nic wspólnego z tą sprawą w Roskilde. – Przez chwilę siedziała nieruchomo i nagle kompletnie zmieniła kurs. – Ma pan rację – powiedziała. – Spotkałam go. Walther Sachs-Smith żyje. A chce pan wiedzieć, dlaczego się ukrywa? – spytała sarkastycznie.



Louise uniosła się lekko, żeby przysunąć się z krzesłem bliżej biurka. Ogromnie ją zaskoczyło to, że Camilla tak nieoczekiwanie poszła po rozum do głowy i najwyraźniej mimo wszystko zdecydowała się opowiedzieć o Waltherze Sachs-Smicie. Wiedziała też, że ta rozmowa w gabinecie komisarza właśnie zmieniła się z nieformalnej pogawędki w spotkanie, z którego raport zostanie dołączony do akt sprawy w Roskilde.

Zmarszczka na czole Willumsena zniknęła. Komisarz pochylił się z zaciekawieniem.

– Owszem, bardzo chciałbym się tego dowiedzieć – stwierdził, kiwając głową. – Niechże pani wreszcie to powie!

– Będzie się ukrywał, dopóki – z moją pomocą – nie dowie się, kto wtargnął do jego domu w dniu śmierci jego żony.

– I oczywiście nie powie mi pani, gdzie się spotkaliście – przerwał jej Willumsen.

Camilla pokręciła głową i po raz pierwszy się do niego uśmiechnęła.

– Nie powiem. Ale może wreszcie pan rozumie, dlaczego tak się zezłościłam na Nymanda za to, że jest taki ograniczony i o to zabójstwo podejrzewa wyłącznie Walthera.

– Przecież nie powiedziała mi pani tego, co przed chwilą nam – odparował komisarz. – A uważam, że powinna pani to zrobić.

Camilla podniosła już z podłogi swoją torebkę, pozbierała kartki z biurka Willumsena i schowała je z powrotem do teczki.

– Może i tak. – Kiwnęła głową, wstając. – Ale pan będzie musiał mnie wspierać, bo inaczej Nymand nie odpuści tego jednego tropu.

Willumsen nie skomentował jej oświadczenia, tylko poszedł otworzyć jej drzwi.

– Dziękuję, że pani przyszła – powiedział, gdy Camilla już była na korytarzu.

– Przydałby się jej niezły opieprz – stwierdził Willumsen ze złością, zamykając drzwi za Camillą. – Mam ochotę postawić jej zarzuty, może

wtedy dotarłoby do niej, że mówimy poważnie.

Louise stanęła w drzwiach. Obserwowała szefa, kiedy sięgał po słuchawkę i prosił o połączenie z Nymandem.

– Przegrałeś – zaczął, kompletnie ignorując Louise. – Udało mi się ją złamać. Walther Sachs-Smith żyje, a ona się z nim spotkała. Nie mam pojęcia, jaką mają umowę, czy jej płaci, ale najwyraźniej została jego chłopcem na posyłki. Twierdzi, że on musi się ukrywać, ale ja na twoim miejscu poprosiłbym kogoś o przeszukanie domu jego syna w Santa Barbara i tego letniego domu, który ma na Hawajach. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby stary się tam odnalazł.

Louise wróciła do swojego pokoju i głośno trzasnęła drzwiami. Aż gotowała się ze złości. To Nymand poprosił komisarza o przemaglowanie Camilli, bo sam nie mógł nakłonić jej do mówienia, a Willumsen wykorzystał Louise do wciągnięcia przyjaciółki w pułapkę. Wstrętny dupek, pomyślała, włączyła komputer i zadzwoniła do Rønholta z Wydziału Osób Zaginionych, żeby się z nim umówić.

– Jutro ma spotkanie w Komendzie Głównej, ale co powiesz na środę rano? – zaproponowała Hanne. – Załatwię wam coś do jedzenia, pasuje?

– Pasuje – odparła Louise.

Nie zamierzała prosić Willumsena o pozwolenie.

18:52. Wychodzi. Idzie kawałek chodnikiem. Czeka” – zanotował Carl Emil. Już od blisko dwóch godzin obserwował szkołę tańca, a gdy z rzadka ktoś mijał samochód, w którym siedział, ukrywał twarz, udając wpatzonego w papiery rozłożone na kolanach.

Był zmęczony po kolejnym przesłuchaniu w Roskilde. Policjantka przez kilka godzin wypytywała go o insulinę: jaki zapas leku ma w domu i jak często go uzupełnia. Bombardowała go pytaniami, a gdy na nie odpowiedział, zaczynała wszystko od początku. Usiłował wyjaśniać, że ludzie chorujący na cukrzycę muszą mieć zapas insuliny. On na przykład zawsze przechowywał zapasowe dawki w samochodzie i w biurze. Ale do zabójstwa doszło już pół roku temu, a nie prowadził na tyle starannych notatek, by mógł cokolwiek udowodnić i stwierdzić, że zginęła mu jedna czy dwie dawki.

Potańczał oczy, czując nadciągający ból głowy. Mimo to dalej siedział skupiony, ze wzrokiem utkwionym w wejście do szkoły tańca.

Telefonowali też do niego dziennikarze, którzy koniecznie chcieli się dowiedzieć, co on i dwójka jego rodzeństwa ma do powiedzenia o podejrzeniach wysuniętych wobec ojca. „Bez komentarza”, oświadczył pierwszemu. Ale po przesłuchaniu na komendzie w ogóle przestał odbierać telefon, a teraz po prostu zostawił komórkę w domu.

Wiadomość szybko się rozeszła. Biła w oczy z pierwszych stron gazet i stanowiła główny materiał zarówno w wiadomościach telewizyjnych, jak i radiowych. Przed wyjściem z domu Carl Emil włączył serwis informacyjny, ale szybko zgasił telewizor, kiedy zobaczył ujęcia z helikoptera krążącego nad posiadłością rodziców. Widać było, że kilku fotografom udało się podejść pod sam dom, chociaż dozorca robił, co mógł, by powstrzymać ciekawskich. Carl Emil zdążył też zauważyć radiowóz

na podwórzu, najwyraźniej więc przeszukanie jeszcze się nie skończyło. A teraz siedział w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko szkoły tańca.

Kiedy przyjechał, jakieś wielkie volvo akurat odjeżdżało, dzięki czemu mógł stanąć w miejscu z dobrym widokiem na imponującą bramę i alejkę prowadzącą na parking za budynkiem szkoły. Wielokrotnie odbierał siostrzenicę z lekcji tańca, ale zazwyczaj przyjeżdżała po nią Marybeth, filipińska *au pair* zatrudniona przez jego siostrę. To również ona przywiozła dzisiaj Isabellę i wkrótce powinna się pojawić, żeby zabrać dziewczynkę do domu.

Carl Emil obserwował siostrzenicę, która stała na chodniku i czekała. Było już ciemno. Patrzył, jak dziewczynka staje pod latarnią. Dobrze wiedział, że boi się ciemności.

Niecałe pięć minut później pojawiła się Marybeth w małym mini cooperze Rebekki. Skręciła na parking za budynkiem, a chwilę później wyłoniła się zza rogu. Szła z komórką przyłożoną do ucha. Nie przerywając rozmowy, pomachała dziewczynce i gestem przywołała ją do siebie.

Isabella miała przerzuconą przez ramię niedużą sportową torbę. Wydawała się wesoła. Zrobiła nawet kilka tanecznych kroków. Najwyraźniej chciała opowiedzieć mnóstwo rzeczy, ale opiekunka była zbyt zajęta, aby ją wysłuchać. Carl Emil stwierdził zadowolony, że Marybeth nie jest najbardziej punktualną *au pair*, jakie miała Rebekka. Kiedy obie z Isabellą ruszyły w stronę parkingu, we wstecznym lusterku obserwował, jak ciemne włosy dziewczynki poruszają się na tle białej puchowej kurtki. Przez chwilę bał się, że mała rozpozna jego samochód, mimo że szła drugą stroną ulicy, ale Isabella wcale się nie rozglądała. W końcu zniknęły w ciemności.

Śledził siostrzenicę przez całe popołudnie, bo już w niedzielę wieczorem podjął decyzję. Po spotkaniu u Wedersøgo w sobotę pojechał do domu rodziców szukać *Anioła śmierci*. Widział ślady bytności policji, ale na szczęście pojawił się tam, zanim jeszcze wybuchła bomba z informacją

o podejrzaniach wobec ojca i zanim prasa się na nich rzuciła. Ale i tak nic mu z tego nie przyszło. Sprawdził cały dom, przeszukał strych, dwa boczne skrzydła i zabudowania gospodarcze, ale witraża nigdzie nie było. Już nie wiedział, gdzie może szukać. Problem z posiadłością rodziców polegał na tym, że tam nigdzie nie było rupieci. Dbał o to dozorca. Walther Sachs-Smith wszędzie chciał mieć porządek. Carl Emil zaglądał nawet do kotłowni, ale i tam niczego nie znalazł.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i ogrzewanie zaraz zaczęło działać. Gwałtowny podmuch poderwał kartki z notatkami. Carl Emil szybko zmniejszył nawiew, ale wciąż uważnie śledził samochodowe reflektory na parkingu. Niecierpliwie zabębnił w kierownicę, myśląc o siostrze. W niedzielę po południu pojechał do niej opowiedzieć o wieńcu pod drzwiami. Początkowo w ogóle nie chciała go słuchać, ale gdy ze szczegółami opisał wstęgę ze złotymi literami, Rebekka przyznała wreszcie, że można to uznać za groźbę pozbawienia życia. „Spoczywaj w pokoju”. Doprawdy, trudno potraktować to inaczej. Rebekka jednak zaraz zaczęła się zastanawiać, czy i jej może coś grozić.

Taka jak zawsze, pomyślał, znów czując gniew. Potrafiła wykorzystywać brata, kiedy chciała coś osiągnąć, ale gdy tylko trudności zaczynały się piętrzyć, od razu się wycofywała, a w niedzielę wyrwało jej się nawet, że to wręcz rozsądne, aby to jemu coś się stało, skoro już ktoś musiał za to zapłacić. Oświadczyła, że wystawiając *Anioła śmierci* na sprzedaż, Carl Emil całemu światu obwieścił, że witraż jest w posiadaniu rodziny.

Pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy siedział w kancelarii Wedersøgo, a gdy wracał do domu po wizycie u Rebekki, uświadomił sobie, że jeśli chce nakłonić siostrę, by mu pomogła, to musi ją celnie i boleśnie trafić. A jedynym czułym punktem Rebekki była córka.

Isabella chodziła na tańce w poniedziałki, wtorki i czwartki. Gdy Carl Emil dowiedział się o tych nowych zajęciach, stwierdził, że to dość napięty program dla ośmioletniej dziewczynki, lecz doskonale wiedział, że

samej Isabelli bardzo na tym zależy.

Przy okazji każdej lekcji powtarzało się to samo. Isabella przyjeżdżała piętnaście po piątej, na zajęciach spędzała około półtorej godziny i wychodziła. Zawsze odwoziła ją filipińska opiekunka, bo jego siostrze rzadko zdarzało się wracać do domu o tak wczesnej porze. Nie pojmował, że Rebekce chce się aż tyle pracować. Firma nie potrzebowała jej na stanowisku dyrektora administracyjnego, przecież było tylu innych menedżerów, co miesiąc pobierających olbrzymie pensje za to, żeby wszystko grało. Ale jego siostra oczywiście nie rezygnowała z funkcji, bo przecież na tym tytule budowała całą swoją tożsamość. Uwielbiała, kiedy plotkarskie pisma nazywały ją najpiękniejszą kobietą biznesu w całej Danii.

On sam już dawno przestał odwiedzać główną siedzibę firmy w Roskilde. Teraz koncentrował się tylko na dobrym przygotowaniu do posiedzeń zarządu, no i przykazał Wedersøemu, żeby informował go, jeśli uzna, że powinien wziąć w czymś udział. Na przykład włączyć się w podejmowanie jakichś decyzji.

Ale przez ostatnią dobę w pełni skupiał się wyłącznie na ośmioletniej siostrzenicy. Bardzo kochał Isabellę, zawsze tak było. Czasami czuł nawet, że jest jej bliższy niż rodzona matka. Często robili razem różne śmieszne rzeczy, bo Rebecce nawet by się nie śniło, żeby tracić na nie czas. Jeździli do akwaparku Lalandia, do parku rozrywki Djurs Sommerland, do Disneylandu pod Paryżem. Ta ostatnia wycieczka była naprawdę super.

W ogóle im się nie spieszy, stwierdził, czując nagły niepokój. A może z parkingu jest inny wyjazd albo Marybeth mimo wszystko go zauważyła?

W tej samej chwili światła samochodu wolno opuszczającego parking omiotły zewnętrzny rząd stojących tam aut. Niewielki pojazd bez wrzucania kierunkowskazu skręcił na Helligkorsvej i ruszył dalej w stronę Byvolden.

Carl Emil czym prędzej nachylił się nad siedzeniem pasażera, czekając, aż przejedzie. Dał im też czas na pokonanie łagodnego zakrętu, dopiero potem uruchomił range rovera i pojechał za nimi. Nie miał żadnego powodu

do paniki, wiedział przecież, dokąd jadą. Nie przyspieszał więc i zachowywał odpowiednią odległość.

Lekko uchylił okno i zapalił papierosa. Kilka razy zassał powietrze, aż tytoń mocno się rozżarzył, dopiero wtedy zaciągnął się dymem, głęboko, czując, jak jednocześnie ogarnia go spokój, jakby dym fizycznie tłumił jego zdenerwowanie.

W ciemności wille w dzielnicy Sankt Jørgensbjerg wydawały się małymi oazami, z których w zimowym chłodzie promieniowało ciepło. Na ulicach było pusto i cicho. Wjeżdżając na rondo przy Muzeum Statków Wikińskich, nawet nie musiał hamować. Jego myśli przez cały czas krążyły wokół Isabelli. Potrzebował jej, jeżeli chciał nakłonić siostrę do pomocy w poszukiwaniu *Anioła śmierci*.

Podobno kiedy się stanie przed tą świętą ikoną, człowiekowi zostają odpuszczone wszystkie grzechy, pomyślał wpatrzony w czerwone tylne światła przed sobą. Co za bzdura! Wedersøe wygrzebał mnóstwo informacji o witrażu i jego historii, ale Carlowi Emilowi nie chciało się tego wszystkiego czytać. Wystarczyło mu, iż wiek tego dzieła da się zamienić na gotówkę. Pół miliarda, jeśli będzie musiał podzielić się z siostrą. Od takiej sumy może zakręcić się w głowie.

Kiedy wcześniej tego dnia rozmawiał z Wedersøem, adwokat powiedział mu, że jego amerykański pośrednik dzwonił i ponaglał go, chcąc potwierdzić transakcję. Na szczęście Miklosowi udało się jeszcze trochę przeciągnąć sprawę, dzięki czemu zyskali kilka dni na dalsze działania.

Carl Emil znów pomyślał o wieńcu. Miał sporo krytycyzmu wobec siebie i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest człowiekiem odważnym, ale nie wydawało mu się ani trochę zabawne to, że ktoś położył wieniec pogrzebowy pod jego drzwiami. Możliwe, że popadał w paranoję, lecz doprawdy to dziwne, że znalazł go dokładnie dzień po tym, jak policja postanowiła wznowić śledztwo w sprawie śmierci matki. Pytał nawet kilku przyjaciół, czy przypadkiem nie przechodzili obok jego mieszkania, ale nikt

najwyraźniej nie wiedział, o co mu chodzi.

Na chwilę stracił koncentrację i zanadto zbliżył się do mini coopera, gdy samochód zatrzymał się na czerwonym świetle. Nie zauważył kierunkowskazu i nie był przygotowany na to, że Marybeth zjedzie na pas do skrętu. Zdjął nogę z gazu i wcisnął hamulec, ale nie zdążył wymanewrować i stanąć za nimi. Był zmuszony zatrzymać się na światłach tuż obok nich, okno w okno, a kiedy zapaliło się zielone, ruszyć dalej prosto.

Zaklął cicho i wyrzucił niedopałek przez okno. Czuł się obserwowany. Miał ochotę wcisnąć gaz do dechy i odjechać. Nie zrobił tego jednak, tylko oparł się łokciem o boczną szybę, dłonią zasłonił twarz i starał się patrzeć przed siebie. Światło się zmieniło i podwójne turbo range rovera sprawiło, że wyskoczył w przód, kiedy wcisnął gaz. W trakcie przejeżdżania przez skrzyżowanie zastanawiał się, czy nie zawrócić i ich nie dogonić. Stwierdził jednak, że to zbędne. Wiedział już wszystko, więc równie dobrze mógł wrócić do domu i wziąć gorącą kąpiel. Zmarzł i zeszywniał od siedzenia w samochodzie. Włączył radio i ruszył w stronę autostrady.

Zatrzymał samochód przed Sticks'n'Sushi na Strandvejen i w oczekiwaniu na jedzenie, krążąc po chodniku, zdążył wypalić trzy papierosy. Do torby dołożył jeszcze dwa piwa i puszkę groszku wasabi. Zapłacił gotówką. To była część planu. Nie chciał, by ktoś odtworzył jego ruchy, więc aby nie używać kart kredytowych, wyjął gotówkę z bankomatu. Ostrożnie postawił torbę na siedzeniu pasażera i wskoczył do samochodu.

W radiu puszczał stary przebój Rolling Stonesów. Carl Emil podgłośnił i zaczął do rytmu bębnić w kierownicę. Skręcił w stronę Tuborg Havn. Po raz pierwszy od soboty rano pozbył się wrażenia żelaznego szponu zaciskającego mu się na karku.

Podśpiewując, zjechał na podziemny parking i ciągle nucąc, ostrożnie wyjął torbę z sushi, uważając, żeby ryż nie pomieszał się z rybami. Zastanawiał się, czy za jakiś czas nie wybrać się na miasto. Chociaż był dopiero poniedziałek, na pewno w Vinbaren spotkałby kogoś znajomego.



Istniało jednak również ryzyko, że gdzieś czają się na niego dziennikarze, a na walkę z nimi nie miał siły.

– *I can't get no satisfaction... I can't get no* – śpiewał, dopóki winda się nie zatrzymała. – *No, no, no!*

Ale kiedy drzwi windy się otworzyły, torba z sushi wypadła mu z rąk na ciemną posadzkę klatki schodowej.

Przed jego drzwiami stał nagrobek z jego nazwiskiem wymalowanym drukowanymi literami.

CARL EMIL SACHS-SMITH

URODZONY 6.6.1972

ZMARŁ 18.02.2010

SPOCZYWAJ W POKOJU

Ktoś wyznaczył mu datę śmierci. Zostały mu niecałe trzy dni życia.

Podniósł z podłogi torbę z jedzeniem i wyjął z kieszeni klucze do mieszkania. Kiedy otworzył drzwi, wybuchnął płaczem.

Nie – powtórzyła Camilla ze znużeniem, patrząc na Nymanda. – Nie ma kompletnie żadnego powodu, by przypuszczać, że to Walther Sachs-Smith stoi za zabójstwem żony. Ale najwyraźniej wszystko jedno, co powiem, pan mi i tak nie uwierzy.

Komendant z Roskilde chrząknął.

– To nie do końca prawda – zaprotestował. – Przecież uwierzyłem, gdy namawiała nas pani do przeprowadzenia kolejnych badań.

– Owszem – przerwała mu Camilla. – I miałam rację. Więc proszę teraz przynajmniej założyć, że i w tym, co w tej chwili mówię, może coś być.

Poproszono ją o to, żeby stawiała się w Komendzie Okręgowej Policji dla Środkowej i Zachodniej Zelandii w Roskilde o dziewiątej rano, dzień po wizycie u Willumsena. Już omówili ewentualność postawienia jej zarzutu zatajania informacji istotnych dla śledztwa, a Nymand w końcu zaakceptował, że przynajmniej do pewnego stopnia Camilla będzie chronić swojego informatora.

– Chyba nie wierzy pan w to, że Walther Sachs-Smith prosiłby mnie o skierowanie waszej uwagi na śmierć jego żony, gdyby sam był jej zabójcą? – spytała, wpatrując się w niego.

Nymand nie odpowiedział.

– Chętnie zrelacjonuję spotkanie z Waltherem, ale nie wyjawię, gdzie się odbyło. To nie ma kompletnie żadnego znaczenia.

– No dobrze – zgodził się w końcu Nymand, kołysząc się na obrotowym krześle z wysokim oparciem.

– Walther Sachs-Smith uczestniczył w posiedzeniu zarządu na Fionii, gdy zadzwoniła do niego pomoc domowa z informacją o próbie samobójczej jego żony. W tym czasie karetka nie zdążyła dojechać do posiadłości, dlatego śmierci Inger Sachs-Smith jeszcze nie potwierdzono – zaczęła

opowiadać Camilla. – Oczywiście Walther natychmiast przerwał zebranie, ale gdy wsiadł do samochodu, dostał kolejny telefon z wiadomością, że reanimacja żony się nie powiodła.

Mówiła, a Nymand kiwał głową. To wszystko było w raporcie.

Camilla przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna podjąć próby skontaktowania się z Waltherem, aby mogli ustalić, ile powinna wyjawic policji, doszła jednak do wniosku, że tego nie zrobi. I tak już za późno, zresztą nie miała się nad czym zastanawiać, jeśli chciała oczyścić go z podejrzeń.

– Inni uczestnicy tego zebrania potwierdzili, że brał w nim udział – powiedział komendant.

Kiwnęła głową, nie komentując tego.

– Wyjechał już w dniu pogrzebu żony. Pożegnawszy się z gośćmi, wrócił do domu i spakował niedużą torbę. Osobiste papiery i portfel zostawił na biurku, a na lotnisko pojechał tylko z paszportem i dwiema kartami kredytowymi, pozwalającymi mu na dostęp do zagranicznych kont.

– No dobrze. Ale dlaczego? – przerwał jej Nymand. – Był jakiś powód, dla którego tak mu się spieszyło?

Camilla złożyła ręce przed sobą i głęboko odetchnęła.

– Już tamtego dnia, kiedy wezwano go z Fionii, wiedział, że Inger nie targnęła się na własne życie. Ale początkowo nic mu się nie zgadzało. Dopiero kiedy wieczorem poszedł do swojego gabinetu z butelką whisky i mnóstwem żalu, którym nie mógł się z nikim podzielić, odkrył, że ze ściany zniknął witraż. – Zauważyła zmarszczkę na czole komendanta i urwała. – Z posiadłości w Boserup można było zabrać wiele cennych rzeczy, ale ktoś nieznający historii *Anioła śmierci* nie sięgnąłby po niego.

Nymand nie zdążył nawet o to spytać, bo Camilla sama zaczęła opowiadać, w jaki sposób Walther Sachs-Smith wszedł w posiadanie zabytkowego witraża i jak rodzinie przez blisko osiemdziesiąt lat udawało się zachować tajemnicę o jego istnieniu.

– W dniu śmierci Inger Walther się wystraszył – ciągnęła. – Zdawał sobie sprawę, że ktoś odkrył ikonę i aby ją zdobyć, posunął się do zabójstwa jego żony, dlatego postanowił wyjechać zaraz po pogrzebie.

– Czy oryginalna ikona wciąż istnieje? – spytał Nymand.

Camilla potwierdziła.

– Walther ma zamiar wykorzystać ją do zwabienia sprawcy. Ale może to zrobić dopiero, gdy zrozumiecie, że jego żona padła ofiarą zabójstwa i że te dwie sprawy się wiążą.

Nymand w zamyśleniu kiwał głową.

– Wątpliwości można chyba rozstrzygnąć na jego korzyść – mruknął w końcu i nieco głośniejszym głosem dodał: – Zawsze wydawał się uczciwym i porządnym biznesmenem, więc nie dlatego trudno mi uwierzyć w jego wyjaśnienia.

– To oczywiste, że podejrzenia od razu padają na niego, jeśli się nie zna historii o aniele śmierci – pomogła mu Camilla. – Ale teraz już pan ją zna.

Przyznał jej rację.

– Czy on się ukrywa w Danii, czy wyjechał z kraju? – spytał komendant, nachylając się do niej. – Wie pani, co zamierza dalej?

Camilla pokręciła głową w odpowiedzi i na jedno, i na drugie pytanie. Na pierwsze nie chciała odpowiadać, na drugie nie umiała.

– O wiele łatwiej byłoby nam badać ten trop, gdybyśmy mogli z nim porozmawiać.

Oświadczyła, że chętnie pomoże im się porozumieć z Waltherem, ale najpierw sama musi się z nim skontaktować, żeby przekazać mu tę informację.

– Czy on podejrzewa, komu mogło zależeć na tej starej ikonie?

– Owszem, wie, kto mógłby być zainteresowany. Przygotował nawet listę nazwisk, którą jest skłonny panu przesłać, jeśli uzna pan, że jest przekonany o istnieniu związku między tymi sprawami. Wielu kolekcjonerów i fanatyków sztuki, jak ich nazywa, z całego świata

interesowało się tym dziełem. Walther latami czytywał też zagraniczne czasopisma, w których marszandzi i historycy pisali o witrażu. Nie wiem jednak, czy wytypował kogoś konkretnego.

– Proszę mu przekazać, że chętnie z nim porozmawiam i że oczywiście nas również interesuje ten trop, który, jego zdaniem, doprowadził do śmierci pani Sachs-Smith. Potrzebujemy jednak czegoś bardziej konkretnego, aby ruszyć z miejsca.

Camilla już wstawała, ale komendant nabrał powietrza. Najwyraźniej jeszcze nie skończył.

– A jakie są pani prywatne stosunki z rodziną Sachs-Smithów?

Z niedowierzania aż otworzyła usta i ciężko usiadła z powrotem, zastanawiając się, czy nie powinna w ogóle zignorować tego pytania. Zirykowało ją to, że policjant najwyraźniej wciąż miał wątpliwości, chociaż wyjawiała mu wszystko, co wiedziała.

– Moje prywatne związki z tą rodziną ograniczają się do tego, co już panu przekazałam. Spotkałam się z Waltherem i wysłuchałam tego, co miał mi do powiedzenia. Nic więcej o nim nie wiem.

– Miałem na myśli raczej jego najstarszego syna – wyjaśnił komendant.

– Między nami żaden prywatny związek nie istnieje.

– A ja zrozumiałem, że w jakimś momencie się widywaliście...

– Owszem, w jakimś momencie. Ale już nie – oświadczyła Camilla, wstając, żeby oderwać się od tego spojrzenia, które usiłowało przeniknąć w jej życie prywatne. Już w drzwiach rzuciła „do widzenia” i zamknęła je szybko za sobą.

Na korytarzu przystanąła na chwilę, próbując się opanować. Przygotowała się do tego, że zostanie zapytana o Frederika, wymyśliła sobie nawet odpowiedź, ale się nie przemogła, żeby jej udzielić.

Ruszyła w stronę schodów i wielkich przeszklonych drzwi prowadzących na parking.

Tęskniła za nim. Cały czas nie schodził jej z myśli, chociaż usilnie

starła się o nim zapomnieć. Było im razem fantastycznie w Santa Barbara. Odwiedził ją też dwukrotnie w Danii, a poza tym robił wszystko, co należało: dzwonił i przysyłał kwiaty. Najbardziej lubiła jego spokój. Wypływał z niego samego, bo Frederik nie był po prostu synem bogatego ojca. Camilli podobało się to, że nie zważał na majątek rodziny, lecz wykorzystał własny talent. Tylko że był za daleko. Wiedziała, jak wielki ból odczuje tego dnia, kiedy przyznają, że dzieląca ich odległość jest zbyt duża. Te przemyślenia jednak zamierzała zachować dla siebie. Zresztą świadomość tego wszystkiego wcale nie umniejszała tęsknoty.

Może powinna się z tego wszystkiego wycofać? Odciać od Walthera i całej tej rodziny? Za każdym razem, gdy zajmowała się sprawą ojca i umową, którą zawarli, myślała również o Frederiku. No ale przecież nie mogła złamać danego słowa, a poza tym zaczęła już pisać artykuły.

We wtorek po południu do Nai Holten przyszły trzy e-maile. Wszystkie dotyczyły premiery jej nowego filmu. Dział marketingu producenta chciał, by potwierdziła zgodę na udzielenie kilku wywiadów zaraz po powrocie do kraju, tak aby mogły się ukazać w dniu premiery. Miała też wystąpić w telewizji śniadaniowej, a duńskie radio planowało wywiad telefoniczny jeszcze tego dnia wieczorem. Była też wiadomość od Jespera. Prosił, żeby zadzwoniła, i pisał, że za nią tęskni.

Chłód z klimatyzacji w lobby przyprawił ją o gęsią skórę. Zdecydowała więc, że zanim usiądzie przy hotelowym komputerze, żeby odpisać, pójdzie do pokoju i coś na siebie narzuci.

Zostawiła torebkę na łóżku, wzięła tylko komórkę i wyszła. Gdy zamykała drzwi, instynktownie wyczuła, że ktoś ukrył się na końcu korytarza. Przez chwilę stała, przekonana, że ją obserwuje, ale korytarz był pusty.

Otrząsnęła się z nieprzyjemnego wrażenia, lecz na zakręcie jeszcze się odwróciła. Nikogo nie zauważyła. W głębi korytarza nie poruszył się nawet cień.

Korzystając z karty kredytowej, wykupiła półgodzinny dostęp do hotelowej sieci internetowej. Dziewczynie z działu marketingu odpisała, że w okolicach premiery może swobodnie dysponować jej czasem. A czuła już, że będzie miała wtedy co robić, i powoli zaczynała się na to cieszyć. Oczywiście jak zawsze bała się recenzji, ale tym razem wierzyła, że będą dobre.

Sprawdziła Facebooka. Wcześniej napisała, że rozgrzewa się przed premierą za pomocą sangrii i flamenco, a w odpowiedzi dostała całe mnóstwo miłych pozdrowień od ludzi, którzy już się cieszyli, że będą mogli obejrzeć ten film.

– *Señorita* Holten? – spytał po hiszpańsku jakiś mężczyzna i podszedł do niej z wahaniem, niosąc wielki bukiet kwiatów.

Naja wstała i kiwnęła głową. Reszty słów płynących z jego ust nie zrozumiała, ale kwiaty przyjęła. Recepcjonistka uśmiechnęła się do niej. Była to ta sama dziewczyna, która rejestrowała ją przy przyjeździe.

– *Boyfriend?* – spytała, wskazując na kwiaty.

Naja lekko się zawstydziła i wzruszyła ramionami, ale zaraz odpięła niedużą karteczkę przyklejoną do celofanu. „Pięć gwiazdek od magazynu «Alt for Damerne» w przyszłym tygodniu. Hura! A więc ruszyło!”

– *Yes!* – zawołała Naja z uśmiechem.

Kwiaty były od działu marketingu. Zorientowała się, że tekst wycięto z e-maila. Naprawdę miło z ich strony, pomyślała. Świetnie, że mają takie dobre kontakty i z tak dużym wyprzedzeniem potrafią zdobyć informacje o pochwalnej recenzji.

Postanowiła to uczcić, więc z kwiatami pod pachą poszła zamówić stolik w drogiej hotelowej restauracji. Przy niewielkiej wewnętrznej fontannie spotkała mężczyznę, który zjawił się w recepcji w dniu jej przybycia, ale odwrócił głowę, więc nie nawiązali kontaktu wzrokowego.

W restauracji musiała chwilę poczekać, zanim podszedł kelner. Wielka księga rezerwacji leżała rozłożona na kontuarze tuż przy drzwiach. Naja zobaczyła, że wiele stolików jest już zajętych, ale gdyby zechciała zjeść wcześniej, to mogła zarezerwować stolik na szóstą. Obiecano jej również wstawić kwiaty do wazonu. Wyszła na taras i zamówiła drinka z parasolką.

– Wczoraj dostarczyli nam nową kuchenkę – oznajmił Jesper, kiedy zadzwoniła do domu. – Ale ten idiota, który ją przywiózł, zostawił ją na chodniku przed domem, a ona waży tonę, więc jeszcze jej nie wniosłem.

Roześmiała się, a w tle słyszała rozbawionego psa. Zawsze chciał się bawić, kiedy rozmawiali przez telefon.

Przyniesiono jej drinka. Poprosiła, by zapisano go na numer pokoju. Nagle ogromnie zatęskniła za domem. Jesper wziął tydzień urlopu, by



podczas jej nieobecności jako tako urządzić kuchnię, i właśnie za to go kochała.

– Twoja matka zaprosiła nas na obiad w sobotę, a ponieważ planuję wyjść po ciebie na lotnisko, możemy tam jechać bezpośrednio. Pasuje ci?

– Oczywiście – powiedziała, czując nagle, że oderwała się od wszystkiego, chociaż od wyjazdu minęły dopiero trzy dni.

– Kupiłem też kilka skrzynek wina, bo pomyślałem, że może po premierze zechcesz jednak urządzić jakąś imprezę. Zobaczymy, kto będzie miał ochotę przyjechać do nas z kina.

Ależ on mnie dobrze zna, pomyślała. Przecież dwa dni przed wyjazdem oświadczyła, że oprócz uroczystości przygotowanych przez producenta nie ma siły na żadne oblewanie filmu. Ale oczywiście, że trzeba go będzie oblać. Teraz zupełnie inaczej do tego podchodziła, gdy wiedziała, że przynajmniej w jednym miejscu jej obraz zostanie dobrze przyjęty. Opowiedziała Jesperowi o kwiatkach i o informacji od działu marketingu, a po jego głosie poznała, że się uśmiechnął.

– Wiedziałeś o tym! – zawołała.

– Mhm – przyznał. – Wiem też, że będziesz miała duży wywiad w „Politiken”, więc naprawdę uważam, że jest co oblewać.

Przesłała mu całusa przez telefon i powiedziała, że cieszy się na powrót do domu. Dopiła drinka i postanowiła wziąć przed obiadem długą kąpiel.

Wiał chłodny wiatr, kiedy Naja Holten dwie godziny później szła w stronę restauracji. I chociaż nie było jeszcze tak późno, zaczynało się ściemniać. Słońce schowało się za morzem, a wokół basenu zapadał zmierzch. Z daleka restauracja przypominała grootę pełną świeczek, ciepłą i przytulną. Naja szła alejką wzdłuż hotelowego parkingu, kierując się ku wąskiemu zaułkowi prowadzącemu do głównego wejścia.

Nie zauważyła cienia, ale uchwyciła kontrolowany oddech, który rozległ się tuż za nią i przypominał lekko ochryply syk. Nie zdążyła jednak zareagować, bo do nosa i ust przyciśnięto jej jakąś szmatę. Chciała się

bronić, lecz ręce miała spętane jak w imadle i mocno przyciśnięte do ciała. Rozpaczliwie próbowała kopać, ale napastnik był silniejszy. Chwycił ją jeszcze mocniej i przycisnął do siebie. Poczowała ostry, gorzki zapach eteru. Usiłowała złapać powietrze, ale drogi oddechowe miała zablokowane. Poczowała mrowienie w rękach. Już nie widziała wejścia w zaułek, bo od oparów ostro pachnącej cieczy zaczęły jej łzawić oczy.

Pomyślała o filmie, o Jesperze, ich psie, kocie i nowej kuchni. O wszystkim tym, do czego tak bardzo chciała wrócić.

Przez wiele godzin, kiedy siedziała z komputerem na kolanach, pracując nad scenariuszem, wyobrażała sobie mnóstwo rzeczy. Często zdarzało jej się ulegać własnym fabułom, a czasami tak się utożsamiała ze stworzonymi przez siebie postaciami, że zdawały się zlewać z nią w jedno. Nigdy jednak nie przypuszczała, że w śmierci człowiek czuje się taki samotny.

Ale te myśli szybko się rozplynęły i otoczyła ją ciemność. Straciła przytomność i osunęła się na ziemię.

Kiedy skończył smarować ją oliwką, jej skóra lśniła, jakby kobieta właśnie wyszła z wanny. Starannie wytarł dłonie w czysty ręcznik i uważnie obejrzał rezultat, sprawdzając, czy o żadnym miejscu nie zapomniał.

W zasadzie to smarowanie oliwką nie było konieczne. Sam to wymyślił. Stawiał ostatnią kropkę.

Nie zastosował tego zabiegu przy pierwszej kobiecie. Tamtą od razu ułożył w witrynie, gdy tylko silikon stwardniał pod wpływem lamp nagrzewających. Jej skóra była piękna, ale tak nie lśniła. Prawdę mówiąc, wyglądała na nieco przesuszoną i zaniedbaną. Właśnie stąd wziął się ten pomysł z oliwką.

Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, zapalił światło na suficie i upewnił się, czy wszystko jest gotowe. Wcześniej zmontował ostatnią witrynę i umieścił ją na cokole okrytym czarnym aksamitem. Przez chwilę stał, chłonąc atmosferę wnętrza.

*The final destination*, pomyślał, idąc po nosze na kółkach. Teraz będzie mogła spoczywać tak przez całą wieczność. Wyłącznie dzięki niemu. Kobietę nietrudno było przenieść do witryny, ale gdy się ostrożnie nachylił, żeby ułożyć ją prosto, o mało nie wysunęła mu się z rąk, a jej lewy bark pozostawił dużą tłustą plamę na szkle od środka. Szybko przesunął rękę, żeby mocniej chwycić ją za kark. Utwardzony silikon był mało sprężysty, dlatego z trudem ją utrzymywał.

Na moment zamarł, bo kobieta jakby się poruszyła. Jakby usiłowała stawiać opór z zaświatów, próbując mu uciec. Odruchowo ją puścił. Wpadła do szklanej trumny, ułożona krzywo, z włosami nieporządnie zwisającymi poza kant.

Dobrze wiedział, że to głupota, ale i tak szybko się rozejrzał. Starał się myśleć racjonalnie. Próbował zlokalizować nieznany lęk, który nagle wbił

w niego swoje szpony, gdy przez moment wydało mu się, że kobieta usiłuje sprzeciwić się losowi, jaki ją spotkał. Wzburzony wyszedł do pomieszczenia kąpieli w acetonie. Na stole z chemikaliami odszukał butelkę z denaturatem, a z szuflady wyjął czystą ściereczkę. Oliwka pobrudziła kobiecie włosy. Zirytowany przeciągnął po nich szmatką zwilżoną spirytusem, ale efekt go nie usatysfakcjonował. Jeden kosmyk wyraźnie się wyróżniał. Nie był tak jedwabście miękki jak pozostałe. A przecież umył jej włosy, kiedy leżała pod lampami, wtarł w nie nawet odżywkę, żeby błyszcząły.

Ze złością wyrzucił ściereczkę i zaczerpnął głęboko powietrza. Nie może teraz zacząć popełniać błędów. Przecież cały czas pracował z taką starannością... Wszystko wykonywał dokładnie tak, jak zaplanował. I oto nagle zaczynał tracić kontrolę i winić za to mógł wyłącznie siebie. Wiedział, że ostatnio nie bardzo może zapanować nad myślami, ale nijak nie potrafił temu zaradzić.

Podszedł do ściany i na chwilę oparł się o chłodne cegły, zastanawiając się nad tym, czy nie mógłby zacząć gromadzić wina, jak robi tyle innych osób ogarniętych pasją i posiadających odpowiednie pieniądze na koncie. Może nawet doświadczyłby takiej samej przyjemności, poruszając się wśród butelek szlchetnych roczników i z satysfakcją studiując ich etykiety. Ale jego pragnienia szły w zupełnie innym kierunku. Kolekcjonowanie wina uważał za zbyt banalne. Przecież na coś takiego mógł sobie pozwolić każdy z odpowiednio zasobnym portfelem. Jego kolekcja zaś była wyjątkowa. Nikt inny nie miał w piwnicy tego, co on. I właśnie ta świadomość sprawiała mu największą radość. Czasami wyobrażał sobie, że jest właścicielem wyspy, do której nikt inny nie ma dostępu. Fantazjował o tym, jak mógłby się tam otoczyć całym pięknem, które wokół siebie zgromadził. Nie musiałby wówczas ukrywać go w piwnicy. Po zamknięciu oczu potrafił wręcz wyobrazić sobie taki własny raj.

Wielokrotnie szukał w Internecie wysp na sprzedaż, ale prywatne wyspy kosztują swoje. No tak, oczywiście, za wszystko trzeba zapłacić, ale

dwudziestu milionów dolarów nie miał.

Znów otworzył oczy i przyjrzał się swoim kobietom. Nagle uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie traktował ich jak tego, czym naprawdę były: zwłokami ułożonymi na *lit de parade* w jego piwnicy. Zawsze uważał je za osobne dzieła sztuki, pełne artystycznego wyrazu i ciepła. I oczywiście erotyzmu, który zawsze jest największym wkładem twórcy. Teraz jednak zobaczył po prostu cztery martwe ciała w przezroczystych trumnach, a pięknie oświetlone pomieszczenie piwniczne zmieniło się w grobowiec, którego ściany zdawały się na niego nacierać. Wiedziony instynktem, zbliżył się do drzwi. Starał się rozluźnić barki i oddychać głęboko.

Nie wolno mu wpadać w panikę. Przecież dobrze wiedział, że nic się nie zmieniło. To tylko on zmienił punkt widzenia. Po prostu musiał zapanować nad nerwami.

Przez chwilę myślał o tym, że przecież Picasso też nie wyrzucał wszystkich swoich wcześniejszych prac za każdym razem, gdy zmieniał styl i zaczynał się interesować nowymi motywami. Musiał jednak przyznać, że nie ma już siły dłużej z tym walczyć. Starał się, naprawdę próbował, ale anioł śmierci ciągle do niego wracał i nie dawał mu spokoju. Teraz, gdy już uzyskał potwierdzenie, że naprawdę istnieje, musiał zdobyć ten witraż. Chciał go posiadać na wyłączność, tak by nikt inny nie miał do niego dostępu. Nie było od tego odwrotu. Musiał tylko przygotować dla niego idealne otoczenie.

Czarny aksamit, taki jak ten, na którym ustawił witryny, nie pasował. Ikona będzie potrzebowała więcej światła. Zawisnie w jego piwnicy, ale światło powinno do niej docierać ze wszystkich stron. Anioł śmierci musi być wyraźnie widoczny i odbijać się na podłodze tak jak w czasach, gdy wisiał w Hagii Sophii.

Już sobie wyobrażał, jaki to będzie efekt: duże jasne pomieszczenie, białe nagie ściany, a na samym końcu *Anioł śmierci*. Uświadomił sobie, że do osiągnięcia wymarzonego rezultatu będzie mu potrzebne światło padające

od tyłu. Miał wielką ochotę natychmiast odsłonić piwniczne okienka, by już teraz wpuścić je do środka. Nagle poczuł coś na kształt klaustrofobii, co mu się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Poczuł także coś jeszcze. Pustkę.

Spojrzał na zamrażarkę, na chemikalia ustawione na stole i na nosze. Wszystko to do tej pory wypełniało mu życie i myśli. Poczuł żal jak po rozstaniu z dziewczyną. Tęsknotę za czymś, co minęło i nie miało już nigdy powrócić.

Wyszedł i zamknął drzwi do pomieszczenia ze szklanymi trumnami. Postanowił zlikwidować te, w których stała zamrażarka acetonowa i pompa próżniowa. Nagle zaczęły go brzydzić. Trzeba je było jak najszybciej usunąć.

Miał za sobą dobry czas, który przyniósł mu wiele radości i zajął myśli, lecz teraz musiał iść naprzód. Nie zmarnował go, przecież wciąż miał swoje kobiety. Ale piąta witryna nie będzie mu już potrzebna.

Skontaktuje się z dostawcą. Oczywiście zapłaci za nią, bo przecież kobieta mogła już nawet jechać do Danii, ale dostawca sam będzie musiał pozbyć się zwłok.

Od tej chwili zamierzał skoncentrować się tylko na jednym. Powinien zachować trzeźwość myśli. Po tamtej pierwszej próbie miał już świadomość, że zdobycie ikony nie będzie łatwe. Był jednak zdecydowany na wszystko i nie zamierzał się poddać, dopóki *Anioł śmierci* nie będzie należał do niego.

Carlowi Emilowi trzęsły się ręce. Mocniej zacisnął je na kierownicy i spojrzął na zegarek. Było jeszcze za wcześnie na to, by podjechać pod szkołę tańca, zatrzymał się więc na niewielkiej bocznej uliczce i liczył minuty. W końcu otworzył okno i zapalił papierosa.

Przez ostatnią dobę powtarzał w myślach plan już tyle razy, że jego mózg zaczął go wreszcie odtwarzać automatycznie. Po drodze zajrzał do banku, żeby zaopatrzyć się w gotówkę, bo przecież nie mógł przewidzieć, ile czasu upłynie, zanim znajdzie ikonę.

Niespokojny wyrzucił niedopalonego papierosa na jezdnię i znów spojrzął na zegarek. Dziesięć minut. Pod szkołę tańca planował podjechać tuż po wpół do siódmej. Miał tylko nadzieję, że opiekunce Isabelli nie przyjdzie do głowy zjawić się wcześniej.

Cały dzień spędził na przygotowaniach. Kupił trochę ubrań, bielizny i nocną koszulę dla siostrzenicy. Potem pojechał do sklepu Fona w centrum handlowym Lyngby Storcenter, gdzie zawsze było tyle ludzi, że z pewnością nikt go nie zapamięta, i poświęcił sporo czasu na wybranie gier na konsolę PlayStation, na której sam grywał w wyścigi i strzelanki. W końcu wybrał dwie w bardzo dziewczynskich okładkach, a do tego dodał jeszcze najnowszą SingStar z dwoma mikrofonami, tak by mogli śpiewać razem. Fakt, że musiał przycisnąć siostrę, nie powinien się odbić na Isabelli.

Z grami w koszyku podszedł jeszcze do półki z filmami. To powinno jakoś zabić dziewczynce czas podczas jego nieobecności. *Dirty Dancing*, *Roztańczony buntownik* i *Gorączka sobotniej nocy*. Siostrzenica szalała na punkcie wszystkiego, co związane było z tańcem. Miał nadzieję, że nie jest za mała na te filmy, ale na wszelki wypadek dorzucił do koszyka *Hannah Montana*.

Odetchnął głęboko. Wyobrażał sobie, że miło razem spędzą czas. Będą

leżeć na kanapie, zajadać się słodyczami i śmieciowym jedzeniem na wynos. Isabella to uwielbiała, a matka rzadko pozwalała jej na tego rodzaju rozrywkę.

Nareszcie wskazówki zegarka znalazły się na właściwym miejscu. Wrzucił bieg i ruszył. Denerwował się bardziej, niż się tego spodziewał. Włączył kierunkowskaz i powoli wyjechał z bocznej uliczki.

Nagle przez głowę przeleciały mu zupełnie idiotyczne myśli. A jeśli po drodze zatrzyma go policja albo ktoś w niego wjedzie?

Nie, nic takiego nie może się wydarzyć. Wszystko musi pójść gładko.

Nie potrafił zapanować nad myślami o nagrobku. Przez cały czas miał przed oczami te litery, ten straszny biały napis. Ktoś uważał, że on pojutrze umrze. Miał czterdzieści osiem godzin na zdobycie *Anioła śmierci* i chociaż w ostatnich dniach nie bardzo umiał zebrać myśli, to doskonale wiedział, co robi w chwili, gdy odnajdzie ikonę. Wszystko to dokładnie omówił z Wedersøem.

Wyjadą z kraju, aby nikt nie mógł wpaść na ich ślad. Ale dużego witraża nie da się przewieźć samolotem, adwokat więc już załatwił samochód na niemieckich numerach, który będzie na nich czekał w Hamburgu. Dalej pojedą do Luksemburga, gdzie zostanie zrealizowana transakcja. A kiedy już do niej dojdzie, dalsze groźby nie będą miały kompletnie żadnego znaczenia, bo z miliardem w kieszeni nie będzie musiał wracać do Danii ani do Rebekki.

Dostał już klucze do domu na Rue des Pres, uniknie w ten sposób korzystania z hotelu w Luksemburgu. Nie ma powodu, by rejestrować się gdziekolwiek oprócz banku, w którym założy sobie konto.

Podjechał do krawężnika i stanął w pewnej odległości od półokrągłych głównych drzwi do szkoły tańca. Dzieci już zaczęły wychodzić w towarzystwie rodziców, lecz Isabella z pewnością uważała, że zostanie odebrana jako jedna z ostatnich.

Wyszedł jakiś chłopczyk i stanął w drzwiach, bacznie obserwując



samochody nadjeżdżające ulicą. O przednią szybę uderzyły krople deszczu. Niech to szlag trafi, pomyślał Carl Emil. Jeśli zacznie solidnie padać, siostrzenica nie wyjdzie przed szkołę. Tego nie wziął pod uwagę. Zobaczył, że w wysokich oknach sali ćwiczeń gaśnie światło.

Chłopiec ciągle stał w drzwiach, gdy wreszcie pojawiła się Isabella. Może właśnie na nią czekał. Carl Emil zabębnił palcami w kierownicę, nie mógł już nawet rąk utrzymać w spokoju.

Dzieci stały, rozmawiając. Chłopiec podrzucał torbę i ją łapał. Najwyraźniej starał się zaimponować dziewczynce. Nagle rozległo się trąbienie i podjechał jakiś samochód, mrugając światłami. Chłopcu torba wypadła z rąk, ale szybko podniósł ją z chodnika i przebiegł przez ulicę, nawet się nie rozglądając. Isabella została sama. Pomachała tylko jeszcze trąbiącemu kierowcy.

Carl Emil podjechał kilka metrów. Serce mu waliło, a czoło pokryło się potem. Zatrzymał się przy samochodach już stojących w pobliżu wejścia, wyskoczył z auta i próbując się uśmiechać, zawołał siostrzenicę.

– Cześć, baletnico! Dobrze ci poszło?

– Calle! – ucieszyła się dziewczynka, biegnąc do niego. – Poszło mi świetnie. I mam nowe baletki!

Carl Emil otworzył drzwiczki od strony pasażera i pomógł Isabelli wsiąść. Wziął od niej torbę i rzucił ją na tył.

– Marybeth nie mówiła, że to ty dzisiaj mnie odbierzesz. Mogę na trochę pojechać do ciebie?

Dobrze, że z dzieckiem jest tak łatwo, pomyślał z ulgą. Isabella patrzyła na niego ufnie i z radością.

– Oczywiście – odparł, gładząc dziewczynkę po włosach. – Mama dzwoniła z lotniska. Przykro jej było, że sama nie może ci o tym powiedzieć, ale musiała pilnie wyjechać do Hongkongu na jakieś spotkania. Obiecałem, że się tobą zajmę, więc dała Marybeth wolne.

– Cała mama! – Isabella westchnęła jak stara małeńka, z przesadą kręcąc

głową, jakby była przyzwyczajona do tego, że musi znosić różne dziwactwa matki związane z jej pracą.

– Mam cię bardzo mocno uściskać i pocałować w czoło. – Carl Emil uśmiechnął się do dziewczynki.

– Zostanę u ciebie aż do jej powrotu?

– Tak. I będziemy się naprawdę świetnie bawić.

– Tak! – zawołała Isabella. – Ale co ze szkołą? Przecież nie mam ze sobą tornistra.

Zrobiła zmartwioną minę, więc Carl Emil szybko zmierzwił jej włosy.

– Pójdiesz na wagary – szepnął, wciąż czując adrenalinę krążącą w żyłach. Musi spróbować chociaż trochę się opanować, bo inaczej mała zauważy jego zdenerwowanie.

– Na co masz w tej chwili największą ochotę? – spytał. – Na pizzę czy na meksykańskie jedzenie?

– Na pizzę. Dla mnie z krewetkami i szynką!

– A więc taka jak zawsze – stwierdził i w tej chwili poczuł w kieszeni wibrowanie komórki. Specjalnie ją wyciszył i miał nadzieję, że Isabella nie usłyszy cichego powarkiwania telefonu.

– A dla ciebie jak zawsze pepperoni z dodatkową cebulą? – odparowała Isabella, a Carl Emil zaczął się rozluźniać.

Kiedy dotarli pod dom, szybko się rozejrzał, zanim wyjął pizzę i torbę Isabelli z tylnego siedzenia. Po drodze do windy dziewczynka wzięła go za rękę i zaczęła skakać na jednej nodze tak jak zawsze, odkąd była małeńka. Trzy skoki na lewej, trzy na prawej nodze, a potem trzy na obu.

– Au! Au! – Carl Emil udał, że Isabella łamie mu rękę, i dziewczynka się roześmiała. Znowu tak samo jak zawsze.

Pozwolił jej wcisnąć guzik windy, ale gdy dźwig ruszył, nagle go zmroziło. Nie mógł złapać tchu. Ściskanie w gardle minęło dopiero, gdy się przekonał, że na wycieracze pod drzwiami nic nie leży.

Telefon w kieszeni znów zadrzżał, kiedy Carl Emil zamykał drzwi. Był

pevien, że to siostra próbuje się z nim skontaktować.

Nie ma jej! – krzyknęła mu Rebekka wprost do ucha, gdy wreszcie poczuł, że jest gotowy do odebrania telefonu od siostry.

Pizze parowały w pudełkach na kuchennym stole, a Isabella wystawiła już talerze i szklanki.

– Kogo nie ma? – spytał jak najspokojniej, zamykając za sobą drzwi do salonu.

– Isabelli! Nie było jej pod szkołą tańca, kiedy Marybeth po nią przyjechała.

– Może poszła do domu z jakimś innym dzieckiem – podsunął Carl Emil, stając przy dużym oknie i patrząc na wodę.

Głos siostry brzmiał ochryple, rwał się, jakby w każdej chwili mógł się załamać. Słysząc było, że Rebekka z trudem łapie oddech.

– Czekałam, że zadzwoni, ale się nie odzywa. Próbowałam telefonować do szkoły tańca, żeby spytać, czy nikt jej nie widział. Mogła zapomnieć, że powinna wyjść, jeśli któryś z zawodowych tancerzy tam ćwiczy. Ale tam nikt nie odbiera telefonu, sekretariat jest zamknięty!

– A co z nauczycielką tańca? Do niej też już dzwoniłaś?

Teraz w ogóle przestała nad sobą panować.

– Nie wiem nawet, jak ona się nazywa! Przecież ja tam nigdy nie chodzę! Zawsze to Marybeth ją odwozi!

Zapadła cisza. Rebekka nie płakała, po prostu milczała.

– Zaraz przyjadę – oświadczył Carl Emil. – Ty jedź do szkoły tańca, sprawdź, czy jej tam nie ma. Może rzeczywiście się na coś zapatrzyła i zapomniała, że ma wyjść, tak jak mówisz.

Kopertę miał gotową. Naszykował ją już po południu. Leżała teraz na półce w jego szafie z ubraniem.

– Boję się – szepnęła Rebekka. – Co mam powiedzieć policji?

– Zaraz przyjadę – powtórzył. – Znajdziemy ją. Obiecuję.

Przeszedł do kuchni, pokroił pizzę z krewetkami i szynką na sześć kawałków, dwa ułożył na talerzu, a do szklanki nalał coli.

– Skarbie, niestety, muszę na kilka godzin wyjść – oznajmił i zobaczył, że buzia dziewczynki od razu się ściąga.

Wiedział, że Isabella nie lubi być sama, kiedy za oknem jest ciemno. Teraz od razu sięgnęła palcami do rubinowego serduszka, które dostała od babci, gdy była jeszcze zupełnie mała. Matka Carla Emila nazwała je serduszkami na pociechę i obiecała wnuczce, że za każdym razem, gdy dziewczynka je dotknie, babcia od razu zacznie o niej myśleć.

Chryste, co ja najlepszego zrobiłem, wyrzucał sobie w duchu Carl Emil, ale tylko ze wzruszeniem patrzył, jak mała Isabella mocno ściska wisiołek.

Postawił przed nią pizzę i powiedział z uśmiechem:

– Zaraz ci pokażę, co dla ciebie kupiłem.

Przyniósł torbę z filmami i rozłożył je na łóżku.

Dzień wcześniej zdemontował dekodery, w mieszkaniu nie było więc telewizji. Nie mógł ryzykować, że Isabella, skacząc po kanałach w poszukiwaniu programów dla dzieci, przypadkiem trafi na wiadomości. Nie wątpił w to, że jej zdjęcie już wkrótce będzie pokazywane wszędzie, gdy wyjdzie na jaw, że dziecko jednej z najbogatszych rodzin w kraju padło ofiarą kidnapingu. Odłączył też telefon stacjonarny na wypadek, gdyby Isabella nagle zatęskniła za matką i chciała zadzwonić. Nie przypuszczał, by znała jej numer na pamięć, ale pewności nie miał.

Oczywiście zastanawiał się, w jaki sposób namówi siostrę do zatuszowania całej sprawy, kiedy ikona już się odnajdzie, a Isabella cała i zdrowa wróci do domu, ale na razie ten problem nie odbierał mu snu. Rebekka potrafi być uparta, ale nie jest głupia i nigdy nie naraziłaby się na publiczne pranie rodzinnych brudów. W jakiś sposób wyciszy całe zamieszanie.

Tak, Carl Emil był przekonany, że Rebekka postanowi milczeć, kiedy

dziewczynka bezpiecznie wróci do domu. On także chętnie pomoże jej w szukaniu odpowiedniego wyjaśnienia, by nie wyszło na jaw, że to on wywinął ten numer, ponieważ była taka samowolna i uważała, że zdoła zawładnąć całym majątkiem, eliminując resztę rodziny.

– *Dirty Dancing* – oświadczyła Isabella, podając mu film, ale oczu nie mogła oderwać od pozostałych płyt i już dawno przestała ścisnąć serduszko.

Carl Emil wstał z łóżka, włożył płytę do odtwarzacza i pokazał jej, jak się wciska play i pauzę.

– Przecież twój odtwarzacz jest identyczny jak ten, który mam w swoim pokoju – roześmiała się Isabella. – Sam mi go dałeś na urodziny!

– No tak, oczywiście – przyznał, kręcąc głową.

Trudno mu było zebrać myśli. Musiał jak najszybciej wyjść, żeby wszystko załatwić, zanim siostra wróci ze szkoły tańca.

– W kuchni jest więcej pizzy, już pokroiłem – powiedział.

Wszedł do sypialni po kurtkę i kopertę. Swojego kawałka nie tknął. Adrenalina wciąż buzowała, a supeł w żołądku odebrał mu cały apetyt. Jego myśli obracały się nieustannie tylko wokół jednego: żeby plan wypalił. Ktoś wyznaczył mu datę śmierci na pojutrze, więc Rebekka musiała mu pomóc odnaleźć *Anioła śmierci*, żeby mógł wyjechać.

Zajrzał jeszcze do salonu i posłał Isabelli pocałunek w powietrzu, ale tam rozległa się już muzyka filmowa, a dziewczynka przeniosła się do wszechświata Patricka Swayze.

Kiedy przejeżdżał obok willi siostry, zauważył, że świeci się tylko w kuchni i w jednym końcu sutereny, gdzie mieszkała *au pair*. Reszta wielkiego domu była pogrążona w mroku.

Deszcz lał już porządnie, a Carl Emil nie pomyślał o zabraniu parasola. Tak bardzo przecież się spieszył. Postanowił zostawić samochód kilka domów dalej i stamtąd przejść piechotą, ale musiał teraz wymyślić jakieś wyjaśnienie na to, dlaczego tak przemókł. Oczywiście jeśli Rebekka w ogóle o to spyta.

Podszedł do metrowej wysokości żywopłotu na granicy parceli, starając się omijać latarnie. W ich świetle mokry asfalt błyszczał.

Nie zastanawiał się wcześniej, co zrobi, jeśli się okaże, że siostra wróciła do domu przed jego przyjściem, ale musiał być przygotowany i na taką ewentualność. W razie czego będzie improwizować.

Kopertę trzymał pod kurtką. Doszedł do wniosku, że jeśli oprze ją o drzwi, papier nie zmoknie. Kiedy dotarł na podjazd, stwierdził, że mini cooper Rebekki jeszcze nie wrócił. Stało tam tylko duże audi, ale siostra prywatnie zawsze korzystała z mniejszego samochodu.

Przez chwilę patrzył w oświetlony podjazd. W końcu, nie dostrzegłszy żadnego ruchu, zbliżył się do domu i obszedł go wzdłuż muru.

Szedł szybko, pochylony, ale nie biegł. Zdecydowanie tylko kierował się do wejścia. Ustawił kopertę pod drzwiami i zawrócił. Nie rozejrzał się ani nie wyprostował. Po prostu odszedł.

Dotarł już do samochodu, kiedy zobaczył światła samochodu. To Rebekka nadjeżdżała od strony Roskilde. Zamrugała krótko kierunkowskazem i skręciła z Frederiksborgvej na podjazd. Dwie minuty, pomyślał. Te dwie minuty mnie uratowały.

Odczekał jeszcze chwilę i w końcu uruchomił silnik.

Kiedy podjechał pod dom, zobaczył, że drzwi wejściowe są otwarte na oścież. W holu się świeciło. Wszedł do środka i ujrzał siostrę siedzącą na kręconych schodach na piętro. Koperta leżała na podłodze, a Rebekka ścisnęła w ręku niedużą czarną nokię. Nie był to żaden wymyślny model, ot, zwykła komórka.

Carl Emil starał się przewidzieć reakcję siostry i sądził, że wszystko będzie zależeć od tego, w jaki sposób on się zachowa. Teraz jednak stwierdził, że to może nie mieć żadnego znaczenia, bo kiedy zobaczył Rebekkę, zaraził się od niej paniką bijącą z jej oczu i natychmiast zapomniał o wszystkich przygotowanych na tę okoliczność kwestiach, które miał wypowiedzieć.

Rebekka trzymała telefon w dłoniach, jakby ją parzył. Carl Emil obserwował ją bez słowa. Patrzył, jak wciska kolejne guziki, sprawdzając, czy jest włączony. Wyświetlacz się rozjaśnił. Rebekka siedziała przez chwilę nieruchomo, wpatrzona w ekran komórki, usiłując odczytać wiadomość. Nagle aparat wypadł jej z rąk.

– Porwali ją – szepnęła, nie patrząc na brata. – Porwali moją córkę.

Carl Emil podszedł do schodów i usiadł obok siostry.

– Boję się dzwonić na policję – powiedziała cicho.

Rozpłakała się. Oparła mu głowę na ramieniu i zaczęła szlochać.

– Oczywiście, że musisz zadzwonić – stwierdził. – Zróbmy to od razu.



Kiedy na nocnym stoliku rozdzwoniła się komórka, Louise z trudem wydobyła się na powierzchnię snu. Jonas szedł do szkoły na późniejszą godzinę, więc nastawiła budzik na ósmą, a było dopiero wpół.

– Dzień dobry – powiedział Thiesen, kiedy Louise odebrała.

Natychmiast usiadła, bo skoro szef grupy negocjacyjnej dzwonił o takiej porze, to musiało chodzić o jakieś wezwanie.

– Dzień dobry – przywitała się szybko.

– Mamy porwanie. Chcę, żebyś się tym zajęła razem z Pallem – ciągnął Thiesen, a ona już wysuwała nogi z łóżka. – Chodzi o ośmiolatkę. Wczoraj wieczorem zniknęła sprzed szkoły tańca. Kilka godzin później porywacze przedstawili matce żądania. Właśnie się ze mną skontaktował komendant policji z Roskilde. Musimy natychmiast tam jechać i być w pogotowiu, kiedy porywacze nawiążą kontakt po raz kolejny.

Louise jeszcze nigdy nie pracowała jako negocjatorka w sprawie porwania. Najczęściej wzywano ich do ludzi zamierzających popełnić samobójstwo, których należało skłonić do zejścia z dachu albo mostu, ewentualnie do sprawców przestępstw, którzy gdzieś się zabarykadowali i odmawiali wyjścia. Czasami zdarzali się też chorzy psychicznie, którym zależało na doprowadzeniu do sytuacji *suicide by cop*, gdy policjant w końcu musiał strzelić. Tylko raz miała do czynienia z zakładnikami, kiedy podczas napadu na bank rabuś uwięził trójkę pracowników.

W pracy grupy negocjacyjnej podobało jej się to, że jej członkowie stają między sprawcą a policją. Kiedy Thiesen ją wysyłał, przestawała być śledczą, a stawała się negocjatorką, której zadaniem było rozwiązanie konfliktu.

Jonas, pomyślała nagle. Przecież postanowiła codziennie rano dopilnować, żeby wyszedł do szkoły, a z Melvinem umówiła się, że sąsiad

będzie czekał na powrót chłopca do domu. Chcieli go w jakiś sposób kontrolować.

Louise kilkakrotnie usiłowała rozmawiać z Jonasem, ale za każdym razem chłopiec zamykał się w sobie i tylko spuszczał wzrok. Poprzedniego wieczoru podjęła kolejną próbę, lecz Jonas tak się rozżłościł, że w końcu wykrzyczał jej, że nie jest jego matką, na co Louise natychmiast przyznała mu rację, ale też i ostrym tonem przypomniała, że przecież sam chciał z nią zamieszkać. Nie zdążyła go przeprosić, bo Jonas bez słowa pobiegł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Poszła wtedy do Melvina z prośbą o to, by wspólnie spróbowali jakoś zaradzić na te kłopoty.

– Nie pasuje ci? – spytał Thiesen, kiedy Louise zamilkła.

– Nie, nie, oczywiście – zapewniła czym prędzej.

Przeszła na bosaka po zimnej podłodze, a kiedy zobaczyła w lustrze swoje długie splecione włosy, przypomniała sobie, że przecież ma umówioną wizytę u fryzjera. Musi pamiętać, żeby ją odwołać.

– Mieszkają w Roskilde, przy Frederiksborgvej. Idę teraz po nasz samochód, więc mogę po ciebie podjechać – zaofiarował się i wyjaśnił, że matką dziewczynki jest córka Walthera Sachs-Smitha. – Zważywszy na majątek tej rodziny, musimy być przygotowani na to, że żądania będą rosły.

– Chodzi o wnuczkę Walthera Sachs-Smitha?! – zawołała zaskoczona. – Jak to się stało?

– Dziewczynka przepadła po lekcji tańca. Ktoś musiał ją stamtąd zabrać, zanim przyjechała po nią opiekunka – wyjaśnił Thiesen i dodał, że śledztwo w tej sprawie prowadzi Nymand i jego ludzie.

– Czy porywacze złożyli żądanie okupu? – Louise już czuła, jak adrenalina wypiera senność.

– Na razie jeszcze za dużo nie wiemy – przyznał Thiesen. – Kontakt z nimi był bardzo krótki. Kiedy matka wróciła do domu ze szkoły tańca, bo tam szukała córki, pod drzwiami domu leżała koperta z komórką, na którą

porywacze wysłali esemesa.

– I co napisali?

– Anioł śmierci za twoją córkę.

Louise zostawiła Jonasowi kartkę i trochę pieniędzy, żeby mógł zjeść obiad w szkolnej stołówce. Do Melvina zamierzała zadzwonić później. Sąsiad nie był rannym ptaszkiem, musiała mu dać czas na rozbudzenie.

Spakowała niedużą torbę, do której włożyła czyste ubranie, szczotkę do zębów, herbatniki i resztę owoców z miski na stole. Zatrzęsnęła drzwiami i zeszła przed dom, żeby tam poczekać na Thiesena.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że sprawą niezwykle zainteresują się zarówno policyjne władze, jak i media. To jednak jej nie martwiło. Bardziej przejęła się tym, że porwanie dziecka potwierdza teorię Camilli. Jeżeli porywaczem był ten sam człowiek, który zabił Inger Sachs-Smith, to życie dziewczynki mogło być naprawdę w niebezpieczeństwie. Sprawca najwidoczniej był pewien, iż prawdziwa ikona wciąż znajduje się w posiadaniu rodziny.

Na schodach jeszcze przez chwilę rozważała, czy nie zadzwonić do Camilli i nie powiedzieć jej o żądaniach porywaczy, ale sprawa była zbyt poważna, by informować przyjaciółkę bez porozumienia z szefem.

– Chcesz wrzucić torbę do bagażnika? – spytał Thiesen, gdy duży mercedes zaparkował tuż przed nią, a szef grupy negocjacyjnej wyszedł, by ją uściskać.

Wolała jednak usiąść z torbą z przodu przy nogach.

Koledzy w grupie negocjacyjnej zawsze ściskali się na powitanie. Początkowo Louise trochę dziwnie się wtedy czuła, ale to była również forma okazania bliskości i zaufania, jakie przez cały czas musiało między nimi panować. Zawsze byli ze sobą bardzo blisko, gdy pracowali, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, i ta zażyłość stała się również ich sposobem bycia.

– Palle już jedzie – poinformował Thiesen. – Próbowałem też wezwać

Olego, ale on siedzi w Århus i nie może się oderwać od sprawy, nad którą pracuje, więc może być najwyżej na *stand by*. Ewentualnie dołączy do nas, ale dopiero gdy nie będziemy już sobie dawać rady.

Ten zgrany zespół na co dzień rozsypany był po różnych komendach. Większość jego członków stanowili kompetentni śledczy, którzy często nie mogli porzucić spraw, nad którymi w danej chwili pracowali. Specjalnością Pallego Krogha było kontrolowanie całości sytuacji. Samochód oddany do dyspozycji grupy był urządzony w taki sposób, że z tyłu mieścił się nieduży stolik, siedzenia dawało się odwrócić i zostawało jeszcze miejsce dla niewielkiej tablicy, chociaż zasłaniała wtedy prawie całe okno z lewej strony. Kiedy ostatnio Louise siedziała w nim z Pallem, negocjowali z rabusiem, który nie chciał wyjść z willi na Frederiksberg.

– Oddział specjalny jest już powiadomiony i wkroczy do akcji, kiedy tylko się dowiemy, gdzie jest dziecko – dodał Thiesen. – Zgadzasz się, żeby mieć numer jeden?

Louise kiwnęła głową. Szczerze mówiąc, miała nadzieję, że to właśnie ona będzie mogła pilotować matkę dziewczynki w kontaktach z porywaczami.

– Wiesz coś o rodzinie Sachs-Smithów? – spytał Thiesen, zerkając na nią.

– Niewiele – odparła, ale opowiedziała o spotkaniu Camilli z seniorem rodu. – Więc już pół roku temu ktoś chciał zdobyć tę ikonę – zakończyła i dodała, że koledzy z Roskilde właśnie ponownie wszczęli śledztwo w sprawie śmierci Inger Sachs-Smith, tym razem przyjmując, że to było zabójstwo.

– No proszę. – Thiesen zamyślony pokiwał głową. – Wiemy, czy Camilla Lind wciąż ma kontakt ze starszym Sachs-Smithem?

Nie sprawiał wrażenia szczególnie zdziwionego tym, że bogaty przedsiębiorca wciąż żyje. Trzeźwo odnosił się do informacji, których udzielała mu Louise.

– Przypuszczam, że tak – odparła, chociaż w zasadzie nie wiedziała, jak często przyjaciółka z nim rozmawia.

– Ciekawe, czy został poinformowany o porwaniu.

Wzruszyła ramionami.

– Skoro to Nymand prowadzi śledztwo, pewnie rozmawiał już z Camillą. W każdym razie wie, że oni są w kontakcie. Mógł więc prosić Camillę, by mu to przekazała.

Oparła głowę o zagłówek, dziwiąc się w duchu, że przyjaciółka jeszcze do niej nie zadzwoniła, jeśli słyszała o dramatycznym rozwoju sytuacji.

Porwali twoją wnuczkę – oznajmiła Camilla, kiedy Walther Sachs-Smith wreszcie oddzwonił. Wcześniej telefonowała pod nowy numer, który przesłał jej e-mailem, ale nie odbierał.

Po pierwszym przesłuchaniu na komendzie w Roskilde i po spotkaniu w gabinecie Willumsena napisała mu, że jest poszukiwany przez policję, która podejrzewa go o zabójstwo żony. Tego samego dnia wieczorem odpowiedział e-mailem, że opuścił Hawaje i ma nowy telefon. Zamierzał również zlikwidować swoją skrzynkę na Hotmailu, ale obiecał, że da jej znać, kiedy założy nową.

Mimo skierowanych przeciwko niemu podejrzeń wyczuwała, że wciąż jest przekonany, iż policja mu pomoże, jeśli tylko uwierzy w jego historię. Teraz już uwierzyli, pomyślała, siedząc zwinięta w kącie swojej kanapy. Markus nie wziął do szkoły komórki, a ponieważ była zarejestrowana na nazwisko ojca chłopca, to właśnie z niej dzwoniła Camilla. Jej aparat leżał na stole, ale bała się z niego skorzystać. Może popadała już w paranoję, lecz po spotkaniu u Willumsena wcale by jej nie zdziwiło, gdyby się okazało, że Nymand założył jej podsłuch.

Odkąd komendant zostawił jej wiadomość na sekretarce, dzwoniła do Walthera Sachs-Smitha w odstępach pięciominutowych.

– Wracam do kraju – oświadczył.

Zorientowała się, że jest głęboko wstrząśnięty.

– Natychmiast jadę na lotnisko szukać jakiegoś samolotu – dodał.

– Policja chciałaby z tobą porozmawiać.

– Zadzwoń do nich i powiedz, że już wyruszam w drogę. Ale nawet gdybym miał szczęście do lotów, to nie dotrę do Danii dziś wieczorem. Najwcześniej jutro albo dopiero w piątek.

Nagle jego głos zabrzmiał o wiele starzej, jakby Walther był zupełnie

wyzuty z sił.

– Pomóc ci załatwić bilet? Mogę zarezerwować przez internet.

Mężczyzna przez chwilę milczał, tylko oddychał głęboko, ale w końcu się opanował.

– Nie mogę tego pojąć – wyznał, nie odpowiadając na pytanie Camilli. Mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. – Dlaczego to wszystko dzieje się tak nagle? Przez tyle lat wokół tego witraża panowała cisza. Od czasu do czasu ktoś się do mnie zwracał w tej sprawie, ale nigdy nie łączyła się z tym agresja ani żadne groźby. Żałuję, że nie oddałem *Anioła śmierci* już wtedy, gdy usłyszałem o nim po raz pierwszy. Ta ikona miała dla mnie wyłącznie wartość sentymentalną. Ojcu zależało na tym, by ją zachować z uwagi na związaną z nią historię. Nigdy nie miałem wątpliwości, że wielu kolekcjonerów bardzo chce ją zdobyć, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że nastanie taki dzień, w którym ktoś zacznie przez nią zabijać. – W słuchawce zapadła cisza. – Wiem, że proszę cię o bardzo dużo, ale robię to ze względu na moją wnuczkę.

Camilla wyprostowała się i spuściła nogi na podłogę.

– Bardzo chętnie ci pomogę – zapewniła szybko, przejęta rozpaczą Walthera, mimo że był gdzieś na drugim końcu świata.

– Bardzo bym nie chciał, aby policja w jakikolwiek sposób ryzykowała życie mojej wnuczki – podjął. – A policjantom może zależeć na tym, by przy okazji jej uwalniania aresztować również porywacza.

– To prawda – przyznała mu rację. Rzeczywiście nie dało się tego wykluczyć.

– Isabelli w żadnych okolicznościach nie może się nic stać – oświadczył dobitnie. – Dlatego nie oddam policji ikony, bo inaczej wnuczka stanie się jedynie pionkiem w ich akcji. Musisz namówić Carla Emila, żeby to on się tym zajął. Mój syn zrobi wszystko, żeby dziewczynka cała i zdrowa wróciła do domu. On zawsze uwielbiał Isabellę.

– To może być trudne... – zaczęła Camilla, ale Walther jej przerwał:

– Sam zadzwonię na policję i wyjaśnię, jak to ma przebiegać.

Camilla nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc jego autorytarny ton. A przecież Walther Sachs-Smith właściwie był na przegranej pozycji.

– Natomiast ciebie poproszę o dostarczenie Carlowi Emilowi *Anioła śmierci*.

– Mnie?

– Tak – potwierdził. – Carl Emil nie powinien po niego jechać, to byłoby zbyt ryzykowne. Skoro porywacze uderzyli w jego siostrę, bez wątpienia obserwują również jego.

– Możesz mieć rację – zgodziła się Camilla po chwili zastanowienia.

– Wiesz, gdzie jest moja posiadłość? – spytał.

Camilla zapisała adres na marginesie gazety.

– Mam w samochodzie GPS – powiedziała. – A jeśli ikony tam nie będzie?

– Będzie. Inaczej nie porwaliby Isabelli.

– No tak, oczywiście.

– W holu wisi klucz do drewni. To nieduży murowany budynek po lewej stronie dziedzińca. Kiedy otworzysz drzwi, zobaczysz, że między deskami w podłodze są szpary. Umożliwiają dopływ powietrza od spodu, żeby drewno nie wilgotniało. Właśnie pod deskami leży ikona.

Podał jej kod do głównych drzwi, a także numer komórki Carla Emila.

– Poinstruję cię przez telefon, jeśli napotkasz jakieś trudności.

– Mam zawieźć witraż do Carla Emila czy do twojej córki?

Wyczuła, że zaczął się zastanawiać.

– Pojedź do hotelu Prindsen w Roskilde i wynajmij pokój. Oczywiście zapłacę za to. Tam jest parking na podwórzu, z którego łatwo ci będzie przenieść witraż. *Anioł śmierci* może pozostać w hotelu aż do czasu przekazania go mojemu synowi. – Umilkł na chwilę. – Powiedz, jeśli proszę cię o zbyt wiele – dodał nieco spokojniej.

– Ależ skąd – zapewniła Camilla, już idąc do sypialni, żeby się przebrać.



Dawno nie czuła takiego podniecenia. Prawdę mówiąc, sprawiało jej ono przyjemność. – Zadzwoń do twojego syna, kiedy już będę w hotelu.

– Dziękuję – odparł Walther Sachs-Smith i odłożył słuchawkę.

Za białą willą rozciągał się ciężki czarny fiord. Na maszcie od flagi smutno zwisał proporczyk.

Thiesen zaparkował obok wiaty na samochód i razem przeszli pod główne drzwi. Otworzyła im młoda Filipinka, zaprosiła ich do środka i wzięła od nich wierzchnie okrycia. Z drzwi na samym końcu holu wyszedł Nymand i wyjaśnił, że Rebekka zasnęła na kanapie w gabinecie. Przeszli więc do kuchni, żeby zapewnić jej trochę spokoju.

– Był u niej psycholog, ale niewiele pomógł.

Louise przywitała się z komendantem, który trzymał w ręku niedużą czarną nokię.

– Od wczoraj nie ma kontaktu z porywaczami – poinformował i dodał, że wiadomość o okupie przekazano za pośrednictwem telefonu zostawionego w kopercie pod drzwiami do domu.

– Musimy mieć jakieś miejsce do pracy – powiedział Thiesen, patrząc na Nymanda. – Gdzie się możemy rozłożyć? W gabinecie czy w salonie?

– To wy decydujecie. W obu pokojach jest dość miejsca.

Thiesen pytająco spojrział na Louise.

– A gdzie ty byś chciała? To przecież ty będziesz przy niej siedzieć cały czas.

Louise postanowiła obejrzeć salon.

– Na lewo! – krzyknął za nią Nymand.

Trzy pokoje w amfiladzie wychodziły na fiord Roskilde. W pierwszym była jadalnia, w dwóch następnych stały kanapy i fotele, w środkowym jeszcze telewizor. Na palcach przeszła do gabinetu po drugiej stronie holu i otworzyła drzwi. Widok stąd był równie piękny. Oprócz biurka stał tu także nieduży stół konferencyjny, regały przy wszystkich ścianach i kanapa, na której spała odwrócona do niej plecami Rebekka.

Louise bezszelestnie wróciła do kuchni.

– Zajmiemy te dwa połączone salony – zdecydowała. – Chciałabym, żeby Rebekka wyszła z gabinetu i znalazła się w bardziej prywatnym otoczeniu. Zgadzasz się? – spytała, patrząc na Thiesena, który właśnie otworzył drzwi, żeby wpuścić Pallego Krogha.

Wysoki kościsty policjant dźwigał dużą skrzynkę, którą przyniósł z samochodu grupy negocjacyjnej. Jego zadaniem miało być koordynowanie wszelkich napływających informacji i zapisywanie dokładnie każdego słowa, które by padło w trakcie rozmów z porywaczami.

Chętnie przyjęli kawę zaparzoną przez filipińską służącą, ale potem poprosili, żeby zostawiła ich samych. Musieli podsumować zebrane informacje. Palle już się rozpakowywał.

– Co wiemy o tej ikonie, której żądają w ramach okupu? – spytał Thiesen, patrząc na Nymanda.

– Wiemy, że przypuszczalnie istnieje. Lecz ani Rebekka, ani jej brat, Carl Emil, nie mają pojęcia, gdzie może być. Podobno tylko ich ojciec wie, gdzie się znajduje.

– A co wiemy o nim? – pytał dalej Thiesen, nie komentując tego, co już powiedziała mu Louise.

Nymand ciężko westchnął.

– Przede wszystkim to, że z całą pewnością popełniliśmy błąd, podejrzewając go o zabicie żony. Zważywszy na dramatyczny rozwój sytuacji, bardzo prawdopodobne jest, że zabójstwa dokonała osoba, której zależy na ikonie. Tak zresztą przez cały czas utrzymywał Walther Sachs-Smith, a przynajmniej tak twierdzi dziennikarka Camilla Lind. Uruchomiliśmy wszelkie siły, żeby go odnaleźć, i mamy nadzieję, że uda nam się ściągnąć go do kraju. Walther Sachs-Smith jest nam nieodzowny, jeżeli mamy spełnić żądania porywaczy.

– A czy od śmierci Inger Sachs-Smith komuś z tej rodziny grożono? – spytała Louise, patrząc na nokię leżącą na stole. Telefon mógł zadzwonić

w każdej chwili, a ona chciała wcześniej porozmawiać z Rebekką i ustalić, co ma mówić porywaczom. Jeśli w ogóle się odezwą, pomyślała, patrząc na Nymanda.

– Nie – pokręcił głową. – Żadne z dzieci nie wie nic więcej o tej ikonie. Młodzi znali jedynie kopię, która wisiała w gabinecie ojca.

– A czy wiemy z całą pewnością, że oryginał istnieje? – dopytywał się Thiesen.

Louise kiwnęła głową.

– Moim zdaniem możemy przyjąć za pewnik to, co Walther Sachs-Smith powiedział Camilli. Rozmawiałaś z nią? – spytała Nymanda.

– Odkąd doszło do porwania, nie miałem z nią kontaktu. Zostawiłem jej kilka wiadomości na sekretarce, ale nie oddzwania.

Louise już wstała.

– A o której dzwoniłaś?

– Około ósmej. Przekazałem krótko, co się stało, i poprosiłem, żeby postarała się nakłonić Sachs-Smitha do skontaktowania się ze mną, kiedy tylko się z nim porozumie. Ale ona nie zareagowała. Masz do niej jakiś inny numer?

– Mogę spróbować – obiecała Louise i już miała wyjść, ale jeszcze się zatrzymała, pytając, czy ktoś w ogóle rozmawiał z ojcem dziewczynki.

Nymand pokiwał głową.

– Tak, został poinformowany. Wysłałem do niego dwóch ludzi. Ale nic nie wskazuje na to, by był jakkolwiek zamieszany w to porwanie. Chociaż oczywiście jest bardzo wstrząśnięty.

Mała nokia nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Jedynie wyświetlacz ożył, kiedy nadeszła nowa wiadomość. Aparat leżał na stole i przez chwilę żaden z policjantów nie potrafił się zdecydować, kto powinien zareagować. Wreszcie Thiesen sięgnął po telefon.

Przez chwilę siedział ze wzrokiem utkwionym w malutki ekran komórki, a w końcu podniósł głowę.

– Żądają dostarczenia *Anioła śmierci* dzisiaj o dwudziestej pierwszej – powiedział, odkładając aparat.

– Jak tylko już się ze wszystkim rozłożycie, ogłaszamy, że dziewczynka jest poszukiwana – zdecydował Nymand.

W salonie stanęły dwie duże białe tablice, na których Palle mógł swobodnie robić notatki z kontaktów z porywaczami. Zamierzał zapisywać wszystko dosłownie, wraz z dokładnymi godzinami, by Louise przez cały czas miała kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. Poza tym w ciągu następnej godziny zamierzali zamontować ukryty podsłuch dla pewności, że Rebekka Sachs-Smith nie kontaktuje się z nikim oprócz Louise.

– Już przygotowaliśmy komunikat dla mediów, a na popołudnie zwołam konferencję prasową – ciągnął Nymand.

Thiesen pokiwał głową. W tę część akcji grupa negocjacyjna się nie wtrącała.

Louise zatrzymała się w drzwiach. Trochę dziwnie się czuła z tym, że nie uczestniczy w samym śledztwie. Pierwszą rzeczą, na której śledczy mieli się skoncentrować, było dokładne sprawdzenie rodziny i ustalenie, czy w najbliższym kręgu nie dzieje się nic takiego, o czym nie poinformowano policji. Nierzadko przecież się zdarzało, że szantażystą okazywał się ktoś bliski. Ale w tym wypadku wcale nie musi tak być, pomyślała. Skoro porwano dziedziczkę jednej z najbogatszych rodzin w kraju, porywaczem mógł być każdy. Okup sam w sobie był wystarczającym motywem.

Louise jednak miała się skupić na czymś innym. Do jej zadań nie należało ani szukanie ikony, ani wytropienie sprawcy, lecz odpowiednie instruowanie Rebekki Sachs-Smith, aby we właściwy sposób rozmawiała z porywaczami, kiedy znów się z nią skontaktują.

– Pójdę ją zbudzić – oświadczyła. – Musimy być gotowe, kiedy zadzwonią z dokładnymi instrukcjami.

Thiesen pokiwał głową.

Carl Emil poczuł, że spał za mało. Sięgnął po tacę stojącą obok zmywarki, wyjął z szafki szklanki, a z lodówki mleko czekoladowe. Grupa negocjacyjna, powtórzył w myślach i wyłączył piecyk, w którym podgrzewał bułeczki dla Isabelli. Ciekawe, co oni robią. Siostra mówiła, że rozłożyli się w jej salonach.

Musi do niej pojechać. Nie wiedział, co się tam dzieje, a to wprawiało go tylko w jeszcze większy niepokój. Nie miał żadnych wieści od czasu wysłania ostatniego esemesa. Może czekają, że to on znów się odezwie? Nie podobało mu się, że Nymand wezwał jednostkę specjalną. Musi się dowiedzieć, w jaki sposób zamierzają działać.

– Dzień dobry, skarbie – szepnął, przysiadając na brzegu łóżka z tacą na kolanach.

– Cześć – mruknęła siostrzenica, przecierając oczy. Jej długie włosy rozłożyły się na poduszce, kiedy obróciła się na plecy, żeby na niego spojrzeć.

Carl Emil nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Muszę na kilka godzin pojechać do biura. Tu masz śniadanie. No i zobacz, co jeszcze ci przyniosłem.

Ułożył na kołdrze kupione wcześniej gry i obserwował dziewczynkę, gdy kolejno brała je do rąk i uśmiechała się rozradowana.

– Dziękuję – powiedziała uszczęśliwiona. – To dzisiaj wagarujemy?

Kiwnął głową z nadzieją, że małej nie przyjdzie do głowy spytać, dlaczego wobec tego sam musi jechać do biura. Ale na szczęście Isabella już zajęła się zrywaniem folii z nowej „SingStar”.

– Wróć do domu mniej więcej na lunch – obiecał – ale jak będziesz głodna, to weź sobie coś z lodówki.

Nieobecna duchem pokiwała głową. Odłożyła gry i sięgnęła po pilota.

– Wolę jeszcze raz obejrzeć *Dirty Dancing* – powiedziała.

– Sama decydujesz. Tylko nie zapomnij zjeść śniadania.

Należący do adwokata czarny mercedes S65 stał przed wejściem do domu siostry. Czarna furgonetka pewnie należy do policji, pomyślał Carl Emil, parkując range rovera za samochodami Rebekki.

Kiedy szedł przez dziedziniec, w drzwiach pojawił się Miklos Wedersøe.

– Musimy porozmawiać, zanim wejdiesz i spotkasz się z policją – oświadczył, prędko odciągając Carla Emila na bok. – Oczywiście powiedzieliśmy policji o *Aniele śmierci*, ale nie ujawniliśmy oferty, jaką otrzymałem.

Carl Emil pokiwał głową i długo wypuszczał powietrze z płuc, żeby uspokoić oddech.

– Ale czy nie powinni o tym wiedzieć? – spytał wreszcie. – Trzeba ich też poinformować o wieńcu i o nagrobku.

Plan Carla Emila zakładał połączenie sprawy porwania z groźbami. Liczył, że śledztwo pójdzie w tę stronę. Według napisu na nagrobku została mu jeszcze doba życia. Bardzo chciał, by policja poważnie potraktowała tę pogrózkę.

– Oczywiście. – Adwokat pokiwał głową. – Ale wtedy będziesz musiał nastawić się również na to, że na jaw wyjdą nasze plany nielegalnej sprzedaży witraża. Ryzykujesz, że cię zamkną, jeżeli zechcą postawić ci zarzuty.

– W takim razie to musiałyby być sprawa przeciwko nam obu – odparł Carl Emil zirytowany tonem słów Wedersøego. – Przecież to ty się kontaktujesz z nabywcą!

Miklos opuścił rękę i kiwnął głową.

– Owszem, i na pewno nie wpłynęłoby to dobrze na moją karierę – przyznał z powagą. – Ale w tej chwili liczy się wyłącznie twoja siostrzenica. Przecież żaden z nas nie mógł przewidzieć, że ktoś będzie zdolny posunąć się do wykorzystania niewinnego dziecka w pościgu

za ikoną.

Carl Emil na chwilę poczuł się zbity z tropu. Rozważał wszelkie za i przeciw. Miał wiele do stracenia, gdyby wyszła na jaw prawda o planowanej sprzedaży. Więcej mógł zyskać na nieujawnianiu policji propozycji zakupu i upieraniu się przy tym, że nie wiedział nic więcej ponad to, iż drogocenna ikona należała do rodziny.

– Nic o tym nie powiemy – zdecydował w końcu. – Ta informacja nie pomoże policji wpaść na ślad porywaczy, skoro sami nie wiemy, kto mi grozi.

Wedersøe się z nim zgodził.

– Ale muszę się przyznać, że próbowałem kontaktować się z potencjalnymi nabywcami, żeby się dowiedzieć, ile ta ikona może być warta – powiedział Carl Emil. – Jeżeli ja o tym nie wspomnę, na pewno powie im o tym Rebekka. A ty wtedy będziesz mógł się powołać na to, że w sprawie ikony w ciągu minionych lat kontaktowano się również z moim ojcem. Niech policja wie, że na jej ślad już wcześniej wpadło kilka osób.

Adwokat przyznał mu rację, ale zdenerwowany powiódł dłonią po łysej czaszce.

– Twoja siostra kompletnie odchodzi od zmysłów.

Carl Emil zbliżył się do wielkich drzwi i wszedł do środka. W holu rzucił kurtkę na krzesło z wysokim oparciem i ruszył za Miklosem do salonu.

Siostra siedziała na kanapie z podciągniętymi nogami. Twarz miała zapuchniętą od płaczu, włosy w nieładzie opadały jej na ramiona. Chyba spała w ubraniu, które miała na sobie, bo czarne spodnie i bluzka były okropnie wymięte. Otaczała ją aura lęku i rozpacz.

Carl Emil przykucnął przy niej i przytulił ją do ramienia. Bez protestów pozwoliła się objąć i kołysać.

– Oni chcą dostać *Anioła śmierci* już dziś wieczorem – powiedziała cicho.



Przestała płakać, tylko oddychała płytko, prawie niewidocznie. Carl Emil podniósł się dopiero, gdy zdrętwiały mu nogi, i podszedł do Nymanda, który przedstawił go jakiejś kobiecie z grupy negocjacyjnej. Pozostali policjanci siedzieli w głębi salonów. Poprzestał jedynie na skinieniu im głową i wysunął sobie krzesło.

– Macie jakiś ślad? – spytał, patrząc na komendanta.

– Mamy to – odparł Nymand, wskazując na komórkę. – I usiłujemy wytropić, skąd się wzięła. Ale zdziwiłoby mnie, gdybyśmy na coś wpadli. To z całą pewnością telefon na kartę, a sam aparat pewnie został skradziony albo kupiony za granicą.

Nieźle to wymyśliłem, stwierdził Carl Emil w duchu. Kupił telefony w Nicei, gdy zaprosił kolegów. Każdemu wręczył aparat z poleceniem, by własne telefony zostawili w hotelowym sejfie i na czas pobytu kompletnie odcięli się od pracy i żon. Osiem małych nokii i przez cały weekend mogli mieć kontakt ze sobą, kompletnie odcięci od reszty świata. Teraz też miał w kieszeni jeden z pozostałych siedmiu.

– Telefon zostawimy Louise Rick. To ona będzie instruować pańską siostrę, gdy porywacze się odezwą. Chcemy mieć pewność, że wszystko zrobimy właściwie, by pańska siostrzenica cała i zdrowa wróciła do domu.

– Rozumiem, że moja siostra powiedziała, o jaki okup chodzi.

Nymand kiwnął głową. Ciemnowłosa kobieta również.

– Żadne z nas nie wie, gdzie może być ukryta ikona – ciągnął Carl Emil.

– Więc w jaki sposób spełnimy żądania porywaczy?

– To rzeczywiście może być trudne – przyznał Nymand. – I nie posuniemy się dalej, dopóki się nie dowiemy, gdzie jej szukać.

– A w ogóle jej szukacie? Robicie cokolwiek, żeby nam pomóc?

Starał się kontrolować głos. Mijały godziny, a on przecież wyobrażał sobie, że policja będzie znacznie aktywniej poszukiwać *Anioła śmierci*.

– Nie mogę dłużej wytrzymać takiego siedzenia tu i czekania! – wybuchnęła nagle Rebekka. – Musimy znaleźć tę ikonę!

– Pani nie może wychodzić z domu. Nic dobrego z tego nie przyjdzie – oświadczył Nymand, wstając. – Teraz najważniejsze, żeby porywacze się z panią skontaktowali. Poza tym wasz ojciec już się zajął odszukaniem ikony.

– Nasz ojciec?! – zawołał zdumiony Carl Emil, a Rebekka ze zdziwienia tylko otworzyła usta.

Nymand kiwnął głową i wsadził ręce do kieszeni. Wedersøe, który dotychczas trzymał się z tyłu, wystąpił naprzód.

– Co to ma znaczyć? – spytał ostro.

– To znaczy, że mamy z nim kontakt. Obiecał, że zdobędzie *Anioła śmierci*.

– Nic z tego nie rozumiem – oświadczył Carl Emil.

– Na razie my też wiemy niewiele – przyznał Nymand. – Tylko to, że wasz ojciec podobno ukrywał się w domu wakacyjnym waszego brata na Hawajach.

– Frederik ma z tym coś wspólnego?

– Nawet jeżeli, to nie chce się do tego przyznać – odparł komendant, kręcąc głową.

– Od jak dawna o tym wiecie? – przerwał komendantowi Wedersøe, patrząc na niego ze złością.

– Od niedawna. Walther Sachs-Smith zadzwonił do mnie godzinę temu, więc oczywiście postanowiłem od razu wam powiedzieć o tym zwrocie w sprawie. Już wyruszył w drogę do Danii, ale wciąż jeszcze nie ma pewności, ile czasu zajmie mu podróż...

– Gdzie teraz jest? – tym razem przerwał mu Carl Emil, który poczuł, że gwałtownie potrzebuje powietrza.

Pomyślał o Isabelli w pokoju gościnnym u niego w mieszkaniu. Na pewno obejrzała już film do końca, może nawet zaczęła oglądać drugi. Narastało w nim napięcie, a przed oczami stanął mu nagrobek. Powinien prędko zdobyć tę ikonę i oddać dziewczynkę. Jeśli ojciec naprawdę wróci

do domu, to nie starczy mu sił na zrealizowanie planu. Koniecznie musi wyjechać wcześniej.

– Mamy nadzieję, że przybędzie do Danii w ciągu paru dni, a zadaniem negocjatorów będzie powstrzymanie porywaczy do tego czasu. Kiedy wasz ojciec zdobędzie ikonę, dziewczynka na pewno bezpiecznie wróci do domu.

W ciągu paru dni!

Dopiero gdy chwilę później Carl Emil szedł do samochodu, poczuł, jak bardzo zaschło mu w gardle.

Musimy mieć *proof of life*, to znaczy dowód, że Isabella żyje, zanim cokolwiek obiecamy porywaczom – wyjaśniła Louise, patrząc na Rebekkę Sachs-Smith.

Ciemne włosy kobiety były związane w luźny koński ogon, a twarz wydawała się niemal przezroczysta.

– Pani musi mi obiecać, że moja córka wróci do domu – powiedziała, jakby nie usłyszała słów Louise. – Cały czas mam ją przed oczami. Ona była taka dobra i kochana, a ja jej poświęcałam tak mało czasu. Dlaczego nie wiem nawet, jak się nazywa jej nauczycielka tańca? – Rebekka zasłoniła twarz rękami i znieruchomiała.

– Musimy się przygotować – kontynuowała Louise spokojnie. – Przecież nie wiemy, czy następnym razem nie zadzwonią. A jeśli będą chcieli rozmawiać, to właśnie pani będzie musiała odebrać telefon.

– Ja nie mogę! – zawołała Rebekka zrozpaczona.

– Będę słuchać i we wszystkim pani pomogę.

– A co mam mówić?

– Powie im pani, że jest w trakcie zdobywania ikony, a oni powinni zrozumieć, że to wymaga czasu. Czas jest tu bardzo ważny. Proszę przeciągać bieg zdarzeń, ile się tylko da, ale jednocześnie zapewniać, że spełni pani ich żądania.

Rebekka spojrzała na nią.

– Przecież my nie wiemy, gdzie jest ta ikona – szepnęła.

– Rzeczywiście, nie wiemy. – Louise pokręciła głową. – Ale akurat tego się dowiemy. Pani ojciec jest w kontakcie z policją. W tej chwili zaś musimy skoncentrować się wyłącznie na tym, by właściwie rozmawiać z ludźmi, którzy porwali pani córkę. Proszę im nie obiecywać, że pani zdobędzie ikonę, proszę mówić, że cały czas pani nad tym pracuje, ale że to może

potrwać. I tak jak wspomniałam, nie wolno im niczego obiecywać, dopóki nie dostaniemy *proof of life* – powtórzyła. – Musi ich pani poprosić o dowód na to, że to oni porwali pani córkę i że ona żyje.

– W jaki sposób? – spytała szeptem Rebekka. Oczy jej zwilgotniały.

– Proszę ich spytać o coś, czego mogą się dowiedzieć tylko od Isabelli.

– To znaczy o co?

– Czy ona ma jakieś zdrobniałe imię? – podsunęła jej Louise. – A może coś szczególnego wydarzyło się w szkole tańca, coś niezwykłego, o czym sobie przypomni, gdy ktoś ją o to spyta?

Rebekka pokręciła głową, ale nagle na coś wpadła.

– Spytam o Gretę Garbo – zdecydowała i wyjaśniła, że to stara lalka, którą jej córeczka bardzo kocha.

– Dobrze.

Louise wstała, żeby powiadomić o tym Thiesena, ale w tej samej chwili zadzwonił jej telefon. Widząc, że to Jonas, przeprosiła i wyszła do holu.

– Cześć – rzuciła i już zdążyła się zdenerwować, że chłopiec dzwoni do niej w czasie lekcji, gdy uświadomiła sobie, że wcale nie rozmawia z Jonaszem.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała wychowawczyni chłopca, a Louise już pożałowała, że w ogóle odebrała ten telefon. To nie była dobra pora na kolejną awanturę. – Jonas został właśnie odwieziony na pogotowie – poinformowała nauczycielka.

– Na pogotowie? – wykrzyknęła Louise zdumiona. – A co się stało?

– Wszczął bójkę i ma rozcięty łuk brwiowy.

– Jonas nie mógł wszcząć bójkę – zaprotestowała Louise. – Jeżeli coś mu się stało, to dlatego, że ktoś go zaatakował. Jonas się nie bije!

Nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić.

– Ależ to właśnie on zaczął – oświadczyła nauczycielka.

– Kto pojechał z nim na pogotowie?

– Nauczyciel matematyki. Ale nie może tam długo z nim siedzieć, więc

musi pani przyjechać.

– Dobrze – powiedziała Louise. – Coś wymyślę.

– Proszę potraktować tę sprawę bardzo poważnie – ciągnęła nauczycielka. – Bo jeśli dalej tak będzie, to Jonas nie będzie mógł zostać w tej klasie i...

– Coś pani powiem! – przerwała jej Louise. – Jeżeli gdzieś się źle dzieje, to w szkole, w pani klasie. I to wy powinniście potraktować to poważnie. Jonas to dojrzały, obowiązkowy chłopiec, nie ma skłonności do przemocy. Pani również dobrze o tym wie. Nie powiem, że to na pani spoczywa odpowiedzialność za to, żeby dzieci dobrze się czuły w szkole, ale to właśnie pani powinna zwrócić uwagę, jeżeli w klasie dzieje się coś złego. A właśnie tak musi być, skoro Jonas został doprowadzony do takiego zachowania.

Teraz to nauczycielka jej przerwała:

– Źle się dzieje jedynie pod tym względem, że Jonas Holm nie potrafi się właściwie zachowywać.

Louise wyłączyła telefon, trzęsąc się ze złości. Nie mogła nawet zadzwonić do Jonasa, skoro aparat chłopca został w szkole. Wybrała więc numer do Melvina, który natychmiast się zaoferował, że odbierze Jonasa z pogotowia. Zatraskany spytał oczywiście, jak mogło w ogóle dojść do bójki, ale Louise potrafiła mu powiedzieć jedynie, że chłopiec najwyraźniej ma jakieś problemy. Nie wiedziała jednak, z czego wynikają, bo przecież nie chciał z nią o niczym rozmawiać.

Melvin obiecał, że spróbuje pomówić z Jonasem, ale Louise i tak miała wyrzuty sumienia, że nie może teraz przy nim być. Przecież nauczycielka mówiła, że jest dość mocno poturbowany.

Louise uznała, że musi się trochę poruszać. Włożyła małą nokię do kieszeni na wypadek, gdyby zgłosili się porywacze, i wyszła na dziedziniec. Wciągnęła zimne powietrze głęboko w płuca i właśnie przysiadła na stopniu schodków, gdy zadzwoniła jej komórka.

Sądziła, że to znów nauczycielka Jonasa, dlatego bardzo się zdziwiła, słysząc głos Ragnera Rønholta. Szef Wydziału Osób Zaginionych nigdy wcześniej nie dzwonił do niej na komórkę, nie wiedziała nawet, że ma jej numer.

– Przeszkadzam? – spytał, ale nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – Wygląda na to, że jeszcze jedna młoda kobieta zniknęła z hotelu w Marbelli. Nie ma z nią kontaktu od wczorajszego popołudnia, a personel potwierdza, że od wczorajszego sprzątanania nie korzystała z łóżka i ręczników.

Louise natychmiast się wyprostowała.

– Jedna doba to jeszcze nie tak długo, skoro wyjechała sama – odparła zaskoczona tym, że Rønholt już uważa, że coś się mogło stać.

– Owszem, to prawda – przyznał. – Ale, widzisz, mamy pewność, że nie zniknęła z własnej woli. To reżyserka, a jej najnowszy film ma premierę na początku przyszłego tygodnia. Tuż przed zniknięciem kontaktowała się i ze spółką producencką, i z partnerem. Jedna i druga strona twierdzą, że cieszyła się na powrót do domu.

– A kto zgłosił zaginięcie?

– Dział marketingu producenta skontaktował się z jej partnerem, ponieważ zaplanowany był wywiad telefoniczny w radiu. Miał pójść na żywo w wiadomościach o osiemnastej trzydzieści, ale kiedy dziennikarz zadzwonił, kobieta nie odebrała telefonu. Oczywiście skontaktował się z działem marketingu, który na próżno usiłował ją złapać. A wczoraj wieczorem jej partner zadzwonił do nas i zgłosił zaginięcie.

– To jakaś znana reżyserka? – spytała Louise.

– Naja Holten.

Louise zmroziło. Wstała. Przed oczami stanęła jej rudowłosa kobieta.

– Kto miał z nią ostatni kontakt? – spytała, wchodząc do domu.

– Jej partner rozmawiał z nią wczoraj po południu. Na wieczór zarezerwowała stolik w restauracji, ale się nie pojawiła, a później już nikt jej

nie widział – odparł Rønholt. Przez chwilę milczał, ale w końcu podjął: – Rano porozumiałem się z policją hiszpańską i facet, który zajmuje się sprawą Jeanette Milling, zgodził się sprawdzić, czy w tym rejonie nie doszło do zaginięć jeszcze innych Skandynawek. Jeśli się okaże, że między sprawą Jeanette i tej reżyserki jest jakiś związek, to przyjąłem, że zagięły również inne.

– No i co, ten Hiszpan się odezwał?

Louise usłyszała, że Rønholt ciężko oddycha.

– Oddzwonił jakąś godziną temu i okazuje się, że w ostatnich dwóch latach zagięły cztery Skandynawki. Wszystkie w wieku około trzydziestu lat. Łączy je to, że wyjechały same na urlop na Costa del Sol.

– Jasna cholera! – zawołała Louise. Wcześniej rzuciła okiem na salon. Rebekka ciągle siedziała na kanapie i wyglądała tak, jakby się zdrzemnęła, więc Louise na palcach znów wyszła. – I nikt nie powiązał tych zaginięć? – spytała, przechodząc do gabinetu i siadając przy dużym biurku.

– Nikt – odparł Rønholt. – Poszukiwania prowadzono w krajach, w których kobiety mieszkały. Dwie były ze Szwecji, jedna z Norwegii. No i Jeanette. Ale nikt tego nie skojarzył. Nie mogę skontaktować się z panią Milling, a chciałbym sprawdzić, czy coś jeszcze łączy te kobiety.

– Spróbuj zadzwonić do mojego sąsiada – zaproponowała Louise. – Nie zdziwiłoby mnie, gdyby wiedział, gdzie jej szukać. Zaczęli często rozmawiać.

Podawała mu numer Melvina i wstała z zamiarem zakończenia rozmowy, ale szef Wydziału Osób Zaginionych miał jeszcze jedno pytanie:

– Byłaś w mieszkaniu Jeanette – powiedział. – Czy nic tam nie nasunęło ci na myśl, że ona może być członkiem jakiejś grupy? Mam na myśli kontakt z kobietami ze Skandynawii. Jakiś klub czytelniczy, coś w tym rodzaju, sam nie wiem.

– Raczej nie – odparła Louise po namyśle. – Nic takiego mi się nie przypomina. Ale też i wcale się za czymś takim nie rozglądałam.



– No tak, jasne – stwierdził Rønholt prędko. – Ale gdyby się miało okazać, że te zaginięcia w jakiś sposób się wiążą, to sprawa przybrałaby bardzo nieprzyjemny obrót.

– Rzeczywiście – przyznała Louise. – Wiesz coś o tym, w jaki sposób zaginęły pozostałe?

– Nic oprócz tego, że wszystkie wyjechały same i bez śladu zniknęły z hotelu.

– Nie najlepiej to wygląda – stwierdziła Louise. – Aż chciałoby się mieć nadzieję, że to wszystko przypadek, bo jeżeli się okaże, że nie, to możemy mieć do czynienia z czymś naprawdę paskudnym.

– Zgadza się – powiedział Rønholt i obiecał, że będzie ją informował na bieżąco.

Camilla jechała długą aleją starych drzew. Za nimi po obu stronach ciągnęły się aż pod las nagie zimowe pola. Już z daleka dostrzegła wielki biały budynek dworu. Kiedy dotarła do bramy z pomalowanymi na biało kolumnienkami, zdjęła nogę z pedału gazu swojego punto i włączyła kierunkowskaz.

Dobrze знаła posiadłość rodziny Sachs-Smithów ze zdjęć w gazetach i wolno podjechała przed budynek, który kojarzył jej się ze starym angielskim dworem. Był to majestatyczny piękny kolos z oknami tak wysokimi jak drzwi balkonowe, a do wejścia prowadziły szerokie kamienne schody rozkładające się jak wachlarz i ozdobione krzakami bukszpanu w eleganckich donicach. Zjechała na bok i zatrzymała samochód. Na dziedzińcu był okrągły trawnik z niewielką fontanną na środku, a cały podjazd wysypano drobnym żwirem.

Kamyczki chrzęściły jej pod stopami, kiedy szła do wejścia. Całe to miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego, chociaż w żaden sposób nie było zaniedbane. Walther mówił jej, że zarządca, który wszystkiego dogląda, mieszka w jednym z budynków na terenie posiadłości. Camilla rozejrzała się i doszła do wniosku, że to pewnie któryś z domków pod lasem, bo nic innego raczej jej nie pasowało.

Wyjęła kartkę z zapisanym kodem, gdy nagle przypomniała sobie o kluczu. Walther poinformował ją, że zapasowy klucz leży w fontannie. „Stań dokładnie w linii prostej między fontanną a wejściem do domu. Klucz musi gdzieś tam leżeć”.

Podsunęła wysoko rękaw, zanurzyła głęboko rękę w zimną mętą wodę i niemal od razu natrafiła na nieduże pudełeczko z twardego plastiku, w którym leżał klucz. Zawróciła do domu, wstukała kod i spróbowała obrócić klucz w zamku. Nic się jednak nie stało. Na obudowie alarmu

mrugała czerwona lampka. Jeszcze raz uważnie sprawdziła swoje zapiski i ponownie wstukała sześciocyfrowy numer, ale czerwona lampka nie zgasła. Cofnęła się o kilka kroków, zupełnie nie wiedząc, co robić. W końcu sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do Walthera, licząc, że nie siedzi jeszcze w samolocie.

Na szczęście zaraz usłyszała jego głęboki głos, który przebił się przez otaczający go hałas.

– Kod nie uaktywnia zamka – powiedziała głośno.

Przez chwilę milczał, ale w końcu zrozumiał.

– Najwyraźniej zmienili numer. Musisz zadzwonić do Carla Emila. A zresztą nie, ja do niego zadzwonię i powiem, żeby natychmiast się z tobą skontaktował, bo sama nic z niego nie wyciągniesz. Podaj mi numer, z którego dzwonisz.

Kiedy Camilla się rozłączyła, zeszła ze schodów i okrążyła dom. Zauważyła murek z pomalowaną na czarno furtką prowadzącą do ogrodu. Przeszła przez nią i skierowała się do białej drewnitni. Zbliżywszy się, spostrzegła, że jej drzwi już są uchylone. Puściła się biegiem, całkiem je otworzyła i od razu stwierdziła, że ktoś już tu grzebał, bo starannie zapewne poukładane stosy drewna od podłogi po sufit były porozrzucane. Rozejrzała się. Usłyszała jedynie ptaki, które na przystanek wybrały sobie akurat pobliskie drzewa. Było chłodno i wilgotno, ale nie padało, chociaż niebo się zaciągnęło. Zaczęła szybko odrzucać drewno leżące przy wejściu, potem ukucnęła.

Deski podłogi rzeczywiście nie przylegały do ziemi, tak jak mówił Walther. Wsunęła między nie rękę. Natychmiast wyczuła metalową ramę owiniętą wilgotnym płótnem i zaczęła ciągnąć. W tej samej chwili usłyszała podjeżdżający samochód. Przy gwałtownym hamowaniu głośno zachrzęścił żwir i zaraz z za domu rozległ się męski głos wołający „Halo”.

Szybko się podniosła i wyszła z drewnitni. Spojrzała na siebie. Miała mokre plamy na kolanach i brudne ręce. Otarła je o kurtkę i ruszyła

do furtki. Zobaczyła czerwonego pick-upa przy drzwiach do głównego budynku, a jakiś mężczyzna w polarze podchodził właśnie do jej punktu.

– Halo! – odkrzyknęła i włączyła uśmiech. – To pan jest zarządcą posiadłości? Rebekka mi mówiła, że pewnie pana tu spotkam. – Dochodząc do siwowłosego mężczyzny, wyciągnęła rękę. – Nazywam się Camilla Lind i wiosną będę pisać reportaż o ogrodach w okolicy. W zeszłym tygodniu rozmawiałam z Rebekką Sachs-Smith, powiedziała, że mogę tu przyjechać i się rozejrzeć. Muszę się zorientować, od czego zacząć.

Mężczyzna podał jej rękę, ale szybko ją puścił.

– Kiedy pani z nią rozmawiała? – spytał z niedowierzaniem, ale przerwał mu warkot zbliżającego się helikoptera. – Muszę prosić, żeby pani opuściła ten teren – dodał, zanim Camilla zdążyła odpowiedzieć.

Chciała zaprotestować, ale ją uprzedził.

– Nie ma pani tu czego szukać. To prywatna posiadłość, a pani nie ma prawa się tu wdzierać.

– Ależ ja się wcale nie wdieram – oświadczyła i przypomniała sobie o plastikowym pudełeczku z kluczem, które wciąż miała w kieszeni. Jeśli zarządca zorientuje się, że je ma, z całą pewnością wezwie policję.

Zarządca wskazał helikopter TV2.

– Dzisiaj już drugi raz krążą nad dworem. Od was, dziennikarzy, nie można się opędzić, jakby wasze węszenie mogło pomóc w czymś tej nieszczęsnej dziewczynce.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Camilli, szybko więc cofnęła się o krok. Chociaż nigdy wcześniej nie rozmawiała z Carlem Emilem, od razu się zorientowała, że to on. Głos miał bardzo podobny do Frederika. Serce zabiło jej mocniej, chociaż przecież obu braci niewiele łączyło.

– Rozumiem, że pani rozmawiała z moim ojcem – zaczął Carl Emil, ale nie dokończył, bo helikopter znów zaczął hałasować. W końcu jednak maszyna zawróciła nad fiordem i poleciała w stronę Roskilde. – Prosił, żebym podał pani kod.

– Zarządca posiadłości właśnie kazał mi opuścić teren, więc na początku bardzo by mi pan pomógł, wyjaśniając mu, że mam tu do załatwienia pewną sprawę.

Carl Emil najwyraźniej się zorientował, że zarządca stoi tuż obok.

– Co mu pani powiedziała? – spytał.

– Że przygotowuję reportaż na temat ogrodów – odparła Camilla i podała swoją komórkę mężczyźnie.

Ten przez chwilę słuchał Carla Emila i w końcu oddał jej aparat. Camilla zasłoniła ręką mikrofon.

– No i jak, w porządku? Mogę wrócić do ogrodu? – spytała.

Zarządca kiwnął głową i ruszył w stronę własnego samochodu.

– Po prostu cały czas ktoś tu węszy, dlatego muszę być czujny – tłumaczył się jeszcze.

– Oczywiście – przyznała Camilla i pomachała mu na pożegnanie.

– Co pani powiedział mój ojciec? – spytał Carl Emil, gdy wróciła do rozmowy z nim.

– Boi się, że policji tak będzie zależało na schwytaniu porywaczy, że zapomną o bezpieczeństwie dziewczynki, dlatego prosił, abym dostarczyła ikonę panu, a pan już w odpowiedni sposób zadba o uwolnienie siostrzenicy.

– To znaczy, że ikona znajduje się na terenie posiadłości? – spytał, a Camilla wyczuła, że Carl Emil z trudem oddycha.

– Tak – odparła krótko, ruszając w stronę furtki, ale znów się zatrzymała.

– Już jadę do pani – oświadczył Carl Emil.

– Nie – zaprotestowała, kierując się ku swojemu samochodowi. – Nie wolno nam tak ryzykować. Za panem ktoś może jechać. Zadzwonię, kiedy już będę miała tę ikonę – oświadczyła i wyłączyła telefon.

Wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik, zawróciła i tyłem podjechała do furtki. Potem pobiegła do drewnutni, otworzyła drzwi, uklękła i obiema rękami zaczęła wyciągać ikonę.

Witraż okazał się cięższy, niż sądziła. Pokaleczyła sobie grzbiety dłoni

o nierówne deski w podłodze, ale powoli zaczęła wyłaniać się rama.

*Anioł śmierci* był owinięty w duże prześcieradło, wilgotne i zapleśniałe.

Kiedy już wyciągnęła górną część ramy spod podłogi, w uszach jej szumiało, a serce waliło tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Podniosła się z klęczek i przykucnęła, bo tak łatwiej było ciągnąć. Witraż musiał o coś zahaczyć, więc natężyła siły, aż to coś nagle puściło i wreszcie całość wyłoniła się spod podłogi. Ostrożnie przeniosła skarb na trawnik.

Ciężki prostokąt miał rozmiary dużego okna. Z trudem udało jej się go postawić. Musiała aż ugiąć kolana, żeby go podnieść i przetransportować na dziedziniec. Mogła stawiać jedynie drobne kroczki, a palce bolały ją od ściskania.

Postawiła witraż przy murku i otworzyła bagażnik samochodu. Tylne siedzenie złożyła już wcześniej, ale wiedziała, że nie da rady unieść witraża i po prostu go tam włożyć. Musiała go oprzeć o krawędź bagażnika i powoli wpychać.

Spływała potem, kiedy ikona wreszcie znalazła się na miejscu. Z brudnymi i zakrwawionymi rękami czym prędzej wsiadła do samochodu i opuściła podjazd, słuchając, jak żwir uderza o podwozie. W czasie gdy ładowała ikonę, dzwoniła jej komórka, teraz odezwała się znów, ale Camilla w dalszym ciągu ją ignorowała i tylko dodała gazu, jadąc przez aleję. Serce ciągle jej waliło, a pot spływał po karku.

Nie mogła się powstrzymać przed spojrzeniem we wsteczne lusterko, ale na wąskiej wiejskiej drodze nie było żadnych innych samochodów. Zwolniła więc, wytarła twarz i dłonie chustką, która leżała na przednim siedzeniu. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Walthera, postanowiła jednak poczekać z tym i skupić się na dojechaniu do hotelu Prindsen.

Dziesięć minut później minęła Stændertorvet i restaurację w Djalmer Lunds Gård. Wreszcie zaczęła się uspokajać. Skręciła w prawo i wjechała na hotelowy parking. Ustawiła się na najbardziej oddalonym wolnym miejscu, przejrzała się w lusterku umieszczonym w osłonie

przeciwsłonecznej, poprawiła włosy i przeciągnęła błyszczkiem po wargach. Wysiadła, żeby wynająć pokój.

Policja przeszukuje obszar wokół szkoły tańca – powtórzyła Louise, kiedy Rebekka Sachs-Smith, grożąc palcem, znów zaczęła jej wyrzucać, że za mało się robi, by znaleźć Isabellę. – Po całym mieście krążą patrole, które jej szukają.

– A kto mówi, że ona w ogóle jest w mieście? – spytała zrozpaczona matka.

– Nikt tak nie mówi – odparła Louise spokojnie, przygotowana na takie oskarżenia. Wiedziała, że wynikają one z bezsilności, dlatego starała się, by jej odpowiedzi nie pogłębiały frustracji ich obu.

Niedawno wróciła do salonu po rozmowie z Rønholtem. Od przekazanych przez niego informacji aż kręciło się jej w głowie, lecz musiała się skupić na zadaniu. Od zaginięcia dziewczynki minęła już doba, a wszystkie sprawy związane z przekazaniem okupu powinny być gotowe, gdy porywacze znów się odezwą.

W pokojach zaległa napięta atmosfera.

– Pani ojciec niedawno dzwonił do Nymanda – powiedziała Louise, patrząc na Rebekkę. – Jest już w drodze do domu.

– Skąd? – spytała Rebekka. – W drodze skąd?

– Nie bardzo wiem, gdzie przebywał – odparła Louise, ignorując agresywny ton. – Ale zapewnił nas, że *Anioł śmierci* będzie dziś gotowy do przekazania. Pani brat otrzyma informację, kiedy ikona będzie już na miejscu.

Rebekka zaczęła cicho płakać.

– Nie powinien był wyjeżdżać. Nie mógł sobie pozwolić na wyjazd.

Louise starała się nie słuchać oskarżeń kobiety pod adresem ojca, ale płynęły równym strumieniem, irracjonalne i nieprzyjemne.

– Rozumiem, że jest pani bardzo trudno, ale proszę mi wierzyć, że dzięki



naszym wspólnym wysiłkom pani córka wróci do domu cała i zdrowa – próbowała uspokajać nieszczęśliwą matkę.

– Przecież wy nawet nie wiecie, czy już się jej coś nie stało!

Louise znów poczuła złość, ale się opanowała, widząc, że Rebekka osuwa się w obszernym fotelu i zamyka oczy.

– Przepraszam – szepnęła matka Isabelli.

– W porządku – powiedziała Louise i spojrzała na stojącą przy kanapie tablicę.

O trzynastej dwadzieścia jeden przyszła wiadomość z poleceniem przygotowania ikony na dwudziestą pierwszą. O trzynastej trzydzieści Louise odpisała, żądając *proof of life*. Domagała się odpowiedzi na pytanie o imię lalki, którą Isabella dostała od babci. O trzynastej trzydzieści dwie nadeszła odpowiedź: „Greta Garbo”. Kiedy Palle zapisał te godziny na tablicy, wysłała kolejną wiadomość z prośbą o zdjęcie Isabelli. Jeszcze nie przyszło.

– Co oni z nią robią? – rzuciła pytanie Rebekka. – Wszystko przez tę przeklętą ikonę! – krzyknęła nagle, mocno uderzając w podłokietniki fotela.

– A co z tą ikoną? – spytała Louise łagodnie, wyczuwając, że po raz pierwszy od tylu godzin być może dowie się od Rebekki czegoś nowego. Zmiana nastąpiła tak szybko, że Louise nawet nie była pewna swoich obserwacji.

– Nic. Ale chyba dla nikogo nie powinna być na tyle ważna, żeby porywać moją córkę – odparła Rebekka spokojnie, jakby do jej poprzedniego wybuchu w ogóle nie doszło.

– Jaka właściwie jest historia tej ikony? – spytała Louise, starając się, by jej głos wyrażał zwyczajne zainteresowanie.

– Trafiała do nas przypadkiem – wyjaśniła kobieta zmęczonym głosem.

– Czy kiedykolwiek ktoś próbował ją wycenić?

– Nie. – Rebekka machnęła ręką, chociaż Louise i tak udało się uchwycić przeblysk jej niepewności. – Ale dla kolekcjonera fanatyka musi

być bezcenna.

– Nigdy żadna kwota nie padła? – dociekała Louise.

Rebekka tylko pokręciła głową.

– Nikt nigdy nie planował jej sprzedaży. Z tego, co wiem, witraż nie ma też żadnego certyfikatu, który umożliwiłby legalną sprzedaż. Ale szczerze mówiąc, nigdy się tym nie interesowałam.

– Dziełami sztuki bez certyfikatu i tak się handluje – zauważyła Louise.

– Tyle że nie odbywa się to oficjalnie.

Rebekka wzruszyła ramionami.

– Dlaczego oni nie przysyłają zdjęcia? – zmieniła temat.

– Po prostu przeciągają czas. Nic nie szkodzi. To my będziemy mieć problem, jeśli nie uda nam się zdobyć ikony do dziewiątej wieczorem.

Komórka na stole zawibrowała: „Potwierdźcie przekazanie okupu o dwudziestej pierwszej”.

Louise wstała, poszła po Thiesena, który siedział w ostatnim salonie razem z Pallem. Oprócz odnotowywania informacji na tablicy Palle Krogh koordynował informacje na bieżąco napływające z komendy policji w Roskilde i wraz z Thiesenem oceniał, które z nich Louise może przekazać Rebekce, a które powinni raczej zachować na razie dla siebie. Chociaż Thiesen był szefem grupy negocjacyjnej, to na czas tej akcji podjął się jedynie roli doradcy taktycznego w trzyosobowym zespole, który sam powołał.

– Potwierdzimy to? – spytała Louise, gdy szef podszedł do okna i wyjrzał na fiord.

– Uważam, że jeszcze za wcześnie – zdecydował po chwili zastanowienia.

– Potwierdźcie to! Potwierdźcie! – krzyknęła Rebekka, podrywając się z fotela. – Musicie im powiedzieć, że dotrzemy umowy! Jeśli ojciec obiecał, że ściągnie *Anioła śmierci*, to z całą pewnością dotrzyma słowa!

– Niczego nie potwierdzimy, dopóki nie będziemy mieć w ręku ikony –

postanowił Thiesen, patrząc na Louise. – Musisz ich jakoś przetrzymać. Jeszcze raz poproś o zdjęcie dziewczynki i napisz, że najpierw musimy mieć pewność, że nic się jej nie stało.

Rebekka osunęła się na fotel. Była bardzo blada, ale łzy nie płynęły jej już z oczu, nie nastąpił też kolejny wybuch złości.

Louise siedziała przez chwilę z nokią w ręku, zastanawiając się nad doborem słów, a w końcu zaczęła pisać: „Nie możemy potwierdzić umowy, dopóki nie dostaniemy zdjęcia”.

Początkowo rozważali, czy nie pozwolić, by to Rebekka pisała esemesy, ale doszli do wniosku, że równie dobrze może się tym zająć Louise. Przecież i tak wszystkie media podawały, że do matki przyjechała grupa negocjacyjna. Przeczytała jeszcze tekst wiadomości i wysłała. Pierwszy raz znalazła się w sytuacji, w której cała komunikacja z porywaczami odbywała się w ten sposób. Ludzie Nymanda starali się wyśledzić odbiorcę wiadomości tekstowych za pomocą stacji bazowych, ale to wymagało czasu i było skomplikowane, zwłaszcza że chodziło o telefon na kartę.

„Nie obiecujemy, że dalej będzie cała i zdrowa, jeżeli w ciągu godziny nie potwierdzicie umowy”.

Kiedy przyszła kolejna wiadomość, Rebekka cała się spięła. Louise uspokoiła ją uśmiechem.

– Oni dobrze wiedzą, że to wymaga czasu – wyjaśniła i poszła naradzić się z Thiesenem.

– Zaczynają grozić – szepnęła, pokazując mu esemesa.

Wymienili spojrzenia, nie odzywając się do siebie. Potem Thiesen skinął głową, a Louise przysiadła na kanapie i odpisała: „To wy jesteście odpowiedzialni za Isabellę i jeżeli coś jej się stanie, nie będziemy mogli współpracować. Kontynuujemy współpracę czy zrywamy?”.

Wysłała wiadomość i przez chwilę siedziała z telefonem na kolanie, patrząc na wodę za oknem. Czuła, że puls jej przyspieszył, bo wiedziała, że ta ostatnia wiadomość może być punktem zwrotnym. Lepiej byłoby

negocjować twarzą w twarz i móc odczytywać mimikę przeciwnika, a przynajmniej rozmawiać przez telefon tak, by dało się wychwycić ton wypowiedzi. Komunikacja elektroniczna okazała się o wiele trudniejsza. Słów nie można było cofnąć, a poza tym nie dało się powiedzieć wszystkiego.

Wróciła do salonu i usiadła naprzeciwko Rebekki. Nie odzywały się do siebie, ale matka dziewczynki i tak się zorientowała, że coś zaszło. Coś niedobrego. Oczy jej pociemniały, ale dalej milczała. Obserwowała Louise, a cisza zapadała coraz głębsza. Wreszcie ciche piśnięcie oznajmiło nadejście wiadomości. Rebekka aż drgnęła.

„Kontynuujemy”.

Chwilę później przyszło zdjęcie.

Louise otworzyła je, wstała i pokazała Rebekce. Jej córka siedziała na anonimowym białym tle i uprzejmie się uśmiechała. Nie był to uśmiech serdeczny, ale też niewystraszone. Po prostu uśmiechnęła się do fotografa, który ją o to poprosił.

– Dzięki Bogu! – zawołała Rebekka, biorąc komórkę do ręki.

Przez chwilę przyciskała ją tylko do serca, a potem jeszcze raz spojrzała na zdjęcie i oddała telefon Louise.

Nie mógł myśleć jasno, nie potrafił też zachować spokoju. Krążył po mieszkaniu i miał tylko nadzieję, że swoim zdenerwowaniem nie zarazi Isabelli, która oglądała *Roztańczonego buntownika*.

Cała sprawa przyjęła nieoczekiwany obrót. W ogóle nie wziął pod uwagę, że może pojawić się ojciec, w dodatku tak szybko. Nie przewidział także, że kompletnie nieznana mu dziennikarka bez przeszkód przedostanie się na teren posiadłości i znajdzie ikonę.

Usiadł wreszcie na kanapie i zamknął oczy. Właśnie w tej chwili obca kobieta wiezie samochodem ponad miliard jego koron. Obiecała, że zadzwoni, ale jeszcze się nie odezwała. Carl Emil przez cały czas sądził, że to policja lub Rebekka odnajdą witraż, a jemu w jakiś sposób uda się zniknąć w trakcie wymiany go na dziewczynkę.

Byłe tylko ta dziennikarka niedługo do niego zadzwoniła. Zdążyłby wyjechać jeszcze przed planowaną godziną złożenia okupu. Niespokojne myśli krążyły mu po głowie. Położył komórkę na kanapie i zakrył twarz rękami. Usiłował się skoncentrować i dobrze nad wszystkim zastanowić.

– Calle!

To siostrzenica go wołała, lecz zanim zdążył wstać, żeby do niej pójść, zadzwonił jego telefon. Chwycił go i poderwał się na nogi.

– Tak? – rzucił krótko i podszedł do okna. Oparł się czołem o szybę i zapatrzył na wodę, na której kołysały się dwie mewy.

– Jestem w hotelu Prindsen w Roskilde – oznajmiła dziennikarka.

Carl Emil zamknął oczy.

– A ikona?

– Też tu jest. Przyjedzie pan?

– Calle! – zawołała Isabella tuż za jego plecami.

Odwrócił się i przyłożył palec do ust, żeby ją uciszyć.

– Zaraz będę – rzucił cicho do telefonu, a ruchem głowy wskazał na korytarz, sygnalizując dziewczynce, że przyjdzie do niej, gdy tylko zakończy rozmowę.

Spoconą ręką schował komórkę do kieszeni i pobiegł do sypialni. Tam wyciągnął z szafy niedużą brązową torbę podróżną, prędko wepchnął do niej spodnie, koszulę i bieliznę, postanawiając, że brakujące rzeczy dokupi później.

– Ty też wyjeżdżasz? – spytała zaniepokojona Isabella, obserwując go od drzwi.

Carl Emil nie usłyszał, że za nim przyszła, ale czym prędzej się uśmiechnął.

– Nie, nie – próbował ją uspokoić. – To tylko mojemu przyjacielowi potrzeba trochę czystych rzeczy.

– Po co?

Carlowi Emilowi zakręciło się w głowie. Dlaczego Isabella nie może po prostu wrócić do swoich filmów?

– Ponieważ... – zaczął, myśląc gorączkowo – pokłócił się ze swoją dziewczyną i przez kilka dni będzie nocował w biurze.

– Będzie spał na podłodze? – spytała dziewczynka.

– Nie – odparł Carl Emil, kręcąc głową. – Tam jest na szczęście kanapa. No ale musi się w coś przebrać.

Sprawdził, czy mała nokia wciąż jest w kieszeni spodni. Telefon ustawił na tryb milczący, ale wyczuwał wibracje. To by dopiero było, gdyby wyjechał, zostawiwszy tę komórkę.

– Aha – powiedziała dziewczynka. – A kiedy będziemy jeść?

Spojrzał na zegarek, było już prawie wpół do piątej. Doszedł jednak do wniosku, że nie może zwlekać z wyjściem.

– W lodówce jest mnóstwo jedzenia – przypomniał siostrzenicy, powstrzymując irytację. – A w dolnej szufladzie, pod sztućcami, są chipsy i popcorn. Po prostu weź sobie coś, kiedy zgłodniejesz.

– A ty nie wrócisz?

Znieruchomiał. Wiedział, że musi się opanować. To nie była właściwa pora, żeby się złościć na małą. Podszedł więc do niej, przykucnął i położył jej ręce na ramionach.

– Ależ oczywiście, że wrócę. Po prostu akurat teraz muszę wyjść. Ale po moim powrocie zadzwonimy do mamy.

Dziewczynka pokiwała głową i utkwiała w nim spojrzenie ciemnych oczu.

– Mama wróciła?

– Nie, chociaż sądzę, że już jest w drodze do domu. Ale będziemy mogli spytać, kiedy po ciebie przyjedzie.

– Wolę zostać tutaj – zachmurzyła się Isabella. – Przecież jeszcze nie wypróbowaliśmy „SingStar”.

Carl Emil z uśmiechem pogładził ją po włosach.

– Wypróbujemy, jak wrócę – obiecał, czując ukłucie wyrzutów sumienia, i wstał.

Isabella odprowadziła go do przedpokoju i pomachała mu na pożegnanie, kiedy brał torbę i klucze.

Wyszedł i zamknął ją od zewnątrz.

Kiedy wyjeżdżał range roverem z podziemnego parkingu, usiłował spokojnie przeanalizować sytuację. Jak to wszystko zrobić?

Przede wszystkim musiał jakoś pozbyć się tej dziennikarki. Nie wiedział, czy ojciec czegoś jej nie obiecał. Przecież w ogóle nie miał pojęcia, skąd się znają. Wszystko zaczęło nagle dziać się tak szybko, a on wciąż był wstrząśnięty tym nieoczekiwanym pojawieniem się ojca.

Ruszył Tuborgvej w stronę autostrady. Ruch był duży i już zaczął się denerwować na myśl o tym, że wpakuje się w korek, zanim w ogóle dojedzie do Roskilde. Co on, u diabła ciężkiego, powinien zrobić? Przecież musi na bieżąco utrzymywać kontakt z Rebekką i policjantami przebywającymi w jej domu. W zasadzie należało go nie przerywać aż do dwudziestej

pierwszej. Dopóki nie potwierdzą, że mają ikonę, nie musiał podejmować żadnych działań. Piłka była na ich połowie boiska, teraz to on czekał na odpowiedź.

Zorientował się, że jedzie za szybko, i trochę zwolnił. Jeszcze tylko brakowało, żeby zatrzymała go drogówka.

Oczywiście musi przenieść ikonę. Ale dokąd?

Nagle uświadomił sobie, że od dłuższego czasu nie sprawdza, czy ktoś za nim nie jedzie. Szybko spojrzął w lusterko, ale w popołudniowym szczyście samochody ciągnęły się długim gęstym sznurem, trudno więc było stwierdzić, czy ktoś go nie śledzi. Bez włączania kierunkowskazu zaczął zjeżdżać na środkowy pas. Rozległo się trąbienie, ale on, nie zważając na to, dalej przeciskał się na prawy, żeby mieć na oku następny zjazd.

Minął Høje Tåstrup i Sengeløse, dalej jechał prosto i dopiero tuż przed zjazdem włączył kierunkowskaz i wcisnął się przed czarne kombi. Szybko rozważył w myślach, czy ma jechać w lewo w Roskildevej, czy raczej prosto przez Sengeløse i dotrzeć do miasta od strony Jyllinge. W końcu skręcił w prawo. Na mniejszych drogach łatwiej mu będzie obserwować samochody jadące z tyłu.

Znów skupił się na opanowaniu nerwów. W ciągu wieczoru wyśle Rebekce esemesa z informacją, gdzie jest jej córka. Kiedy siostra go dostanie, on już będzie wyjeżdżał z kraju.

Skręcił w stronę Herringløse i teraz miał już pewność, że nikt za nim nie jedzie. Zatrzymał się na poboczu i napisał do dziennikarki: „Już jadę”. Miał nadzieję, że kobieta nie straci cierpliwości i nie zacznie wydzwaniać do ojca.

Ojciec! Ciekawe, czy już siedzi w samolocie. Nagle przytłoczyły go wszystkie uczucia, które tłumił przez tyle miesięcy, kiedy żył w przekonaniu, że ojciec umarł. Ścisnęło go w piersi tak mocno, że gdy dotarł do Gundsømagle, znów musiał zjechać na bok i chwilę odczekać.

Bardzo za nim tęsknił, chciał znów go zobaczyć, ale wiedział, że to niemożliwe. Gdy już przejmie ikonę, będzie musiał całkowicie zerwać z nim



kontakt. Teraz to on zniknie.

Do tej pory myślał tylko, że rozstanie się z Rebekką, no i oczywiście z Isabellą, ale to było do przeżycia. Coś musiał poświęcić w imię wolności. Doskonale to rozumiał.

Ruszył dalej. Na światłach skręcił w lewo w stronę Roskilde.

Oczywiście, że musi coś poświęcić. Ale też i w zamian zdobędzie mnóstwo pieniędzy.

– Pokój sto jeden. Czy to na pierwszym piętrze? – spytał młodą blondynkę w recepcji.

Kiwnęła głową. Czuł na sobie jej spojrzenie, kiedy szedł po schodach. Oczywiście mogła go rozpoznać, ale na to już nie da się nic poradzić, myślał, wbiegając na górę.

Dziennikarka otworzyła mu od razu, jakby czekała na niego pod drzwiami.

– Widziałam pana przez okno – wyjaśniła, wyciągając rękę.

Carl Emil uściskał jej dłoń, jednocześnie uważnie jej się przyglądając. Jasnowłosa, wysoka. Zaraz jednak jego spojrzenie powędrowało dalej w poszukiwaniu ikony. Nietrudno było ją dostrzec. Stała oparta o biurko, owinięta w brudne prześcieradło.

Podszedł tam i zaczął ją rozwijać, a dziennikarka w tym czasie zamknęła za nim drzwi. Carl Emil czuł ściskanie w gardle i ciężko mu było oddychać.

– Właśnie dostałam wiadomość od pańskiego ojca – powiedziała kobieta i pomogła mu rozpakować witraż. – Ląduje w Kopenhadze jutro rano.

Carl Emil nie słuchał, tylko przytrzymał ikonę tak, by całkiem ją odsłonić. Pozwolił, by materiał opadł na podłogę, i cofnął się o kilka kroków.

Witraż był piękny, wręcz przepiękny, lecz gdy stał tak blisko, wywierał nieco zbyt intensywne wrażenie. Jego obecność była wręcz natrętna. Carl Emil odsunął krzesło i podszedł aż do okna. Rzeczywiście witraż przypominał ten, który ojciec miał na ścianie, tyle że teraz, gdy widziało się

go w oryginalnej wersji, patrzenie na niego było o wiele silniejszym przeżyciem.

Może dlatego że kolory są bardziej jaskrawe, pomyślał. Mistycyzm witraża przeniknął w niego tak głęboko, że poczuł się wręcz nieswojo. W pamięci odżyła stara legenda. Temu, kto się pomodli przed ikoną, odpuszczone zostaną grzechy. Prawie w to uwierzył, tak silne wydawało się jej działanie. Może któregoś dnia uzyska wybaczenie?

Westchnął ciężko. Dziennikarka stanęła obok niego. W milczeniu razem z nim podziwiała dzieło sztuki.

– Jakież on piękny! – szepnęła w końcu i usiadła na łóżku.

Pokiwał głową.

– Ciekawe, skąd porywacze o nim wiedzą – stwierdziła, patrząc na Carla Emila.

– Może z książek historycznych, nie wiem – odparł. Był teraz o wiele spokojniejszy. – Zaraz pojedę do siostry i powiem jej, że go mamy. Reszta wydarzeń rozegra się spokojnie i bez problemów, a mojej siostrzenicy nic się nie stanie.

Dziennikarka popatrzyła na niego ze zrozumieniem.

– Wydaje mi się, że mój ojciec wolałby, abyśmy jakoś zdołali wyciszyć tę historię, odcięli się od mediów i od całej tej uwagi, jaka się na nas skupiła przez to porwanie.

– Ja też mam takie wrażenie – przyznała kobieta i dodała, że Walther Sachs-Smith już dzwonił do Nymanda i powiedział mu, że życzy sobie, by przekazania ikony dokonał jego syn. – Prawdę mówiąc, znam negocjatorkę, która jest teraz z pańską siostrą. To ona kontaktuje się z porywaczami. Jeśli pan chce, mogę do niej zatelefonować.

Puls znów mu przyspieszył.

– Nie. Proszę tego nie robić – odparł czym prędzej. – Sam tam pojedę i wyjaśnię, jak to powinno się odbyć. Ale bardzo dziękuję za to, co pani już dla nas zrobiła. – Próbował się uśmiechnąć, chociaż wypadło to raczej blado.

– Skąd pani właściwie zna mojego ojca? Musicie być bliskimi znajomymi, skoro zdecydował się na angażowanie pani w tę sprawę.

– W każdym razie znamy się na tyle dobrze, że mi zaufała. – Dziennikarka już szła po kurtkę.

Dopiero teraz Carl Emil zauważył, że ma pokaleczone ręce i brudne spodnie, ale i tego nie skomentował. Nie spytał nawet, gdzie była ukryta ikona. Otworzył jej tylko drzwi.

– Jeszcze raz bardzo pani dziękuję – powtórzył i na pożegnanie uściśnął jej rękę.

Gdyby potraktować groźby poważnie, to do końca życia pozostałoby mu zaledwie siedem godzin, pomyślał Carl Emil i stwierdził, że właśnie traktuje je poważnie. Nawet na chwilę o nich nie zapominał i przeszkadzały mu w skupieniu. Wiedział jedynie, że musi jak najszybciej stąd uciec.

Kiedy zamknął drzwi za dziennikarką, położył się na łóżku. Starał się trzeźwo ocenić sytuację, ale tak naprawdę miał ochotę po prostu znieść ikonę do samochodu i odjechać. Zarazem doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może działać zbyt pochopnie. Wszystko powinno się odbyć we właściwej kolejności. Wyjął komórkę z kieszeni, potem podciągnął się wyżej na poduszki i zadzwonił do Rebekki.

Odebrała dopiero po czterech dzwonkach.

– Mam ikonę – oświadczył. – Możecie potwierdzić gotowość.

Wręcz usłyszał ulgę, jaką odczuła siostra.

– Gdzie ona jest? – spytała.

– W bezpiecznym miejscu. I wcale nie tak daleko od ciebie.

– Dzięki Bogu! – westchnęła Rebekka, więcej już o nic nie pytając. –

Dzięki Bogu!

Wiadomość przyszła po pięciu minutach. Siostra za pośrednictwem negocjatorki potwierdziła, że *Anioł śmierci* jest już w rękach rodziny i można wymienić go na dziewczynkę. Prosili teraz o instrukcje dotyczące miejsca przekazania okupu.

Niepokój trawił całe ciało Carla Emila, gdy starał się z całych sił zapanować nad chęcią natychmiastowej ucieczki. Znowu zawodziła go odwaga. Jak zwykle, gdy był już w połowie drogi do jakiegoś celu. Oczywiście mu się wydawało, że nie będzie w stanie niczego zrealizować do końca, jak w wypadku egzaminów, z których w ostatniej chwili rezygnował.

Ale nie tym razem. Gdyby wyprostował nogę, stopą dotknąłby ikony.

Uświadomił sobie, że musi skontaktować się z Miklosem. Trudno mu było zapanować nad zdenerwowaniem, które paraliżowało klatkę piersiową. Zdobył ikonę, tak jak obiecał. Teraz kolej na adwokata, by załatwić resztę.

Usiadł na łóżku. Sięgnął po komórkę i wysłał wiadomość: „Mam *Anioła śmierci*. Prindsen, pokój 101. Przyjeżdżaj”.

Był wściekły, kiedy zbliżał się do przydrożnego parkingu w okolicach Slagelse. Naprawdę wściekły. Dostawca nie chciał sam pozbyć się ciała i wciąż miał je w samochodzie. Oczywiście domagał się pieniędzy, ale w ustalonej wysokości.

Padał śnieg, co prawda topniał od razu w zetknięciu z ziemią, ale na autostradzie zrobiło się ślisko, nieco więc zwolnił.

Poprzedniego dnia wieczorem zadzwonił, by poinformować o zmianie planu. Wyobrażał sobie, że hiszpański dostawca pozbędzie się ciała po drodze, na przykład gdzieś w Niemczech. Był nawet gotów podnieść cenę, kiedy zrozumiał, że pomysł się nie podoba, ale Hiszpan po prostu wyłączył telefon.

Musiał próbować jeszcze raz. Nie mógł ryzykować, że zostanie ze zwłokami sam. Te, które spoczywały w piwnicy, to inna sprawa. Tej trzeba się zwyczajnie pozbyć.

Do umówionego spotkania zostało pół godziny. Jeszcze raz musi podjąć próbę przekonania tego człowieka. Zapłaci mu tyle, ile tamten zażąda. Musi się zgodzić. Przecież dostanie za to pieniądze.

Wcisnął w komórce powtórne wybieranie numeru, żeby przełożyć spotkanie jeszcze o godzinę. Chciał dać tamtemu czas na przejazd bocznymi drogami i znalezienie odpowiedniego miejsca na porzucenie zwłok.

– *No – usłyszał. – I want my money. You order, I deliver.*

Nie zdołał dłużej panować nad sobą. Ogarnęła go wściekłość i zaczął krzyczeć. Nie chciał, ale nie mógł się powstrzymać. Głośno i dobitnie oświadczył, że jeśli dostawca nie pozbędzie się ciała, to nie dostanie ani grosza.

Zaskoczył go gwałtowny temperament tamtego. Musiał wręcz odsunąć komórkę od ucha, gdy hiszpańskie przekleństwa zaczęły bombardować jego

blonę bębenkową. Chciał się odciąć, gdy nagle zapadła cisza. Początkowo telefon przez moment był jakby głuchy, ale potem dotarł do niego pisk opon i przeciągły metaliczny zgrzyt. Później rozległ się huk.

Odgłos samochodu uderzającego w barierę ochronną na autostradzie dosłownie go ogłuszył. Wystraszony upuścił telefon, ale usłyszał jeszcze przenikliwy krzyk tamtego.

Natychmiast zdjął nogę z pedału gazu i zjechał na bok, włączając światła awaryjne. Serce waliło mu w piersi, kiedy zamykał oczy i opierał głowę o zagłówek. Usiłował obliczyć, jak daleko dotarł dostawca. W końcu doszedł do wniosku, że musiał znajdować się na autostradzie w okolicach Nyborg, a może nawet zdążył przejechać przez most.

Głęboko nabierając powietrza, usiłował odzyskać kontrolę nad oddechem. W końcu postanowił jechać dalej, żeby sprawdzić, w którym miejscu doszło do wypadku. Przez most bał się przejeżdżać, bo mogły go zarejestrować kamery, ale coś musiał zrobić. Przecież w bagażniku dostawcy wciąż leżały zwłoki, a policja bez najmniejszego trudu wytropi jego komórkę.

– Niech to szlag! – zaklął.

Poszukał w radiu wiadomości dla kierowców i stał, wypatrując luki między przejeżdżającymi samochodami, aby włączyć się do ruchu. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od wielu dni całkiem zapomniał o *Aniele śmierci*. Ale teraz ikona znów pojawiła się w jego myślach. Fizycznie jej pożądał. Nie pozwoli, by dostawca cokolwiek mu popsuł. Trudno, musi jakoś sprawdzić, co się stało.

Dodał gazu i wjechał na prawy pas. Wciąż czując wściekłość, która napinała każdy mięsień w jego ciele, pognał w stronę mostu przez Wielki Bełt. Usłyszał wiadomość, zanim dotarł do Vemmelev: „Informujemy o poważnym wypadku pojedynczego samochodu na moście przez Wielki Bełt w kierunku wschodnim. Kierowców jadących na Zelandię prosimy o uwagę. Karetki już tam jadą. Właśnie dowiedzieliśmy się, że most będzie

zamknięty do czasu zakończenia akcji ratunkowej”.

Do diabła! Przyjedzie też policja, pomyślał. Włączył kierunkowskaz i skręcił z autostrady w zjazd na Vemmelev. Nie było sensu dalej jechać w stronę mostu.

Zatrzymał samochód i na chwilę wysiadł. Sprawa przybrała niewłaściwy obrót. Zwrócił twarz ku niebu, żeby padający śnieg nieco schłodził mu czoło. W końcu doszedł do wniosku, że policja wcale nie musi od razu zająć się sprawdzeniem zawartości bagażnika rozbitego auta. Może upłynąć trochę czasu, zanim odkryje, co się w nim znajduje. A to dawało mu odrobinę swobody.

Wsiadł z powrotem i w chwili, gdy miał włączyć silnik, pisnęła leżąca na podłodze komórka. Dźwięk ten wystraszył go tak, że upuścił kluczyki, i minęła chwila, zanim opanował się na tyle, by mógł podnieść telefon.

„Mam *Anioła śmierci*. Prindsen, pokój 101. Przyjeżdżaj”.

Długo siedział bez ruchu, zapatrzony przed siebie. Jeszcze tak niedawno ikona była wręcz nieosiągalna, a teraz już prawie miał ją w rękach. Uśmiechnął się i głęboko odetchnął.

Zanim zapiął pas, wyjął ze schowka płytę z kościelnym koncertem Michali Petri i Larsa Hannibala. Przez system Bose muzyka popłynęła do głośników. Zawrócił na autostradę i ruszył w stronę Roskilde. Rozluźniony, nieco przyspieszył. W myślach analizował, czy ma wszystko, co jest mu potrzebne. Miał. W bagażniku leżał utwardzacz do silikonu wraz z kanistrami, które zamierzał wywieźć na wysypisko i wrzucić do kontenera z chemikaliami.

W Roskilde ulice opustoszały jak zazwyczaj wieczorem. Miasto jakby zamykało się o wpół do szóstej razem ze sklepami. Wjechał na podwórze za hotelem, zaparkował pod murem i jeszcze chwilę posiedział, po czym wysiadł i obszedł samochód, aby otworzyć bagażnik.

Strzykawka leżała w zagłębieniu razem z kołem zapasowym owinięta w chusteczkę higieniczną. Teraz ostrożnie usunął bibułkę, przetarł długą

igłę, a potem odkręcił wieczko przezroczystej butelki z utwardzaczem i napełnił strzykawkę.



Na tyle dobrze znał hotel, by wiedzieć, że 101 to pokój w nowym skrzydle, nazywanym nordyckim. Wszedł do budynku bocznymi drzwiami, aby uniknąć spotkania z recepcjonistą, i pobiegł schodami na górę.

Najwyraźniej był oczekiwany, bo gdy tylko zapukał, drzwi od razu się otworzyły, a Carl Emil wciągnął go do środka, zamykając je za nim.

Miklos z niechęcią patrzył na swojego klienta. Włosy mu sterczały, a wymięta koszula wystawała ze spodni. Carl Emil był blady i najwyraźniej kompletnie wyprowadzony z równowagi. Adwokat jednak tego nie skomentował, tylko podszedł do dużego witraża, który stał oparty o biurko.

Wielki Boże, jakież on piękny, pomyślał, nie słuchając Carla Emila, gdy ten zaczął marudzić o siostrze i o tym, że odwołał umówione przekazanie okupu o dwudziestej pierwszej, a także o siostrzenicy, która jest u niego w mieszkaniu w Hellerup.

Miklosowi szumiało w uszach, gdy siadał na łóżku. Nie mógł oderwać oczu od ikony. Wszystko wskazywało na to, że wywierała na niego taki sam wpływ, jak na ludzi przybywających do Hagii Sophii, by ją zobaczyć.

– Poinformowałeś o wszystkim pośrednika? – spytał Carl Emil, niespokojnie krążąc po pokoju. – Samochód już czeka w Hamburgu?

– Tak.

Miklos Wedersø kiwnął głową. Ale to nie była do końca prawda. Nie zdążył jeszcze zadzwonić. Kiedy otrzymał wiadomość od Carla Emila, skoncentrował się przede wszystkim na dotarciu do Roskilde.

– A co z dziewczynką?

– Nic jej nie jest.

Zaskoczyło go, że Carl Emil odważył się na takie posunięcie. Prawie cały czas powtarzał, że na pewno nakłoni siostrę do pomocy, jeśli Rebekka nie zgodzi się na to dobrowolnie. Ale przecież Miklos nigdy nie nazwałby

Carla Emila Sachs-Smitha odważnym. Łatwowiernym i naiwnym, owszem, co również miało swoje zalety.

Tak było przynajmniej tamtego dnia, gdy Carl Emil beztrąsko wręczył mu klucz do domu rodziców i podał kod do alarmu, gdyż sądził, że adwokat chce iść po jakieś dokumenty ojca. Obaj byli przekonani, że matka Carla Emila pojechała razem z mężem na Fionię. Okazało się jednak, że się pomylili. Nagle stanęła w drzwiach do gabinetu ubrana w nocną koszulę i szlafrok. Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

Przyłapała go jak idiotę z ikoną w ręku. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to jedynie kopia. Był tak zaskoczony, że musiał działać. Myślał nawet o tym, czy nie zabrać jej do domu, do piwnicy, ale była za stara, nie pasowała do tamtych. Gdy zawlókł ją do sypialni, zauważył tabletki nasenne. Rozgniół je na proszek, który wsypał do szklanki z wodą stojącej na nocnym stoliku, i zmusił ją do wypicia.

Dalej poszło gładko. Już wcześniej zauważył w łazience insulinę. Jedno maleńkie ukłucie i było po wszystkim.

Udało mu się wtedy i teraz też musi się udać.

– Zniesiemy anioła do auta? – powtórzył Carl Emil przenikliwym głosem, wrywając go z zamyślenia. – Z kraju wyjedziemy twoim samochodem.

Miklos tylko skinął głową. Oczywiście, synek bogatego tatusia nie zamierzał uciekać własnym autem.

– Masz zamiar owinać witraż w to? – Wskazał na brudne płótno, które leżało na podłodze, wsunięte pod biurko.

– A masz jakąś inną propozycję?

– Uważam, że powinniśmy ściągnąć prześcieradło z łóżka, a tamto drugie możemy schować u ciebie w samochodzie przed odjazdem.

Patrzył za Carlem Emilem, który już wyszedł na korytarz i wcisnął guzik przywołujący windę. Głupio by było nie skorzystać z jego pomocy przy znoszeniu ikony, pomyślał, ale z drugiej strony młodego Sachs-Smitha ktoś

mógł bez najmniejszego trudu rozpoznać. Szczególnie teraz, kiedy jego siostrę pokazywano we wszystkich mediach.

Szybko zerwał z łóżka narzutę i odsunął kołdrę, żeby ściągnąć prześcieradło. Kiedy Carl Emil wrócił do pokoju i podszedł do *Anioła śmierci*, on już na niego czekał. Zarzucił mu prześcieradło na głowę i zacisnął je na szyi. Może zastrzyk w ogóle nie będzie potrzebny, pomyślał, obiema rękami mocno zaciągając płótno.

Carl Emil zaczął z nim walczyć, próbował go dosięgnąć. Miklos poczuł silny ból, gdy dostał kopniaka w łydkę, ale udawało mu się i tak zachować pewien dystans, ciągnąc jednocześnie Carla Emila w stronę łóżka, na które go rzucił.

Z gardła Carla Emila wydobywał się paskudny bulgot, a palce desperacko próbowały wcisnąć się między płótno a szyję. Ale Miklos nie odpuszczał.

Wreszcie się to stało. Wszelki opór minął. Ręce jeszcze kilka razy machnęły w powietrzu i opadły na łóżko. Nie podobały mu się jednak odgłosy wydobywające się z gardła ani drzenie, jakie opanowało całe ciało. Carl Emil leżał bezwładnie, ale nerwy jeszcze drgały. Nie wiedział, jak to rozumieć. Umarł już czy jeszcze żył? Wiedział, że nie może teraz ryzykować. Dalej więc przytrzymał prześcieradło.

Carl Emil już się nie ruszał, ale on wciąż nie puszczał. Wzrok utkwiał w ikonie. Wpatrywał się w intensywne kolory i w archanioła Gabriela przedstawionego z długą białą lilią. Witraż oddziaływał na niego w niesłychany sposób, zdawał się dosłownie wchodzić mu pod skórę. Srebro i te czyste odcienie błękitu, od zupełnie jasnego aż po granat...

Nie żał mu było Carla Emila. Inaczej nie mogło się stać. Wszystko ma swoją cenę, a on nie odejdzie stąd samotny.

Przez chwilę myślał o starej legendzie. O aniele śmierci, który przychodzi po ludzką duszę, gdy człowiek umiera.

Rebekka jeszcze bardziej pobladła. Wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć.

– Dlaczego tak nagle odwołują? – spytała, dramatycznie wymachując rękami. Już wcześniej zrzuciła buty na płaskim obcasie i chodziła boso. Zdenerwowana, zdawała się sunąć po lśniącym parkiecie, jakby w ogóle go nie dotykała. – Przecież wiedzą, że zdobyliśmy *Anioła śmierci*, więc dlaczego nie mogę odzyskać córki?

Louise przygryzła dolną wargę i lekko pokręciła głową.

– Nie wiem – odparła szczerze.

Przed chwilą rozmawiała przez telefon z byłym mężem Rebekki. Jeffrey kompletnie stracił panowanie nad sobą, koniecznie chciał wejść do willi i na bieżąco obserwować, co się dzieje. Rebekkę jeszcze bardziej to załamało. Thiesen jednak na to nie zezwolił i postanowił zamknąć dom na czas działania grupy negocjacyjnej. Ojca dziewczynki zaś miał próbować uspokoić jeden z ludzi Nymanda obietnicą informowania o każdej zmianie sytuacji.

Ale zdenerwowanie ogarnęło również Louise, chociaż z całych sił starała się je zwalczyć. Wciąż nie wypuszczała z ręki małej nokii. Wiadomość była krótka i doprawdy trudno się było domyślić, co się stało: „Godz. 21 odwołana”.

Odpisała, prosząc o wyznaczenie nowego terminu. Palle poinstruował ją, że gdy porywacze odwołują umowę z tak krótkim wyprzedzeniem, to może się z nimi umawiać dopiero na następny dzień rano. Muszą mieć czas na odpowiednie przygotowanie, aby mieć pewność, że dziewczynce nic się nie stanie.

– Przeciągaj czas i staraj się zachować zimną krew – powtórzył, kładąc Louise rękę na ramieniu.

Marybeth wezwano na przesłuchanie do komendy, ale w końcu wróciła i wystawiła na stolik przy kanapie zimne napoje oraz paterę z ciasteczkami. To również ona pozapalała duże lampy stojące z eleganckimi abażurami z jedwabiu, kiedy zapadł mrok. Salon zalało łagodne światło. Niania zaciągnęła ciężkie zasłony i włączyła jeszcze lampkę na komodzie.

– Musimy skontaktować się z pani bratem i uprzedzić go, że przekazanie okupu nie nastąpi dziś wieczorem – powiedziała Louise, obserwując Rebekkę Sachs-Smith.

Matce Isabelli opadły ramiona, zmienił się także wyraz jej oczu. Od czasu przybycia Louise do willi najwyraźniej znajdowała się w szoku. Siedziała apatycznie, zasadniczo wpatrzona w jeden punkt, nie pozwalając nawet się domyślać, co się w niej dzieje. Stan ten trwał jedynie z krótkimi przerwami, kiedy unosila się i krzyczała, oskarżając Nymanda i jego ludzi o to, że nie szukają jej córki. Teraz zaś wyraz jej oczu mógł świadczyć o tym, że całkiem przestała już wierzyć w to, że Isabella kiedykolwiek wróci do domu.

– Mówił, że przyjedzie, ale to było już godzinę temu. A teraz nie odbiera telefonu – powiedziała i westchnęła tak, jakby niczego innego nie spodziewała się po bracie. Usiadła w fotelu. – Może pani spróbuje do niego zadzwonić – poprosiła, patrząc na Louise.

Louise nieco zdziwiła ta prośba. W czym miałyby pomóc to, że ona zadzwoni? Poszła jednak do Thiesena i wzięła kartkę z zapisanymi numerami kontaktowymi przygotowanymi przez Pallego. Obok numerów, na które policja założyła podsłuch, widniały niewielkie, zrobione długopisem kropki. Numer Carla Emila Sachs-Smitha oznaczono gwiazdką.

Zadzwoniła, ale zaraz włączyła się sekretarka. Louise krótko poprosiła, żeby oddzwonił, i wzruszając ramionami, odłożyła komórkę na stolik.

– Ciągle nie odbiera – stwierdziła. – Czy pani wie, skąd do pani dzwonił?

Rebekka pokręciła głową.

– Powiedział tylko, że wszystko w porządku. I że *Anioł śmierci* jest blisko niego, więc będzie mógł szybko z nim przyjechać.

Louise poszła do Thiesena i Pallego.

– Macie coś z jego telefonu? – spytała.

Thiesen pokręcił głową.

– Ale zaraz poproszę, żeby jeszcze raz sprawdzili.

– Nie mamy kontaktu – westchnęła ciężko Louise – ani z porywaczami, ani z bratem.

Zmartwiona przegarnęła włosy dłonią i zobaczyła, że nie tylko jej się to nie podoba. Thiesen mocniej zacisnął usta, a u nasady nosa zarysowała mu się niewielka zmarszczka.

– Do diabła z tymi esemesami! – warknął. – Próbowalaś dzwonić?

Louise kiwnęła głową.

– Telefon jest wyłączony. W każdym razie nikt nie odbiera. Wydaje mi się, że go wyłączają, kiedy z niego nie korzystają. Pewnie wiedzą, że będziemy się starali go wytropić.

Zamyślony Thiesen potarł skronie.

– Czy Nymand został poinformowany o odwołaniu dzisiejszej akcji? – spytała Louise, patrząc na Pallego, który kontaktował się z komendantem.

– Wydaje mi się, że tak, ale jeszcze sprawdzę.

Zadzwoił ze swojej komórki, ale zamiast mówić, zaczął kręcić głową, słuchając rozmówcy.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie otrzymaliśmy żadnych nowych instrukcji, więc ciągle czekamy.

– A ze starym Sachs-Smithem nie ma kontaktu. Siedzi w samolocie do kraju – wtrącił się Thiesen zza stołu.

– W jaki sposób Carl Emil właściwie zdobył tę ikonę? Czy my to wiemy? – spytała Louise, patrząc na kolegów.

– Wiedzieć nie wiemy, ale stary zadzwonił do Nymanda znikąd i uparł się, że to jego syn ma wymienić ikonę na wnuczkę. Powiedział, że jeśli

komendant się zgodzi, to sam doprowadzi do jej odnalezienia i przygotowania jej na umówioną godzinę.

Louise oparła się o parapet. Przysłuchiwała się tej rozmowie z narastającym przekonaniem, że coś tu się nie zgadza. Za tym wszystkim musiał się kryć jakiś plan, tylko ona na razie go nie знаła i zaczęło ją to irytować. Przekonywało ją o tym coś w spojrzeniu Rebekki i w decyzji Walthera Sachs-Smitha o wykluczeniu policji z przekazywania okupu, chociaż ojciec musiał mieć świadomość ryzyka wiążącego się z takim rozwiązaniem.

– Nie wiem, w jaki sposób to zorganizował, ale pewnie załatwił całą sprawę telefonicznie – ciągnął Thiesen. – Teraz brakuje nam jeszcze tylko pojawienia się na horyzoncie tych przeklętych pismaków!

Louise pokiwała głową i nagle poczuła niemal pewność, że już wie, kto dostarczył ikonę.

– Wyjdę na chwilę – powiedziała, sięgając po kurtkę, i poprosiła, by koledzy podczas jej nieobecności pilnowali nokii.

– Odwołali – oświadczyła Louise, kiedy Camilla odebrała telefon.

– Co odwołali?

– Wymianę ikony na Isabellę Sachs-Smith.

– A co z dziewczynką? Macie jakiś znak, że żyje?

– Nie, teraz nic już o niej nie wiemy. Tamci milczą. Nie możemy też skontaktować się z Carlem Emilem – powiedziała, czekając, że przyjaciółka sama zacznie mówić, ale Camilla milczała. – Gdzie jest ikona i gdzie jest Carl Emil?

– Od jak dawna próbujecie się do niego dodzwonić? – spytała Camilla, zamiast odpowiedzieć.

Louise słyszała w telefonie, że wokół niej coś się dzieje. Trzasnęły jakieś drzwi, słychać było kroki.

– Jesteś gdzieś na zewnątrz?

Teraz trzasnęły jeszcze cięższe drzwi, prawdopodobnie wejściowe,

i Louise usłyszała, że Camilla biegnie.

– Dokąd idziesz?

– Dzwoniliście do niego do domu? – spytała przyjaciółka, a Louise jednocześnie usłyszała odgłos uruchamianego silnika.

– Camilla, ty wiesz, gdzie jest ikona! Dokąd jedziesz?

– Daj mi pół godziny. Oddzwonię!

– Nie, do jasnej cholery! Natychmiast powiesz mi, dokąd jedziesz. To ośmiolatka, a my nie mamy kontaktu z porywaczami! Musisz wreszcie zacząć być po naszej stronie! Rebekka nic nie chce zdradzić, a my najwyraźniej o czymś nie wiemy!

– O co ci chodzi?

– Ja po prostu wyczuwam, że coś się przed nami ukrywa. A jeżeli ty na ten temat coś wiesz, to wykażesz się kompletną nieodpowiedzialnością, zachowując to dla siebie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparła przyjaciółka.

– Ile osób wie, gdzie jest teraz ikona? – próbowała jeszcze Louise nieco spokojniejszym tonem.

– Nikt.

– Boję się, że dzieje się coś, o czym również nie masz pojęcia. Wydaje mi się, że w całą tę sprawę jest zamieszanych więcej osób i w końcu ktoś cię złapie za tyłek!

– Nie wiem, o czym ty mówisz – powtórzyła Camilla. – Nikt mnie nie złapie za żaden tyłek. Rozmawiałam z Waltherem. I owszem, masz rację, wiem, gdzie jest ikona, a domyślam się, że Carl Emil jest w tym samym miejscu, więc proszę, daj mi pół godziny.

– Powiedz mi natychmiast, dokąd jedziesz, bo inaczej będę musiała nakazać zatrzymanie twojego samochodu – oświadczyła Louise, chociaż dobrze wiedziała, że nie ma żadnych podstaw usprawiedliwiających taki krok. – Może wobec tego wiesz też, gdzie jest dziewczynka, żebym mogła przywieźć ją do matki w czasie, gdy ty dalej będziesz zgrywać bohaterkę?



– Przestań! – przerwała jej Camilla tonem, który świadczył o tym, że nareszcie coś do niej trafiło.

– Ona ma osiem lat – powtórzyła Louise spokojnie.

– Ikona jest w hotelu Prindsen, a dwie godziny temu Carl Emil też tam był.

Stres nie leżał w jego naturze. Nie lubił sytuacji nerwowych i wiedział, że nigdy nic dobrego z nich nie przychodzi. Ale teraz miał nerwy napięte jak postronki.

*Anioła śmierci* schował w bagażniku. Kanistry z silikonem przestawił na podłogę przed siedzeniem pasażera z przodu. Serce waliło mu w piersi, czuł, że się poci. Nie wiedział, ile ma czasu, zanim zaczną go szukać.

Należało ustalić jakieś priorytety. Oczywiście najważniejsze jest własne bezpieczeństwo. Musiał mieć jakiegoś asa w rękawie, gdyby doszło do ostatecznej rozgrywki.

Zanim wszedł do samochodu, jeszcze raz się upewnił, czy ma klucze, które wyjął z kieszeni marynarki Carla Emila. Krople potu odrywały mu się od karku i spływały na plecy. Kiedy cofał, przez chwilę widział we wstecznym lusterku własną twarz, ale szybko odwrócił wzrok.

To nie był on. On nigdy nie tracił kontroli w taki sposób. Nigdy tak się nie błyszczał od potu. Aż nieprzyjemnie zrobiło mu się na ten widok.

Muzyka wypełniła samochód, kiedy wyjeżdżał przez bramę z podwórza za hotelem. Zwolnił i na moment przymknął oczy. Dźwięki spowiły go jak ciepły okład i już wkrótce poczuł pierwszą iskierkę radości. Delikatnej radości, która torowała sobie drogę wśród całego tego zdenerwowania.

Zaczerpnął głęboko powietrza, a potem wolno wypuścił je z płuc, czując, jak ogarnia go zadowolenie.

Zrobił to. Teraz musi jeszcze tylko uporządkować wszystkie kwestie praktyczne, ale prawdę mówiąc, ani trochę to go nie martwiło. Ot, po prostu sprawy do załatwienia, pomyślał, wyjeżdżając z Roskilde.

Był tutaj już tyle razy wcześniej, że dobrze znał podziemny parking pod blokiem. Wiedział również, gdzie jest stałe miejsce Carla Emila.

Pozwolił, by czarny mercedes wolno stoczył się po rampie, a potem

minął szereg zaparkowanych aut.

Nie lubił wielopiętrowych budynków. Sam nigdy nie zdecydowałby się na mieszkanie w takim miejscu, tak blisko innych ludzi. Co innego biuro. Tam mu nie przeszkadzała obecność innych. Ale tam przecież nie był sobą. W domu potrzebował dużo miejsca. Miejsca dla przyjemności i radości. Bo przecież właśnie o to chodzi w życiu. O przyjemność i radość.

Wjechał windą na górę i otworzył kluczem drzwi. W mieszkaniu panowała kompletna cisza, dlatego na moment ogarnęły go wątpliwości. Czyżby się pomylił? Czyżby źle coś zrozumiał?

Po cichu zamknął za sobą drzwi i szybko zajrzał do salonu z panoramicznym widokiem na port, ale tu panował idealny porządek. Poszedł w kierunku kuchni, mijając sypialnię Carla Emila. Drzwi do niej były uchylone, szafa otwarta, a na łóżku kłębiły się ciuchy.

Zajrzał do pustej kuchni, w końcu otworzył drzwi do pokoju gościnnego.

Dziewczynka leżała na łóżku w ubraniu. Spała na kołdrze przy włączonym telewizorze, a obok niej leżała torebka chipsów. Przez chwilę przyglądał się filmom i grom ułożonym w stosik na komodzie, a także zupełnie nowym ubraniom, jeszcze z cenami. Czas, pomyślał, i podszedł do dziewczynki.

– Calle – wymamrotała, przecierając oczy, ale się nie budząc.

Wziął ją na ręce. Mała spała dalej, kiedy szedł przez mieszkanie, ale drgnęła, gdy zatrzasnął drzwi wejściowe i wszedł do windy.

Tego nie planował, nie przemyślał, co zrobi, jeśli mała zacznie krzyczeć. Teraz właściwie też się nad tym nie zastanawiał, po prostu szedł. Dopiero koło samochodu musiał ją postawić na ziemi. Podtrzymując ją, powoli wypuścił z objęć. Samochód już otworzył, ale wiedział, że trudno będzie ją posadzić z uwagi na kanistry, bo będzie musiała trzymać na nich nogi. Właśnie o tym pomyślał, kiedy rozległ się krzyk.

Mała wrzeszczała tak, że jej głos odbijał się echem od betonowych ścian parkingu i wwiercał mu się w ucho, aż musiał zasłonić je ręką.

Odruchowo otworzył drzwiczki. Obiema rękami chwycił małą i zmusił, żeby wsiadła. Nie przestawała krzyczeć. Miał wrażenie, że ten dźwięk zaraz rozsadzi mu bębenki.

Nie zdążył nawet się upewnić, czy są sami. Dziewczynka wiała się, usiłując mu się wyrwać, wrzaskiem doprowadzając go do szaleństwa. Zamierzał powiedzieć, że jest znajomym jej matki i wuja, którzy poprosili go, żeby ją przywiózł. To by na pewno poskutkowało. Przecież umiał właściwie dobierać słowa, zawsze brzmiały przekonująco. Taki miał zawód. Ale wszystko szło nie tak. Mała musi się zamknąć.

Zatrzasnął drzwiczki i zobaczył, że dziewczynka natychmiast znów próbuje je otworzyć. Oczywiście zdążył je zablokować, ale zanim okrążył czarnego mercedesa, wychyliła się na drugie siedzenie i wcisnęła klakson, jednocześnie uruchamiając alarm.

Pot znów pociekł mu ciurkiem po plecach. Natychmiast wsiadł do samochodu i oderwał dziecko od kierownicy. W kieszeni wciąż miał strzykawkę z utwardzaczem do silikonu, której nie wykorzystał w Prindsen.

Nie zauważył jej ruchu, kiedy ugryzła go w rękę. Wrzasnął z bólu. Wbiła mu zęby w skórę jak szydła i chociaż starał się ją odsunąć, nie puszczała. W końcu nie mógł tego dłużej znieść. Wściekłość wezbrała w nim, jakby ktoś zrobił mu z niej zastrzyk.

Z całej siły uderzył małą w twarz.

Dziewczynka leżała na przednim siedzeniu z zamkniętymi oczami. Wepchnął jej do ust irchę do szyb wyjętą ze schowka, a ręce i nogi związał pasami płótna oderwanymi od prześcieradła, które zabrał z hotelu, żeby owinąć w nie *Anioła śmierci*.

Wszystko odbyło się szybko, ale nie wiedział, ile czasu minęło. Musiał teraz pojechać do domu, żeby się przygotować i spokojnie zastanowić. Rozwahał, w jaki sposób najlepiej wykorzystać wnuczkę Sachs-Smitha. Nie miał wątpliwości co do tego, że mała może się przydać.

Już chciał pojechać po samochód Carla Emila i range roverem opuścić

kraj. Ale co się stanie z jego kobietami? I z ikoną, która dopełni ideału przygotowanej przez niego ekspozycji?

To, co się teraz działo, nie podobało mu się ani trochę. Zapanował chaos, a na dodatek jeszcze z ręki leciała mu krew.

Tym razem Camilli w ogóle nie obchodziło, gdzie parkuje. Gdy stanęła pod hotelem Prindsen, od razu się zorientowała, że policja i tak ją uprzedziła. Zostawiła więc samochód przy bramie, pobiegła przez podwórze i dalej po schodach do przeszklonych drzwi. Tam gwałtownie się zatrzymała, bo usłyszała, że ktoś ją woła.

Odwróciła się w progu i zobaczyła, że biegnie za nią Nymand.

– To na pierwszym piętrze – wyjaśniła, czekając na niego, żeby razem mogli wejść na górę.

– Moi ludzie starają się o dostęp do pokoju – powiedział, wskazując recepcję, wyraźnie zdenerwowany tym, że recepcjonistka nie chciała wydać klucza do pokoju, mimo że okazali policyjne identyfikatory.

– To ja wynajęłam ten pokój, więc mnie ten klucz wydadzą – oświadczyła Camilla i ruszyła do recepcji, ignorując zdumiony wzrok Nymanda.

Z kartą-kluczem w ręku zaczęła na niego przy schodach. Komendant złapał się poręczy i zaczął wciągać na górę swoje ciężkie ciało.

– Przywiozłam ikonę z posiadłości Sachs-Smithów. Walther mną pokierował – wyjaśniła, a Nymand poprzestał na kiwnięciu głową. Przypuszczalnie już się tego domyślił, stwierdziła w duchu, ciągle idąc w górę.

Kiedy długim korytarzem dotarli do pokoju, przyłożyła ucho do drzwi, ale w środku panowała cisza. Słyszała jedynie zdyszany oddech Nymanda za plecami.

Delikatnie zapukała. Żadnej reakcji.

Zapukała jeszcze raz, nieco mocniej, lecz wciąż nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Włożyła więc klucz w zamek i ustąpiła miejsca Nymandowi, który otworzył drzwi.

Carl Emil Sachs-Smith leżał na brzuchu w poprzek łóżka. Twarz miał zwróconą w stronę okna, ale Camilla z miejsca, w którym stała, wyraźnie widziała, że oczy ma nienaturalnie szeroko otwarte, jakby wpatrywał się w ciemność. Leżał z rękami rozrzuconymi na boki, jakby spadł z wysoka.

Nymand zapalił światło, ale nie ruszał się od drzwi. Camilla stanęła na palcach, zaglądając mu przez ramię. Ale i tak już wiedziała. Oczywiście, że to wiedziała. *Anioł śmierci* zniknął, a brudne prześcieradło, w które wcześniej był owinięty, ciągle leżało wciśnięte pod biurko.

Cofnęła się powoli, żeby przepuścić policjantów. Odeszła kawałek w głąb długiego korytarza, gdzie osunęła się na podłogę. Usiadła oparta plecami o ścianę i zadzwoniła do Louise.

– Carl Emil nie żyje – oznajmiła bez wstępów. – Leży w pokoju sto jeden w Prindsen, a ikona zniknęła. Nymand też tu jest.

– Cholera – szepnęła tylko Louise na drugim końcu i natychmiast się rozłączyła.

Camilla zorientowała się, że przyjaciółka jest na skraju wyczerpania. Nie miały okazji porozmawiać o całej tej sprawie z Jonasem. Markus po powrocie do domu opowiedział jej o bójce, ale nie dopytała go, o co tak naprawdę chodziło. Od porwania dziewczynki minęła już ponad doba i Camilla również czuła się wycieńczona, głównie psychicznie. Pomyślała o Frederiku. Właściwie robiła to nieustannie.

Wcześniej zadzwoniła do niego, żeby powiedzieć mu, że jego ojciec wraca do Danii. Zdziwiła się, że nie wydawał się zbyt zaskoczony, ale z drugiej strony przecież cały czas odnosiła wrażenie, że nie uwierzył w śmierć Walthera, a przynajmniej niezbyt się nią przejął. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że z pewnością miał na Kauai swoich ludzi, którzy donieśli mu, że przez ostatnich kilka miesięcy na tarasie domu przesiaduje starszy siwowłosa mężczyzna, popijając schłodzone wino.

Zatęskniła za Frederikiem. Za uściskiem jego mocnych opalonych ramion. A teraz, gdy Carl Emil leżał tam nieżywy, znów będzie musiała

do niego zadzwonić. Była mu to winna... A może po prostu chciała usłyszeć jego głos.

Wciąż skulona na pokrytej wykładziną podłodze hotelowego korytarza ponownie sięgnęła po komórkę.

– Cześć – powiedziała i od razu się rozpląkała. – Nie wiadomo, gdzie jest twoja siostrzenica, Carl Emil nie żyje, a ikona zniknęła.

Wszystko to dosłownie się z niej wylało, kiedy wreszcie znów mogła mówić.

– Gdzie jesteś? – spytał, a tęsknota za nim dosłownie eksplodowała.

Camilla odetchnęła głęboko, żeby odzyskać panowanie nad głosem.

– Przepraszam, że musiałam ci powiedzieć o tym w taki sposób.

– Ale gdzie ty jesteś? – powtórzył.

– W hotelu Prindsen. Właśnie znaleźliśmy twojego brata. Leży tu, na łóżku, w jednym z pokoi.

– Już jadę – oświadczył Frederik.

Camilla nie bardzo zrozumiała, co miał na myśli. W tej samej chwili podszedł do niej Nymand.

– Już jedziesz? – spytała, wstając.

– Właśnie wylądowałem na Kastrup. Kiedy dzwoniłaś po południu, byłem już w Londynie.

– Nic o tym nie mówiłeś... – zaczęła, ale urwała na widok miny Nymanda. – Zadzwonię za chwilę – obiecała i wyłączyła telefon. – Co znowu? – spytała szeptem, podchodząc do komendanta.

– Ten telefon, z którego kontaktowali się porywacze, leży tutaj, w tym pokoju – oznajmił Nymand z powagą. – Zrezygnowali z kontaktów i zniknęli razem z dziewczynką i ikoną. Musi nam pani dokładnie opowiedzieć, co tu się działo i z kim pani rozmawiała.



Louise siedziała na kanapie, obejmując Rebekkę. Matka Isabelli przestała się już tak trząść, ale ciągle płakała, po cichu, z zamkniętymi oczami. Siedziały tak od chwili, gdy Louise przekazała jej wiadomość o śmierci brata.

– Grożono mu – szepnęła nagle Rebekka. – I to kilka razy.

Louise nieco się wyprostowała, ale wciąż ją obejmowała, jakby najmniejszy ruch mógł uciszyć kobietę.

– Jak mam to rozumieć? – spytała.

– Grożono mu, że go zabiją.

Louise wreszcie przyciągnęła rękę do siebie i poprosiła, żeby Rebekka otworzyła oczy.

– Co to ma znaczyć?

– Niewiele o tym wiem – mruknęła Rebekka, nie patrząc na nią.

– No dobrze, ale proszę mi powiedzieć to, co pani wie. – Louise miała wielką ochotę nią potrząsnąć. – Pański brat właśnie został zamordowany, a córeczka wciąż nie została odnaleziona. Musi nam pani powiedzieć wszystko, co pani wie – powtórzyła z naciskiem.

Rebekka dalej siedziała nieruchomo, ale po chwili zaczęła wolno opowiadać o wieńcu pogrzebowym, który leżał pod drzwiami Carla Emila.

– On się bał – stwierdziła. – Wyczułam to tamtego dnia, kiedy przyszedł prosić mnie o pomoc.

– A w czym miała mu pani pomóc? – spytała Louise wściekła na siebie o to, że wcześniej jej nie przycisnęła, chociaż cały czas miała wrażenie, że Rebekka coś ukrywa przed policją.

– W odnalezieniu *Anioła śmierci*, tego prawdziwego. Wcześniej nie wiedzieliśmy, że w gabinecie wisiała kopia i że oryginał jest aż tyle wart. – Zakryła twarz dłońmi.

– To znaczy ile? – Louise wstrzymała oddech.

– Miliard dwieście milionów. Ale ja byłam przeciwna sprzedaży. Te groźby pojawiły się wkrótce po tym, jak otrzymali propozycję kupna.

– Naprawdę źle się stało, że nie miała pani do mnie dość zaufania, żeby opowiedzieć mi o tym wcześniej.

Louise walczyła z gniewem, który wciąż w niej narastał. Udało jej się przynajmniej nie powiedzieć, że dzięki temu może ocalałoby życie brata.

– Kilka dni później znów grożono mu śmiercią – ciągnęła Rebekka, wreszcie patrząc na Louise. – Pod drzwiami do mieszkania mojego brata ktoś ustawił nagrobek z wypisanym jego nazwiskiem i datą urodzenia, a obok datą śmierci. Kompletnie wyprowadziło go to z równowagi – dodała Rebekka po chwili.

Akurat to Louise świetnie rozumiała.

– Skoro ktoś przygotował taki nagrobek, to powinno nam się udać wytropić, gdzie został wykonany i kto go zamówił – stwierdziła, wstając.

– Nie. – Rebekka pokręciła głową. – To nie był prawdziwy nagrobek. Ktoś po prostu zrobił napis na zwykłym polnym kamieniu.

– Kiedy pani brat miał umrzeć? – spytała Louise, patrząc na nią.

– Jutro – odpowiedziała Rebekka. – A raczej już dzisiaj – poprawiła się, uświadamiając sobie, że zaczęła się nowa doba.

Louise pokręciła głową, ale przemilczała cisnący się na usta komentarz.

– Przecież porwano Isabellę – broniła się Rebekka, unikając spojrzenia Louise. – Chciałam, żebyście skoncentrowali się na mojej córce!

Louise bez słowa wyszła zbudzić Thiesena, który drzemał w ostatnim pokoju. Natychmiast wstał i wrócił razem z nią do Rebekki.

– Okazuje się, że Carlowi Emilowi Sachs-Smithowi w ciągu ostatniego tygodnia kilkakrotnie grożono śmiercią – oznajmiła Louise, gdy przysunęli sobie krzesła do niskiego stolika przy kanapie.

Rebekka jakby ich nie słuchała. Odchyliła głowę i zamknęła oczy.

– Wygląda na to, że *Anioł śmierci* miał zostać sprzedany. Być może to

właśnie te plany uruchomiły te groźby i doprowadziły do porwania.

Rebekka, nie otwierając oczu, przyznała, że przez cały czas była przekonana, iż to wszystko się wydarzyło, ponieważ Carl Emil zdradził tajemnicę *Anioła śmierci*.

– Czy on znalazł kupca? – spytał Thiesen takim tonem, że Rebekka natychmiast otworzyła oczy.

– Tak – odparła. – Sprzedaż miała się odbyć za pośrednictwem naszego adwokata i osoby, z którą kontaktował się w Nowym Jorku.

– Czyli nielegalnie – stwierdził Palle, który do nich dołączył. – Zakładam, że właśnie dlatego żadne z was nie chciało nic na ten temat zdradzić.

– Ja się nie zgadzałam na sprzedaż.

Louise przez chwilę zastanawiała się, czy wtajemniczyć ją w katastrofalny rozwój wydarzeń w kwestii porwania. Rebekka chyba jeszcze nie do końca zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Postanowiła niczego przed nią nie ukrywać.

– Ludzie Nymanda znaleźli telefon komórkowy porywaczy w tym pokoju w hotelu, w którym zginął pani brat – powiedziała, ze współczuciem patrząc na matkę dziewczynki. – Nie mamy już żadnego kontaktu z pani córką.

Przez chwilę wszyscy czworo siedzieli w milczeniu, ale w końcu w Rebecce coś pękło i zaczęła gwałtownie kręcić głową i powtarzać: „Nie, nie, nie”. Jej przeraźliwy krzyk rozdzierał ciszę. Mężczyźni odwrócili oczy, ale Thiesen zaraz wstał, żeby otworzyć drzwi, bo ktoś właśnie zadzwonił. Wprawdzie już dawno minęła północ, ale Pallemu udało się skontaktować z psychologiem ze Szpitala Psychiatrycznego Świętego Jana, który akurat miał nocny dyżur. To Thiesen zaproponował, by Rebekce zapewnić natychmiast pomoc.

Louise, upewniwszy się, że Marybeth będzie spała w salonie razem z Rebekką, żeby zrozpaczona matka nie czuła się tak bardzo osamotniona,

poszła po kurtkę i zaczekała, aż Nymand i jeden z jego funkcjonariuszy po nią przyjadą. Kiedy nadeszła informacja o śmierci brata Rebekki, ledwie panowała nad zmęczeniem. Mogłaby spać na stojąco. Teraz całe zmęczenie zniknęło jak zdmuchnięte.

– Masz siły, żeby z nimi jechać? – spytał Palle, który wyszedł do holu z otrzymanymi od Rebekki zapasowymi kluczami do mieszkania brata.

– Jasne – zapewniła szybko.

Było dopiero trochę po drugiej. Thiesen proponował, żeby pojechali do domów trochę się przespać, ale Louise nie zamierzała odpoczywać, dopóki nie ustalą, gdzie jest dziewczynka.

– Chętnie pojedę.

Negocjatorzy nie byli już potrzebni. Nie mieli z kim i czym negocjować. Frustracja i poczucie niepowodzenia już ją dopadły, dlatego od razu zgodziła się pojechać do Hellerup, bo zdaniem Nymanda mogła się tam przydać.

– On mieszka na dziewiątym piętrze – wyjaśniła Louise, kiedy szli przez ciemną klatkę schodową. – A czy komuś udało się skontaktować z tym adwokatem?

– Nie. – Nymand pokręcił głową, wyraźnie zmęczony.

Poruszał się ciężko, a Louise uświadomiła sobie, że to już jego druga noc bez snu. Pracował od chwili, gdy Rebekka zgłosiła porwanie.

– Nie zastaliśmy go w domu pod podanym adresem, ale moi ludzie spróbują się z nim skontaktować ponownie jutro rano. Musi nam wyjawić, jaki mieli plan i kto jeszcze był w to zamieszany.

– Chyba na przedmiot w takiej cenie nie może być aż tak wielu chętnych – zauważyła Louise, gdy winda zatrzymała się z szarpnięciem i drzwi się rozsunęły.

– Ale jest ich chyba więcej, niż można sobie wyobrazić – wtrącił policjant, który ich tu przywiózł. Podał im cienkie gumowe rękawiczki. –

Podobno w Anglii ośmiu, a nawet dziesięciu najsłynniejszych handlarzy antyków współpracuje ze sobą, gdy jakiś klient okaże zainteresowanie

prawdziwym rarytasem. Potem dzielą się zyskiem. Chyba więc klientów nie brakuje – podsumował.

Louise włożyła rękawiczki i poszła otworzyć drzwi.

W mieszkaniu było ciemno. Przez chwilę nasłuchiwali, w końcu pchnęli drzwi i weszli do przedpokoju, żeby zapalić światło. Dwa rządki halogenów na suficie oświetliły wieszak z kurtkami i sportową torbę stojącą tuż przy drzwiach.

Nymand zajrzał do salonu, a Louise z towarzyszącym im policjantem ruszyła dalej korytarzem. Zapaliła światło w sypialni, popatrzyła na bałagan na łóżku, na którym ubrania leżały tak, jakby ktoś je celowo wyciągnął z szafy. Funkcjonariusz przeszedł dalej i zapalił światło w kuchni. W ciszy przeszukiwali mieszkanie, aż w końcu policjant ich przywołał.

– Przyjdźcie tutaj!

Wcześniej otworzył drzwi do pokoju mieszczącego się naprzeciwko sypialni Carla Emila. Łóżko było niezasłane, a na podłodze leżała płyta z musicalem i dziewczęce ubranka. Pod ścianą stała nieduża czerwona torba na ramię. Louise przykucnęła, żeby do niej zajrzeć.

– Trzeba dokładnie przeszukać całe mieszkanie. Musi się znaleźć coś, co nam powie, jaki był powód tych gróźb – mówił Nymand na korytarzu, ale urwał, kiedy wszedł do pokoju. – Co to jest? – spytał, rozglądając się.

– Ślady po dziecku – wyjaśnił policjant.

– To Carl Emil ją porwał – oświadczyła Louise, delikatnie wyjmując z torby baletki Isabelli. Ustawiła je na podłodze i wygładziła sukienkę dziewczynki. – To on ją przetrzymywał. – Wstrząśnięta popatrzyła na kolegów. – Tylko że on nie żyje. Więc gdzie ona może być?

Wyjazd okazał się trudniejszy, niż przypuszczał. Kiedy wrócił do domu po wizycie w mieszkaniu Carla Emila, wziął kąpiel i przebrał się w czyste ubranie. Włożył świeżo wyprasowaną koszulę i spodnie, a na dłoń w miejscu, gdzie mała go ugryzła, nakleił czysty opatrunek.

Nie powinna była tego robić.

Spakował najważniejsze rzeczy i szedł do piwnicy, żeby się pożegnać.

Nie było to łatwe, ale inaczej być nie mogło. Te cztery kobiety stanowiły zamknięty rozdział. Owszem, kosztowny, lecz to nie miało teraz znaczenia. Następnym razem porwie się na coś bardziej egzotycznego.

Rzeczy wyjątkowe kosztują, a przecież te idealne kształty kobiecych ciał na zawsze wryją mu się w pamięć i będzie je wspominał z ogromnym zadowoleniem. Gdyby tylko mógł jak każdy inny artysta pokazać innym ludziom to piękno, które stworzył! Ale takiej możliwości nie miał. O tym właśnie myślał, siedząc w samochodzie wiozącym go przez Zelandię. A przecież tyle innych wystaw pokazujących martwe ciała odnosiło sukcesy na świecie, przy czym żadna z nich nie była tak perfekcyjna jak jego kolekcja.

Chociaż to, że jego wystawa istniała tylko dla niego, podnosiło jej wartość. Właśnie w taki sposób zawsze myślał, choć oczywiście trochę bolało, że nigdy nie zdobędzie sławy.

Na początku miał nawet taki pomysł, żeby spalić cały dom, żeby nic po nim nie pozostało. Nie byłoby to wcale takie trudne, zważywszy na ilość łatwopalnych substancji w piwnicy. Nie potrafił jednak tego zrobić. Nie potrafił zniszczyć tego wszystkiego, co miało dla niego tak wielkie znaczenie, dawało mu radość i wzbudzało w nim miłość. Dlatego postanowił zostawić te kobiety, bo jedynie w ten sposób świat mimo wszystko ujrzy jego wielkie dzieło.

Próżność? Być może. Ale doszedł do wniosku, że nic nie straci, pozostawiając ciała nietknięte. Sam pragnął iść naprzód, również duchowo. I jak zawsze najmądrzej było ruszyć, nie oglądając się za siebie.

Zrozumiał również, że nie ma innego wyjścia, niż sprzedać *Anioła śmierci*. Za pośrednictwem człowieka w Nowym Jorku umówił się z kupcem na spotkanie w niewielkim miasteczku pod Hamburgiem. Nie miał odwagi wypuszczać się w dłuższą podróż z ikoną w samochodzie. Wiedział przecież, że policja będzie go ścigać.

Właściwie prawie wszystko zgadzało się z planem.

To nie on prosił o taki rozwój wypadków. Miał nadzieję, że będzie mógł zatrzymać ikonę w swojej piwnicy. Początkowo niemożność pozostania w domu uznał nawet za klęskę, teraz jednak postrzegał to jako nowy początek. Z pieniędzmi za anioła będzie mógł kupić sobie wyspę, a wtedy wszelkie możliwości staną przed nim otworem.

Cieszył się prawie jak dziecko, był gotów na nowy rozdział w życiu. Właściwie nic nie mogło ułożyć się lepiej.

Kupi sobie teraz prywatny raj, gdzie wszystko będzie możliwe i niczego nie będzie trzeba ukrywać.

Przypomniał sobie o dziewczynce. Nie było z nią łatwo. Gdyby grzecznie się zachowywała, nie musiałby jej wiązać. Wystarczyłoby po prostu zasunąć rygiel. No ale zrobił już to, co zrobił.

Tak zresztą było najlepiej. W tym miejscu nikt nie będzie jej szukał. A znajdą ją wyłącznie wtedy, gdy on będzie mógł coś na tym zyskać.

Znaleźliśmy ją – oznajmił Rønholt, kiedy w czwartek przed południem spotkał Louise w kuchence Wydziału Zabójstw.

– Isabelle? – spytała zdziwiona, odstawiając dzbanek z kawą.

– Nie – odparł przeproszającym tonem, jakby na chwilę zapomniał, że to właśnie tej sprawie Louise poświęca cały swój czas. – Naję Holten.

– Nie żyje?

Louise przystawiła sobie krzesło.

– Prawie – odparł Rønholt. – Leży w Szpitalu Centralnym. Jest w śpiączce po bardzo poważnym wypadku na moście przez Wielki Bełt, do którego doszło wczoraj.

– To znaczy, że jednak nie zaginęła?! – zawołała Louise zdumiona i pomyślała o Grete Milling.

Nie rozmawiała jeszcze z Melvinem, nie wiedziała nawet, czy Rønholtowi udało się poprzedniego dnia nawiązać kontakt z matką Jeanette. Kiedy późną nocą wróciła do domu, zajrzała do Jonasa. Spał z opatrunkiem nad okiem. Nie budziła go jednak i nie wiedziała nawet, czy sąsiad próbował coś z niego wyciągnąć. Dopiero rano spytała o bójkę. Początkowo nie chciał nic mówić, ale w końcu to z siebie wyrzucił. Powiedział, że w klasie jest grupka chłopców, która się z niego naśmiewa, i przyznał też, że to on pierwszy uderzył. Nie zdołała jednak wycisnąć z niego, o co tamtym chodzi ani co dokładnie mówią.

– Obawiam się, że mamy do czynienia z bardzo poważną sprawą – ciągnął szef Wydziału Osób Zaginionych. – Mało brakowało, a w ogóle nie zostałyby znaleziona.

– Tak daleko ją wyrzuciło z samochodu?

– Nie. Była schowana w bagażniku. Ratownicy znaleźli ją dopiero, gdy przyjechała pomoc drogowa po rozbite auto.



– W bagażniku?

– Zdaniem lekarzy to była nieudana próba zabójstwa. Doszło do poważnego zatrucia, ale sprawca musiał jej podać za małą dawkę trucizny. Wydaje mi się, że żyje jeszcze tylko przez pomyłkę. Leżała owinięta w gruby dywan i już od tego mogła się udusić. Wszystko więc wskazuje na to, iż sprawca sądził, że jest już martwa.

– Dojdzie do siebie?

– Trudno powiedzieć. Kierowca zginął na miejscu. Samochód ma rejestrację hiszpańską, a on miał przy sobie jedynie prawo jazdy, no i plik euro. Żadnych innych dokumentów.

– A to prawo jazdy?

Pomyślała o Jeanette i mieszkaniu w Esbjerg. Czy ona również trafiła do bagażnika samochodu?

– Oczywiście fałszywe – powiedział Rønholt. – Natomiast ratownicy znaleźli pod siedzeniem pasażera komórkę.

– I?

– Na liście połączeń był duński numer. Kontaktowano się z nim akurat w chwili, gdy doszło do tego wypadku na moście.

– Sprawdziliście go?

– Numer należy do Miklosa Wedersøgo zamieszkałego w Sankt Jørgensbjerg w Roskilde.

– Do tego adwokata?! – zdumiała się Louise. – Rozmawialiście z nim?

– Nie zastaliśmy go w domu. Samochodu też nie było – odparł Rønholt.

– Chciałem spytać, czy wczoraj mieliście z nim jakiś kontakt.

– Nie – odparła Louise. – Kiedy ludzie Nymanda pojechali do niego, żeby mu powiedzieć o zabójstwie w Prindsen, też go nie zastali.

Musimy sprawdzić tego adwokata na wszystkie możliwe strony – oświadczył Willumsen, gdy Wydział Zabójstw został poproszony o wsparcie policji w Roskilde w tej sprawie. – A Rebekka Sachs-Smith ma, do jasnej cholery, wyśpiewać wszystko, co wie, i to natychmiast!

Louise kiwnęła głową i popatrzyła na kolegów. Michael Stig siedział niespokojnie, stukając długopisem o kolano. Toft już kilka razy kładł mu rękę na ramieniu, dając sygnał, żeby przestał, ale po dwóch sekundach znów zaczynało się to samo.

Rebekka Sachs-Smith już w zasadzie zaczęła mówić. Opowiedziała, jak to brat i adwokat planowali sprzedaż *Anioła śmierci*, nie informując o niczym ani jej, ani przebywającego w Stanach Zjednoczonych Frederika.

Zapanowała atmosfera napięcia i Willumsen krzyczał na korytarzu, wzywając ich do siebie. Działo się tak tylko wówczas, gdy następował przełom w jakiejś sprawie albo gdy zamierzał ich serdecznie obsztorcować. Teraz na czole perlił mu się pot, a twarz miał bardziej czerwona niż zwykle.

– Adwokat Wedersøe był ostatnią osobą, z jaką miał kontakt zmarły – zaczął, a Louise na moment się pogubiła. Czyżby Willumsen mówił o tym hiszpańskim kierowcy?

– Właśnie dostaliśmy billingi z komórki Carla Emila Sachs-Smitha. Porozumiewali się esemesami w czasie, gdy Carl Emil przebywał w Prindsen.

Louise poczuła, że powoli to wszystko przestaje jej się mieścić w głowie. Czym właściwie zajmował się ten adwokat?

– A jeszcze ciekawsze jest to, że Nymand właśnie skończył przeglądać nagrania z hotelowego monitoringu. Możecie zgadywać, kto opuścił skrzydło nordyckie o dwudziestej dziewiętnaście. – Rozejrzał się po zebranych. Pot ściekał mu po skroniach coraz większymi strumieniami.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli tylko na niego i na ten ciekący pot. Louise w ogóle go nie słuchała. Willumsen sam odpowiedział na swoje pytanie:

– To był Miklos Wedersøe. Kamera uchwyciła go, kiedy wysiadał z windy z jakimś dużym owiniętym w płótno przedmiotem.

– Z ikoną! – orzekł Michael Stig triumfalnie, na moment przestając bębnić długopisem.

Willumsen skinął głową i otarł czoło.

– Tego możemy się tylko domyślać – powiedział, wstając.

Louise zaproponowała, że otworzy okno, ale szef tylko machnął ręką.

– Policja w Roskilde zajmuje się miejscem zdarzenia i przesłuchaniami świadków. Oczywiście mamy adwokata nagranych kamerą monitoringu, ale chcemy mieć również dowody techniczne na to, że przebywał w tym pokoju. Kto się zajmie przeszukaniem willi Wedersøego?

Willumsen przeniósł spojrzenie z Louise i Larsa Jørgensena na Michaela Stiga.

– Ja! – poderwał się Michael Stig, rzucając wreszcie długopis, ale szef natychmiast go zgasił.

– Nie. – Willumsen wskazał na Larsa. – Wy się tym zajmiecie. Oczywiście jeśli masz zamiar dziś pracować. A może wychodzisz wcześniej?

Lars Jørgensen westchnął.

– Pracuję – odparł.

Louise ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się szefowi. Willumsen wciąż nie mógł zaakceptować, że Lars Jørgensen otrzymał zgodę na pracę w niepełnym wymiarze godzin. Początkowo komisarz zachowywał się tak nieprzyjemnie, że partner Louise wylądował na zwolnieniu. W wydziale jednak brakowało rąk do pracy, więc Willumsen musiał w końcu przełknąć gorzką pigułkę i przyjąć Larsa. Sytuacja powoli zaczynała się normować.

– Ty pójdziesz na sekcję – polecił Willumsen Michaelowi Stigowi.

Pół godziny później Louise i Lars Jørgensen jechali wąskimi uliczkami w Sankt Jørgensbjerg. Partner Louise prowadził, ona zaś wypatrywała numerów na niskich szachulcowych budynkach.

Naja Holten wciąż była w śpiączce. Rønholt kontaktował się ze szpitalem, ale lekarze wyraźnie mu powiedzieli, że jej stan jest bardzo poważny. Ordynator oddziału intensywnej terapii wręcz za cud uważał, że jeszcze żyje. Czekano na wyniki badań krwi. Nie potrafiono jeszcze stwierdzić, czy trucizna uszkodziła mózg, Rønholt nie wiedział więc, czy da się ją w ogóle przesłuchać, kiedy się ocknie. Jeżeli w ogóle do tego dojdzie, pomyślała Louise.

– Dwa domy dalej – powiedziała, wskazując na białą willę z ogrodem, nieco cofniętą od ulicy.

Wcześniej byli już w kancelarii Wedersøego w mieście jedynie po to, by usłyszeć, że nikt z pracowników nie został poinformowany o jego nieobecności. Sekretarka nie mogła pojąć, dlaczego szef się nie pojawił. Przecież zawsze stawiał się na umówione spotkania.

– Wjedź raczej na podjazd – poprosiła Louise, myśląc o tym, że nie powinni tarasować drogi, zatrzymując się przy krawężniku.

Nigdzie nie było widać dużego mercedesa, którego zauważyła u Rebekki Sachs-Smith dzień wcześniej.

Zrobiło się tak zimno, że kiedy wysiedli z samochodu, z ust buchnęła im lekka para. Louise podeszła do pomalowanych na biało wejściowych drzwi i zadzwoniła. Po chwili jeszcze raz nacisnęła dzwonek, zastukała też wielką mosiężną kołatką z lwią głową, umieszczoną pod niedużym okienkiem. Lars Jørgensen dał krok ponad niskim żywopłotem rosnącym wzdłuż alejki i podszedł do okna, żeby zajrzeć do środka.

– Czy ten Hiszpan miał w komórce jakieś inne duńskie numery? – spytał,

przechodząc pod następne okno.

– Nie, tylko telefon Wedersøego. Wszystkie inne były hiszpańskie. Wydział Osób Zaginionych już pracuje nad zidentyfikowaniem kierowcy z pomocą Interpolu. Zdjęcie i opis użębienia przesłali policji hiszpańskiej. Samochód został wynajęty w Maladze.

– Co ich mogło łączyć?

Louise wzruszyła ramionami i jeszcze raz zadzwoniła do drzwi.

– Nikogo nie ma – oznajmił Lars, zajrzawszy do ostatnich okien wychodzących na ulicę. – Flemming Larsen badał dziś rano Naję Holten. Jego zdaniem mogła całą drogę z Costa del Sol spędzić w bagażniku. Twierdzi, że przeżyła tę podróż tylko dlatego, że była głęboko nieprzytomna. Z całą pewnością brakowałoby jej tlenu, gdyby normalnie oddychała – powiedział, dając znak, by Louise do niego dołączyła.

Razem przeszli na drugą stronę i zajrzeli do kuchni.

– Tu też nikogo nie ma – skostatował Lars.

Schował ręce do kieszeni. Lutowy mróz szczypał w policzki. Louise zdążyła już porządnie zmarznąć.

Była jedenasta, a adwokat od wczoraj nie dawał znaku życia. Louise zadzwoniła do Rebekki Sachs-Smith dowiedzieć się, czy przypadkiem ona nie miała jakiegoś kontaktu z Wedersøem. Nie wspomniała nic o Nai Holten, spytała tylko, czy Rebekka miała jakieś wieści od adwokata.

– Jej już tam nie ma – oświadczyła Rebekka, najwyraźniej kompletnie obojętna na losy prawnika rodziny. – Mojej córki nie ma już tam, gdzie była przetrzymywana. – Jej zmęczony głos raz po raz się załamywał.

– Dlaczego pani tak sądzi? – spytała Louise, patrząc na Larsa, który podszedł do drzwi prowadzących do piwnicy, ale te również okazały się zamknięte.

– Mona tak mówi. Zadzwoniła do Nymanda przekazać mu, że moja córka była bliżej, niż to sobie wyobrażaliśmy, a teraz już jej nie ma.

Rebekka mówiła szybko, natarczywie. W tle Louise słyszała kręcącą się

Marybeth.

– A przecież Mona nie mogła wiedzieć, że to mój brat ją porwał.

Kiedy powiedzieli Rebekce, że jej córeczka przebywała u Carla Emila od czasu zniknięcia, początkowo zareagowała gniewem i krzykiem, że policja nie przestaje obrzucać rodziny brudnymi oskarżeniami. A gdy wylała z siebie wściekłość, całkiem zamilkła. Zamknęła się w sobie i nie chciała już niczego więcej słuchać.

– Kto to jest Mona? – spytała w końcu Louise i dowiedziała się, że to pacjentka Szpitala Psychiatrycznego Świętego Jana, która wielokrotnie wcześniej pomagała policji w odnajdywaniu zaginionych osób.

– Pisano też o niej w „Roskilde Dagblad”.

Louise z trudem potrafiła sobie wyobrazić, by Nymand prosił o tego rodzaju pomoc, ale prasa uwielbiała rozpisywać się na takie tematy.

– To znaczy jasnowidzka – stwierdziła Louise, która osobiście za grosz nie wierzyła w tego rodzaju zdolności. Ale sami widzieli, że dziewczynka była blisko. Oczywiście Louise nie umiała wyjaśnić, skąd ta Mona Jepsen mogła się o tym dowiedzieć, bo przecież nie wspomnieli o tym mediom.

– Ona mówi, że Isabella się boi. Tam, gdzie teraz przebywa, jest ciemno i zimno. To miejsce widać, kiedy się stoi pod wielkim łukiem.

Taką rzecz mogła wymyślić wróżka, która chce skierować na siebie uwagę, a jednocześnie karmi się lękiem matki.

– Mogłaby pani przynajmniej z nią porozmawiać – ciągnęła Rebekka. – Mój ojciec właśnie przyjechał. Wylądował dwie godziny temu i chce, abyście włączyli w sprawę poszukiwań mojej córki więcej ludzi.

– Nikt więcej nie może już w tym uczestniczyć – przerwała jej Louise, czując, że brak snu utrudnia jej panowanie nad irytacją. – Pracujemy na okrągło, żeby odnaleźć pani córkę. Musi nam pani zaufać, że znamy się na naszej pracy.

– Jak mogę wam ufać?! – wybuchnęła Rebekka. – Gdybyście się znali na tym, co robicie, mój brat by żył, a Isabella byłaby już w domu.

Louise wyłączyła telefon, zanim na poważnie się rozgniewała, bo bała się, że powie za dużo. Przecież to nie oni ukrywali tak istotne informacje.

Opowiedziała Larsowi Jørgensenowi o jasnowidzce, która zadzwoniła do Nymanda. Jasnowidze zawsze wszystko wiedzieli. Wystarczyło im zamknąć oczy, a wyczuwali, gdzie i w jaki sposób doszło do najbardziej wyrafinowanych zbrodni. Louise jednak za grosz im nie wierzyła, chociaż wiedziała, że Suhr przyjmuje również tego typu zgłoszenia i każe je sprawdzać, gdy trafiały na jego biurko. „Co mamy do stracenia?” – powtarzał zwykle. I oczywiście wściekał się potem na zmarnowany czas.

– Musimy raczej wezwać ślusarza – stwierdził partner Louise, sięgając do kieszeni po telefon.

Kiwnęła głową i podeszła do zejścia do piwnicy. Wspięła się na niski pomalowany na biało murek, żeby zajrzeć przez okno umieszczone nieco wyżej od innych. To była niewielka toaleta. Czysta i porządna, jakby nieużywana. Nad umywalką wisiało lustro w złoczonych ramach.

Zeskoczyła z murku i słuchała, jak Lars rozmawia z dyżurnym komendy w Roskilde i prosi o znalezienie ślusarza, który mógłby przyjechać od razu. Później poprosił o połączenie z Nymandem i krótko poinformował o tym, że będą wchodzić do domu adwokata.

Zawrócili do samochodu, żeby tam czekać na pomoc. Mróz kąsał już w czubki palców, Lars uruchomił więc silnik i włączył ogrzewanie. Podziałało ono na Louise jak tabletki nasenna. Zamknęła oczy.

Główne drzwi czy te do piwnicy? – spytał jakiś głos, a Louise gwałtownie się przebudziła.

Na podjeździe stał młody chłopak, domyśliła się, że to pewnie uczeń, którego przysłała firma ślusarska.

– Wszystko jedno, po prostu musimy się dostać do środka – odparł Lars Jørgensen, już idąc do drzwi wejściowych, a Louise w tym czasie wysiadła z samochodu.

– No, ten zamek nie należy do najłatwiejszych – stwierdził chłopak, który miał długie włosy na czubku głowy, a króciutkie po bokach, w lewym uchu zaś prostokątny błyszczący kolczyk. Kompletnie nie pasowało to do kombinezonu i czarnego T-shirtu. – No, ale idzie – dodał po chwili. – Jak człowiek zna się na rzeczy.

Uśmiechnął się do nich, a Louise pomyślała, że ludzie chyba właśnie takich umiejętności spodziewają się od ślusarza.

Na podłodze w holu leżał marmur ułożony w biało-czarną szachownicę. Louise, wchodząc do środka, zauważyła, że to klasycznie piękne wnętrze. Ściany pokrywała dość wysoko boazeria, a na piętro prowadziły kręcone schody z czarną poręczą, wyłożone czarnym chodnikiem. Wszystko inne było białe, tylko z sufitu nad schodami zwisała duża miedziana lampa w kształcie szyszki projektu Poula Henningsena. Starła się zwracać uwagę na wszystkie szczegóły. Przypuszczalnie nie miały jej się do niczego przydać, ale pomagały w stworzeniu obrazu mieszkańca tego domu.

– Ciekawe, czy to kawaler – rzuciła, kiedy dołączył do niej Lars po przekazaniu najświeższych informacji Nymandowi.

W pamięci majaczyło jej, że Rebekka wspominała, że ich adwokat to prawdziwy pracoholik, który nie ma czasu na życie prywatne, za to bez problemu wydaje pieniądze na siebie. Teraz to rozumiała. Przy kominku



stał fotel „Jajko” Arnego Jakobsena, a telewizor był oczywiście marki Bang & Olufsen.

Na dole nic ciekawego nie znaleźli, chociaż obeszlili wszystkie pomieszczenia. Dom był urządzony wręcz zbyt idealnie. Nawet dla miłośnika ekskluzywnego duńskiego designu była w tym pewna przesada, doszła do wniosku Louise, idąc za Larsem na piętro.

Po prawej stronie znajdowała się łazienka, duża, urządzona w czarnym marmurze, z ogromną kabiną prysznicową z hydromasażem w rogu. Białe ręczniki przesadnej grubości kojarzyły jej się z pięciogwiazdkowym hotelem.

Może to gej, przyszło jej do głowy, bo pomieszczenie miało w sobie coś kobiecego. Pachniało lawendą jak jej łazienka. Ale przecież kiedy spotkali się u Rebekki, nie zauważyła u niego żadnych kobiecych cech. Może dlatego że prawnik był łysy i jeździł wielkim mercedesem. Nie bardzo jej to pasowało do wyglądu domu.

– Przyjdź tutaj! – zawołał nagle Lars.

Louise poszła za jego głosem do ostatniego pokoju. Musiał to być domowy gabinet prawnika. Na tablicy przy biurku wisiały zdjęcia ikon. Pod jednym zobaczyła napis: „Archanioł Michał, król Słońca”. Obok był inny anioł, klęczący w czerwonym płaszczu z lilią w dłoni. Napis informował, że to król Księżycy, ale został skreślony. Ktoś pod spodem dopisał: „Anioł śmierci”.

Razem zaczęli uważniej oglądać tablicę. Znajdowało się tu również zdjęcie katedry Roskilde i sprawozdanie z zebrania rady parafialnej, a obok lista numerów telefonów jej członków. Nazwisko adwokata znajdowało się na niej pod pozycją numer trzy.

– On jest jakoś głęboko wierzący? – zdziwił się Lars, ale Louise nie słuchała, bo nad biurkiem wisiały jeszcze cztery zdjęcia. Cztery twarze w połączonych ramkach. Jedna z nich to była Jeanette Milling.

Lars ciągle mówił o ikonach na tablicy i radzie parafialnej, ale Louise

była zupełnie gdzie indziej. Na biurku przy antycznej srebrnej szkatułce z przyborami do pisania dostrzegła cieniutki złoty łańcuszek z rubinowym serduszkim. Pamiętała go ze zdjęć, jakie pokazywała jej Rebekka, i skamieniała. Wszystkie te rozmaite sygnały, które w ogóle do siebie nie pasowały, napełniły ją lękiem.

– Trzeba przewrócić ten dom do góry nogami! – zawołała i już była na schodach.

Jej partner nic nie wiedział o rubinowym serduszkach, nie zastanowiły go też cztery twarze kobiet, ale i tak pognął za nią.

– Do piwnicy wchodzi się tylko przez ogród – wyjaśnił, gdy Louise zajrzała do kuchni, szukając schodów na dół. – Wzywamy posiłki?

Pokręciła głową, ale wybiegając do holu, sprawdziła, czy ma służbowy pistolet. Niepokój wypełnił każdą komórkę jej ciała.

Za domem rozciągał się wypielegnowany ogród. Z trawnika wygrabiono liście, całość wyglądała niezwykle porządnie.

– Drzwi do piwnicy są zamknięte na klucz! – zawołał Lars ze schodów.

– Ściągnij ślusarza! – poleciła Louise. – Musi tu natychmiast wrócić.

Jej partner już dzwonił, lekkim truchtem zmierzając w stronę podjazdu. Louise ruszyła za nim. Zobaczyła, że skręca za róg. Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodowych, potem kolejne i zaraz ukazał się Lars Jørgensen prowadzący chłopaka, który w jednej ręce nioś narzędzia, a w drugiej colę. Najwyraźniej nie spieszyło mu się z powrotem do mistrza.

– Trzeba otworzyć drzwi do piwnicy. – Lars poszedł przodem na tyły willi.

Czekali, aż młody człowiek upora się z zamkiem. Znów trochę ponarzekał, twierdząc, że zamek nie zalicza się do łatwych, ale w końcu triumfalnie kiwnął głową.

Zbiegli ze schodów. Na dole zapalili światło, bo okna wychodzące na ogród były zamurowane, chociaż ślad po nich pozostał widoczny.

– Co tu tak pachnie? – spytała Louise, zatrzymując się na moment.

– Może on maluje? – podsunął Lars Jørgensen. – W każdym razie to jakieś chemikalia. Terpentyna?

– Raczej zmywacz do paznokci.

Louise otworzyła brązowe drewniane drzwi na końcu korytarza, zajrzała do jakiegoś pomieszczenia, lecz niewiele dostrzegła oprócz tego, że jest bardzo małe i wydaje się puste. Z powrotem je zamknęła.

– Te są zamknięte na klucz – oznajmił Lars z drugiego końca piwnicy.

– A ja nawet nie sprawdziłam, czy na górze nie ma jakichś kluczy. Pobiegnę zobaczyć.

Pokonała schody dwoma susami. Przez moment zastanawiała się, czy słusznie robią, rozdzielając się, ale w tym czasie już zdążyła obieć dom. Bała się tego, co zastaną za zamkniętymi drzwiami. Nie lubiła wtajemniczenia w dziwaczne upodobania seksualne, a zważywszy na cały ten pedantyczny stylowy porządek panujący na górze, wcale by jej nie zdziwiło, gdyby właściciel tego domu trzymał w piwnicy coś paskudnego.

Zaczęła się rozglądać za kluczami. Mało brakowało, a przeoczyłyby ich pęk na kuchennym stole przy zlewie. Mogło się wydawać, że zostały tam specjalnie wyłożone, pomyślała, sięgając po nie.

W piwnicy dopiero trzeci klucz pozwolił się wsunąć w zamek.

Smród acetonu był tak mocny, że Louise odruchowo zasłoniła usta rękawem kurtki. To niemal gorsze od zapachu trupa, pomyślała, podchodząc do czegoś, co przypominało olbrzymią zamrażarkę.

– To wygląda jak jakieś laboratorium – stwierdził Lars, patrząc na białe płytki i stalowy stół na końcu pomieszczenia.

Jemu najwyraźniej ten zapach tak bardzo nie przeszkadzał, ale Louise aż kręciło w nosie i piekło w gardle. Przez chwilę musiała wyrównywać oddech, a Lars w tym czasie podszedł do kolejnych drzwi, które również okazały się zamknięte.

Louise rzuciła mu pęk kluczy i zaczęła się przyglądać stojącym tuż przy drzwiach noszom, będącym na wyposażeniu karettek. Intensywnie

nasłuchiwała dźwięków i trudno jej było zatrzymać strumień obrazów z pewnej ubiegłorocznej sprawy, kiedy odkryli przetrzymywane w piwnicy dzieci i młode kobiety.

– Gdzie tu się, u diabła, zapala światło? – mruknął Lars z irytacją.

Otworzył już drzwi do pomieszczenia pogrążonego w kompletnym mroku. Louise słyszała, jak obmacuje ścianę w poszukiwaniu przełącznika.

– O cholera! – zawołał, wpadając na coś, i moment później ryknął: – Co to jest?!!!

Louise pospieszyła do niego i zapaliła latarkę, którą wyjęła z kieszeni, i zaczęła krzyczeć. Nie z powodu szoku na widok twarzy martwej kobiety. Krzyczała, ponieważ była to twarz Jeanette Milling.

– Co to, na miłość boską, ma być? – spytała wstrząśnięta.

– Znalazłem przełącznik – powiedział Lars i za moment pokój zalało delikatne miękkie światło.

Louise nie mogła się ruszyć. Stała tylko wpatrzona w nagie kobiece ciała. Lars pozapalał więcej świateł. Niemal teatralne oświetlenie sprawiło, że cztery ciała stanowiły centralny element pomieszczenia.

– Kim są pozostałe? – spytał cicho.

– Norweżka i dwie Szwedki – odparła Louise, myśląc o tym, że Rønholt ma listę zaginionych kobiet, które zniknęły w tym samym rejonie co Jeanette.

Ale nigdzie nie było ani śladu dziewczynki.

Louise zawróciła. Minęła podłużną zamrażarkę, wołając, że Lars ma przyjść z kluczami. Otworzyli drzwi do ostatniego pomieszczenia, w którym nie znaleźli nic oprócz wielkiej stalowej wanny ustawionej na środku. Isabelli nie było. Louise zdążyła pomyśleć „dzięki Bogu”, chociaż właściwie wcale jej to nie ucieszyło.

– Zobacz to.

Lars szedł w jej stronę, niosąc pudełko z ciemnego drewna.

Musiała podejść zupełnie blisko, żeby stwierdzić, że to cztery pary

szklanych oczu. Pozostałe zagłębienia były puste. Wcześniej musiało tu być osiem zestawów.

Louise się cofnęła. Potrzebowała powietrza. Wrażenie, że jest zamknięta w jakimś cholernym laboratorium z czterema martwymi kobietami, wywołało ściskanie w piersi. Już wcześniej miała do czynienia ze sprawami, w których pozornie normalny i stabilny emocjonalnie ojciec rodziny pozostawiał żonę i dzieci w kałużach krwi. Ale to było chyba gorsze. A może tylko jej się tak wydawało, bo nie mogła pojąć, co widzi.

Wybiegła za dom, żeby zwymiotować. Chwilę potrwało, nim się opanowała na tyle, by mogła zadzwonić do Rønholta i podać mu adres.

Louise wpadła do gabinetu Willumsena zaraz po powrocie z Roskilde i opowiedziała o tym, co znaleźli w piwnicy adwokata. Z otwartego okna wiało chłodem, a Willumsen siedział blady za biurkiem nad rozsypanymi papierami.

– Ściągnij tu pozostałych – polecił i powiedział, że właśnie zadzwoniła jakaś kobieta, która widziała chyba dziewczynkę podobną do Isabelli Sachs-Smith.

Louise wciąż była głęboko wstrząśnięta widokiem czterech martwych kobiet, ale starała się pozbyć tego obrazu i skupić na ośmiolatce.

– Świadek twierdzi, że dziewczynkę siłą wsadzano do dużego mercedesa na podziemnym parkingu w bloku, w którym mieszkał Carl Emil – oznajmił Willumsen, gdy wszyscy już się zebrali w jego gabinecie. Wstał. Przez chwilę wydawał się jakby nieobecny duchem, na moment przymknął oczy, ale mówił dalej: – Kobieta nie zareagowała na to, bo nie chciała się wtrącać w nie swoje sprawy.

– Co ci ludzie sobie myślą?! – zawołał oburzony Toft.

Willumsen wzruszył ramionami i spojrzał na Louise.

– Czas płynie – powiedział w końcu. – Grupie negocjacyjnej nie udało się uwolnić dziewczynki, gdy był na to czas. Musimy się teraz dowiedzieć, czy mała jest razem z mecenasem Wedersøem. Dziecko musi wrócić do

matki.

Louise odwróciła głowę. Drażniła ją nie tyle arogancja Willumsena, ile to, że nie miała końca. Próbowwała się nie przejmować jego słowami, ale tym razem trafił ją w czuły punkt, bo miał rację, wypominając im niepowodzenie.

– Trzeba wydać nakaz zatrzymania samochodu Wedersøego – polecił Willumsen i podniósł głos, jakby się gdzieś spieszył. – Poszukiwania mają objąć cały kraj. Należy zamknąć granice, posłać ludzi na przystanie promowe i na mosty.

Nagle złapał się za serce i upadł.

Dlaczego Frederik po prostu nie śpi z tobą? – spytał Markus przed wyjściem do szkoły. – Nie musicie się tak wysilać i udawać przede mną, że on śpi na kanapie.

Camilla akurat szykowała mu drugie śniadanie, gdy do niej z tym przyszedł. Do tej pory tłumaczyła synowi, że Frederik Sachs-Smith to po prostu bliski przyjaciel, który musi gdzieś nocować, będąc w Danii. Ale aż tak naiwny chłopiec najwyraźniej nie był.

Nastawiali z Frederikiem budzik na dziesięć minut przed zbudzeniem Markusa. Kiedy wstawali, w sypialni wisiało ciężkie powietrze po długiej nocy pełnej seksu i zaledwie kilku godzinach snu. Zapach ten wciąż tkwił również w kołdrze, którą przemykali na kanapę. Camilla miała nadzieję, że nie to ich zdradziło przed trzynastoletnim synem.

Pokręciła głową i wyjęła laptop, ale trudno jej było się skupić. Wciąż stawał jej przed oczami Carl Emil rozciągnięty na łóżku w pokoju hotelowym. Chciała o tym zapomnieć, żeby zająć się pisaniem artykułu obiecanego „Morgenavisen”. Chociaż nie była już zatrudniona w dziale kryminalnym tej gazety, to właśnie byłemu pracodawcy zaproponowała artykuł, kiedy Walther Sachs-Smith zadzwonił do niej z Kastrup wkrótce po wylądowaniu i poprosił, by któraś z duńskich gazet napisała prawdę o *Aniele śmierci*.

– Dużo się nad tym zastanawiałem – powiedział – i doszedłem do wniosku, że przyszedł czas na wyjawienie historii tej ikony. Po tym wszystkim, co się stało, nie możemy już utrzymywać jej w tajemnicy. Po prostu więc ją opowiedz, napisz też, w jaki sposób trafiła w ręce mojego ojca i o mojej rodzinie w Polsce. Chcę, by ludzie wiedzieli, że nie ukrywaliśmy jej z pazerności, tylko dlatego że nie chcieliśmy narażać ubogiej rodziny teścia mojego ojca na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Straciłem żonę

i jednego syna. Teraz zrobię wszystko, byle tylko nic się nie stało Isabelli.

Camilla nie odważyła się napomknąć, że być może jest już za późno. Słyszała, że Walther jest załamany. Obiecała więc tylko, że napisze ten artykuł.

– Nigdy sobie nie wybaczę, że moja zdolność oceny tak dramatycznie zawiodła, kiedy wybrałem Wedersøgo na następcę naszego starego prawnika – podjął Walther, gdy już chciała odłożyć słuchawkę. – Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby on się w to nie włączył. Nie doszłoby do rozłamu w firmie. Jego poprzednik nigdy nie nastawiałby przeciwko mnie moich rodzonych dzieci dla własnych korzyści. Pogniewałem się na najmłodszą dwójkę. Bóg jeden wie, jaki byłem wściekły. Mimo to przez ostatnie miesiące cieszyłem się na tę chwilę, kiedy wszelkie spory będą już za nami. A teraz będę musiał żyć ze świadomością, że nie udało mi się pogodzić z synem przed jego śmiercią. Nie powinienem był prosić go, by to on zajął się przekazaniem ikony. Należało przewidzieć, że to się może źle skończyć. Ogromnie mi też przykro, że wmieszałem w to ciebie.

– Sama chciałam ci pomóc... – próbowała go zapewnić Camilla, ale znów jej przerwał:

– Chciałbym też, abyś w tym artykule podkreśliła, że policja może zamknąć śledztwo, jeśli tylko moja wnuczka cała i zdrowa wróci do domu. *Anioł śmierci* już i tak zniszczył zbyt wiele ludzkich istnień.

Camilla usiadła na kanapie z laptopem na kolanach. Usiłowała skupić się na pisaniu. Rozłożyła dookoła wszystkie swoje notatki, łącznie z gęsto zapisanymi kolorowymi pocztówkami z Hawajów, ale nie wiedziała, od czego zacząć.

Po jej rozmowie z Waltherem Sachs-Smithem do salonu przyszedł jego syn i usiadł naprzeciwko w białym fotelu. Zorientowała się, że ma jej do powiedzenia coś ważnego, i jeszcze zanim zaczął, nastawiła się na to, że on również uznał, iż ich związek najlepiej będzie szybko zakończyć, bo chociaż w łóżku było im razem fantastycznie, to jednak ze Stanów



na Frederiksberg było po prostu za daleko.

– Kocham cię – wyznał, ujmując jej rękę ponad stołem. – Przeprowadź się do mnie.

W pierwszej chwili w ogóle nie wiedziała, co powiedzieć. Jego słowa wywołały w niej całą burzę uczuć, aż zaczęła kręcić głową nad jego nieoczekiwaną propozycją.

– Przecież nie mogę wyjechać! – zawołała, uśmiechem starając się zamaskować wrażenie, jakie zrobiły na niej jego słowa. – Jak to sobie wyobrażasz? Co będzie z Markusem?

A więc to może jeszcze nie koniec, zdążyła pomyśleć, czując ciepło rozlewające się po ciele, kiedy uświadomiła sobie, że Frederik musiał się nad tym zastanawiać już od dawna. W każdym razie, jak się okazało, rozważał różne możliwości.

– Niedaleko jest niezłe liceum, a poza tym prywatna szkoła międzynarodowa, jeśli uważasz, że tak będzie dla niego lepiej. Tam również możemy go posłać.

Camilla tylko na niego patrzyła. M y możemy go posłać. W ustach Frederika brzmiało to tak, jakby zamierzał zaadoptować jej syna. On, który nie miał własnych dzieci. Ale wiedziała przecież, że dobrze dogadują się z Markusem. Rozumiała również, że to dlatego, że Frederik po prostu lubi spędzać z nim czas w przeciwieństwie do prawdziwego ojca chłopca, ostatnio bardziej interesującego się nową żoną i ich wspólnym dzieckiem, które miało urodzić się latem. Z Markusem spędzał najwyżej dwa dni w co drugi weekend i coraz bardziej odsuwali się od siebie.

– Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że Markus musi mieć kontakt z ojcem – powiedział Frederik, kiedy nie skomentowała kwestii szkoły – ale przecież może bez kłopotu latać tam i z powrotem.

Camilla bardzo chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do tego, że dla kogoś pieniądze mogą nie stanowić problemu. Frederik miał ich tyle, że w ogóle nie zastanawiał się nad

codziennymi wydatkami.

Zamknęła laptop, bo chociaż została sama – Frederik pożyczył od niej punto, żeby pojechać na spotkanie z siostrą i ojcem – nie mogła się skupić. Co, na miłość boską, miałyby robić w Ameryce? Frederik uważał, że mogłaby pisać razem z nim scenariusze filmowe. Mogłaby też zatrzymać swoje mieszkanie na Frederiksberg, gdyby chciała mieć bazę podczas przyjazdów do Danii.

Na wszystko miał gotową odpowiedź. Najwyraźniej gruntownie to sobie przemyślał. W zasadzie właśnie to najbardziej ją wzruszało.

Myśli krążyły jej po głowie jak natrętny rój komarów w ciepły letni wieczór. Komórka musiała zadzwonić kilka razy, zanim ją usłyszała.

– Willumsen właśnie stracił przytomność – powiedziała Louise i umilkła.

– Co się stało?! – zawołała Camilla wstrząśnięta, natychmiast odsuwając od siebie własne sprawy. – Jesteś w komendzie?

– Po prostu nagle upadł – ciągnęła przyjaciółka cienkim głosem. – Suhr próbował go reanimować, a my w tym czasie dzwoniłszy po karetkę.

– Nie żyje? – spytała Camilla.

Przed oczami stanął jej czarnowłosy komisarz. Wielokrotnie ścierali się z sobą, mimo to poczuła ściskanie w sercu.

– Nie, wciąż dawało się wyczuć puls. Tylko że to się stało tak nagle. Stał, mówił i nagle się osunął. Jakby ktoś mu zgasił światło.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego. – Camilla usłyszała, że Louise wyciera nos.

– Ja też na to liczę – powiedziała cicho przyjaciółka i znów siąknęła. – Jesteśmy pewni, że adwokat Sachs-Smithów jest zamieszany w co najmniej cztery zabójstwa. – Zmieniła temat. – Poza tym kamera monitoringu w hotelu Prindsen zarejestrowała go w tym czasie, kiedy zginął Carl Emil.

– Mój ty świecie! – krzyknęła Camilla, ale nic więcej nie zdążyła dodać, bo Louise kontynuowała:

– Jest poszukiwany w całym kraju i określany jako nadzwyczaj niebezpieczny. Możliwe jednak, że zdążył już wyjechać z Danii. Zaalarmowaliśmy policję szwedzką i zamknęliśmy granicę z Niemcami. Poszukuje go Interpol, jego samochód także. – Dodała, że sądzą, iż witraż znajduje się w samochodzie prawnika.

– A co z dziewczynką? – wyszeptała Camilla, znów myśląc o tej nieszczęsnej rodzinie.

– Nie wiemy – odpowiedziała przyjaciółka. – Niestety, jest bardzo prawdopodobne, że już się pozbył dziecka.

Camilla nie mogła wydusić z siebie słowa. Santa Barbara wydało jej się nagle bardzo odległe. W ogóle nie mogła się do niego odnieść.

Pozbył się dziecka?

– Zadzwoń, kiedy będziesz miała jakieś wieści o Willumsenie – zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim Louise się rozłączyła.

Willumsena zabrała karetka. Lekarze dalej usiłowali go reanimować, ale gdy odjeżdżali, wciąż jeszcze nie udało im się pobudzić jego serca do pracy.

Louise, wstrząśnięta i zmęczona po rozmowie z Camillą, zamknęła swój komputer i zdecydowała, że pojedzie do domu odpocząć kilka godzin. Wkładając płaszcz, pomyślała, że powinna zadzwonić do Rønholta dowiedzieć się, czy wiadomo coś nowego, ale nie miała na to siły. Akurat teraz musiała oderwać się od pracy. Przeżycia ostatnich dni nagle się na nią zwały, a gdy jeszcze karetka zabrała Willumsena, poczuła, że miarka się przebrała.

Poszła do gabinetu szefa, pożyczyła kluczyki do jednego z samochodów służbowych i pojechała na Frederiksberg. Minęło już kilka lat, odkąd ostatni raz czuła lęk przez załamaniem nerwowym. Jacobsen, psycholog na stałe współpracujący z Wydziałem Zabójstw, wskazał jej narzędzia, dzięki którym mogła nie przyjmować na siebie żałoby innych. Wiedziała, że po to, by myśleć przytomnie, powinna włożyć swój płaszcz policjantki, ale w tej chwili największy kłopot miała właśnie z wizualizacją tego stroju.

Dlatego pojechała do domu.

Już w przedpokoju zorientowała się, że mieszkanie jest puste. Może Jonas poszedł na spacer z Diną? Trudno, chociaż tak liczyła, że go zastanie. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że lekcje skończył już pół godziny temu.

Wzięła z lodówki napój gazowany i usiadła przy stole. Nie była dobrą matką zastępczą, nikt tak nie mógł jej nazwać. Ale akurat w tej chwili tęskniła za chłopcem aż do bólu.

Komórkę odebrała już po pierwszym dzwonku. Telefonował Lars Jørgensen.

– Willumsen nie żyje – oznajmił cicho. – Nie dojechał do szpitala, umarł w karetce.

Louise zwiesiła głowę.

– Dziękuję, że zadzwoniłeś – powiedziała i wyłączyła telefon. Potem wybuchnęła płaczem.

Nie usłyszała, że otwierają się drzwi ani że Jonas wchodzi i staje przy niej zdumiony. Zauważyła go dopiero, gdy kucnął przy jej krześle.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony, obejmując ją. – To ta dziewczynka?

Louise rozejrzała się za papierowym ręcznikiem. Nie chciała, żeby Jonas widział ją tak rozklejoną. Wytarła nos i twarz i pokręciła głową.

– Willumsen nie żyje – powiedziała. Te słowa zabrzmiały tak dziwnie, gdy wymówiła je na głos.

Przytuliła Jonasa. Chłopiec znał komisarza i wręcz go lubił. Willumsen zresztą nigdy nie był wobec niego arogancki ani surowy. Chociaż akurat te jego cechy Louise miała zapamiętać najlepiej, to akurat w tej chwili bardzo było jej go żal.

– Zasłabł w pracy. Serce nie wytrzymało.

– Tak mi przykro – pocieszył ją Jonas, a Louise próbowała się do niego uśmiechnąć.

– Ale pewnie nie wszystkim jest tak przykro, że nie będzie już miał kto wołać: „Wydaje wam się, że to sanatorium dla ciężarnych zakonnice”.

Popłakała jeszcze trochę, ale uniosła głowę, czując, że Jonas zbiera się, by coś powiedzieć.

– W szkole niektórzy też mówią, że moi rodzice mieli dużo szczęścia, że już umarli, bo nie muszą na mnie patrzeć.

Louise dech zaparło w piersi.

– To niemożliwe! – krzyknęła.

Jonas spuścił głowę, a długa grzywka opadła mu na oczy. Odwróciła się do niego i położyła mu ręce na ramionach.

– Kto tak mówi?

– Kilka osób – powiedział, nie patrząc na nią. Widać było, że trudno mu

o tym rozmawiać.

Louise wstała i przyciągnęła go do siebie.

– To wstrętne mówić coś takiego.

Czuła, że chłopiec cały się spiął, więc mocno go przytuliła.

– Od jak dawna tak mówią? – spytała, puszczając go wreszcie.

Wzruszył ramionami.

– To Lasse zaczął. – Wreszcie spojrzał na Louise. – Po tym, co się stało z Signe.

Louise kiwnęła głową. Jonas często nocował u kolegi i sama go stamtąd zabierała, ale nie miała świadomości, że się pokłócili.

– Zaczęło się, kiedy powiedział, że Signe na pewno nie żałuje, że nie żyje, bo dzięki temu nie musi mieć do czynienia ze mną. – Na długich ciemnych rzęsach zawisły wielkie łzy.

Signe i Jonas byli w tej samej klasie od początku szkoły, a w ostatnim roku przed wypadkiem dużo czasu spędzali razem. Dziewczynka zginęła w pewien ciemny wieczór, gdy spanikowana wybiegła na ulicę i wpadła pod samochód. Jonas bardzo przeżył jej śmierć. W krótkim czasie doświadczył kolejnej tragedii. Ale Louise nie mogła pojąć, dlaczego jej się nie zwierzył.

– A teraz on i jeszcze dwóch powtarzają, że dla moich rodziców dobrze, że nie widzą, jak się ugamiam za Evą.

Za Evą, pomyślała Louise, z trudem zachowując powagę.

– Lasse od pół roku za nią szaleje, a ona go nie lubi. Wszystko przez to.

– Powiedz mi, czy twoja wychowawczyni cokolwiek o tym wie.

Pokiwał głową i coś mruknął.

– Trudno nie wiedzieć – odparł. – Przecież oni stale mnie przezywają.

Louise poczuła wzbierający gniew, musiała wstać. Podeszła do kuchennego okna, wyjrzała na podwórze. Przykro jej było, że nie zareagowała szybciej na sygnały wysyłane przez chłopca. Powinna była interweniować. No ale praca zawsze stała na pierwszym miejscu.

Na chwilę zakryła twarz rękami.

– Zakładam, że dlatego mu przyłożyłeś. – Odwróciła się do Jonasa. – Znasz numer do sekretariatu szkoły? Myślę, że jeszcze kogoś tam zastanę.

Przez buzię chłopca przemknął mroczny cień.

– Nie dzwoń – powiedział.

– Na miłość boską, dlaczego?

– Bo nie chcę, żeby mieli mnie za donosiciela.

– Jonas, od czasu do czasu to w porządku, że nie o wszystkim się mówi, ale nie jest w porządku, kiedy wychowawczyni nie interweniuje w wypadku takich złościwości. Dyrekcja powinna o tym wiedzieć.

– Wolałbym, żebyś nie dzwoniła – powtórzył.

Louise w końcu kiwnęła głową, ale nad złością wciąż trudno jej było zapanować.

– No dobrze. Rozumiem, że nie mogę też zadzwonić do rodziców Lassego i spytać, czy mają świadomość tego, co wygaduje ich syn.

Jonas pokręcił głową.

– Sam sobie z tym poradzę – oświadczył, a Louise zrozumiała, że naprawdę tak uważa. Przyrzekła sobie jednak w duchu, że już nigdy nie pozwoli, by chłopiec tak bardzo czymś się martwić w samotności, że w końcu dał się sprowokować do wszczęcia bójki. Przecież wzięła na siebie odpowiedzialność za niego, musi więc przy nim być, gdy jej potrzebuje.

– Mógłbym dzisiaj przenocować u Ewy? – spytał i znów nie mógł spojrzeć jej w oczy, ale tym razem z zawstydzenia.

Louise uśmiechnęła się do niego.

– Pod warunkiem że spakujesz torbę na jutro, nie zapominając o szczoteczce do zębów, a poza tym zatroszczysz się o to, żeby Lasse i ci inni chłopcy widzieli, że razem przychodzicie do szkoły. Tylko pod takim warunkiem się zgodzę.

Miklos Wedersøe właśnie minął zjazd na Padborg, kiedy dostrzegł w lusterku błyski. To były dwa radiowozy, od razu więc zrozumiał, że nie przypadkiem pojawiły się jednocześnie.

Ścigały go i były bardzo blisko. Wcisnął pedał gazu, a wielki mercedes wyskoczył do przodu. Sto osiemdziesiąt, dwieście... ciągnął równo. Wedersøe włączył długie światła i zjechał na pas do wyprzedzania, żeby oderwać się od policyjnych samochodów. Mimo że serce waliło mu w piersi, cieszył się niesamowitą mocą silnika. Odległość od radiowozów stale się zwiększała.

Skupił się i przestał patrzeć na ściągające go auta. Był już bardzo blisko granicy i miał nadzieję, że zdoła się prześlizgnąć. Ale oczywiście miał plan na wypadek, gdyby to się nie powiodło. Dobry plan, pomyślał, zakładając, że policja znalazła klucze zostawione przez niego na kuchennym stole. To on był w tej rozgrywce silny, a broń miał najlepszego rodzaju. Broń, pomyślał nagle, czując pulsowanie w skroniach. Jakiś samochód kombi z przodu zajechał mu drogę, nacisnął więc klakson, a volvo szarpnęło, kiedy wystraszony kierowca wrócił na swój pas.

Oczywiście powinien był załatwić sobie broń, ale nie było na to czasu. Zresztą i tak nie będzie mu potrzebna. Miał przecież dziewczynkę.

Wkrótce zobaczył ich przed sobą. Błyski nadciągały od strony przeciwnej. Zauważył też radiowóz przy zjeździe, ale wiedział, że ten samochód nie zdoła go dogonić. Na wszelki wypadek jeszcze przyspieszył.

Adrenalina pulsowała mu w żyłach, kiedy zrozumiał, że policja wreszcie go znalazła i zintensyfikuje pościg.

Zahamował z piskiem hamulców, bo kilkaset metrów przed nim nagle pojawiła się ciężarówka wyprzedzająca camper, który wolno toczył się środkowym pasem. Tym razem nie mógł jej postraszyć klaksonem, musiał



zwolnić.

Nerwowo zerknął w lusterko i zobaczył, że radiowóz zdążył już zjechać z estakady i gna za nim. Prawym pasem jechało kilka tirów jak w konwoju, a wyprzedzenie campera zajmie ciężarówce trochę czasu. A on czasu nie miał. Teraz puls gwałtownie mu przyspieszył, a dłonie ściskające kierownicę zwilgotniały. Zerknąwszy w lusterko, zjechał na pas awaryjny i dodał gazu.

Automatyczna skrzynia biegów szarpnęła, kiedy wyprzedzał tiry. Pędził z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdy nagle dotarło do niego, że nie będzie mógł zjechać z powrotem na właściwy pas. Wielkie ciężarówki sunęły jedna za drugą i gdyby zaryzykował wciśnięcie się między nie, mogły zmiażdżyć jego mercedesa. A on nie mógł ryzykować. Przecież w bagażniku wiózł ikonę owiniętą miękką pikowaną kołdrą.

Syreny rozbrzmiewały coraz wyraźniej. Doganiały go. Samochód pędził pasem awaryjnym, ale było tu tak ciasno, że bał się oderwać wzrok od jezdni. Cały czas wpatrywał się tylko w wąski pas, który miał przed sobą. Nie widział też przez to radiowozów, ale chyba jeszcze go nie dogoniły.

Prowadził tak skoncentrowany, że pot spływał mu po czaszce, ale on w ogóle tego nie zauważał. Dopiero gdy krople zaczęły skapywać mu z brwi i na moment go oślepiły, oderwał jedną rękę od kierownicy.

Jeszcze tylko jeden tir i je wyminie. Ciągle mógł zdążyć.

Wreszcie droga przed nim się otworzyła i mógł zjechać na właściwy pas. Z ulgą stwierdził, że od policyjnych wozów wciąż dzieli go pewna odległość, ale za miękkim łukiem autostrady dostrzegł blokadę rozciągniętą przez całą szerokość jezdni.

Pot zalał mu oczy. Po drodze nie było żadnego zjazdu, a blokada się przybliżała. Zrozumiał, że nie ucieknie.

Jedno spojrzenie w bok powiedziało mu, że nie zdoła uciec, jadąc na przełaj. Nie miał odwagi forsować blokady z radiowozów ustawionych zderzak w zderzak przez całą szerokość jezdni. Wszystkie białe auta miały włączone koguty, a przed nimi, niczym żywe tarcze, stali policjanci.

Z tyłu dobiegło go wycie kolejnego radiowozu i nagle rzeczywistość objawiła mu się w pełnym wymiarze.

Nie wywinie się z tego.

Gdy zdejmował nogę z gazu, poczuł nagły przypływ siły. Kiedy jechał pasem awaryjnym, zmuszając samochód do niesłychanego wysiłku, przez chwilę był bliski paniki, ale teraz to uczucie całkowicie minęło. Miał przecież dziewczynkę. To do nich zatem należała decyzja, czy mała umrze, czy też pozwolą jej żyć.

Zaczął hamować.

Louise skręciła w stronę lasu Boserup. Szpital Psychiatryczny Świętego Jana położony był w najładniejszej okolicy Roskilde. Już z daleka dostrzegła duże budynki nad fiordem. Kierując się strzałkami, dojechała do informacji i zaparkowała przy głównym wejściu.

– Chciałabym rozmawiać z jedną z waszych pacjentek – powiedziała, wyjmując kartkę z nazwiskiem, które podała jej Rebekka. – Z Moną Jepsen. – Przedstawiła się i pokazała policyjny identyfikator.

– Mony już u nas nie ma – odparła recepcjonistka, nie biorąc od niej ani kartki, ani identyfikatora.

– Jak to: już? – spytała Louise nieco zdezorientowana.

– Przyszła do szpitala, kiedy ogłoszono poszukiwania tej dziewczynki. – Recepcjonistka wyjaśniła, że Mona Jepsen zawsze była bardzo niespokojna, kiedy ktoś ginął. – Naprawdę była w złym stanie, gdy się do nas zgłosiła. Ale dzisiaj poczuła się już o wiele lepiej i poprosiła, żeby ją wypisano.

Louise zaskoczona uniosła brwi.

– Znamy Monę już od lat – uśmiechnęła się kobieta. – Trafiła do nas jako bardzo młoda osoba. Zdążyła już poznać swój rytm, wyczuwa, kiedy nie może być sama. Ale równie dobrze potrafi ocenić, kiedy ataki mijają.

– Ataki? – powtórzyła Louise, lecz natychmiast się zorientowała, że wkracza na obszar objęty obowiązkiem dochowania tajemnicy. Uśmiechnęła się przeproszająco. – Czy pani wie, gdzie ją znajdzie? – spytała tylko.

– Albo jest u siebie w domu, albo wybrała się do Gerd. – Recepcjonistka zaczęła się zastanawiać. – Poszukam jej numeru telefonu, proszę poczekać.

Louise cierpliwie czekała, a kobieta po chwili podała jej też adres i wyjaśniła, jak najłatwiej dojechać do Svogerslev.

– Może pani powtórzyć, kim pani jest? – spytała starsza kobieta, kiedy Louise zadzwoniła do niej z samochodu. W pierwszej chwili miała wrażenie,

że rozmawia z mężczyzną, lecz gdy jej rozmówczyni chwilę później zawołała Monę, Louise zorientowała się, że się pomyliła.

– Nazywam się Louise Rick – zaczęła, gdy do telefonu podeszła Mona Jepsen. Dalej mówiła cicho, jak do dziecka, które nie wszystko rozumie. – Słyszałam, że pani podobno może nam coś powiedzieć o Isabelli Sachs-Smith.

– Ona żyje – odparła kobieta krótko. – Proszę mi dać chwilę, a będę mogła powiedzieć coś więcej.

Louise czuła się jak idiotka i żałowała, że w ogóle traci czas na tę rozmowę. Powinna raczej wrócić na komendę, ale nie mogła się przemóc. Jeszcze nie.

– Uprzedzę Gerd, że pani przyjedzie – ciągnęła Mona Jepsen cienkim, prawie dziecięcym głosem.

Louise przez chwilę się zastanawiała, ale w końcu postanowiła wziąć byka za rogi. Pomyślała podobnie jak Suhr: co ma do stracenia? Wciąż nie wpadli na żaden ślad dziewczynki, dlatego postanowiła zaryzykować.

– Dobrze, już jadę – powiedziała i wyłączyła telefon.

Czerwone domki stały w grupkach, a ich ogródki wychodziły na parking. Louise przemaszerowała wąskimi ścieżkami po drugiej stronie i wreszcie na końcu szeregowca odnalazła właściwy numer. Kobieta, która jej otworzyła, była w ogrodniczkach, a siwe włosy, obcięte na pazia, miała założone za uszy. Jej oczy uśmiechały się zza okularów w stalowych oprawkach. Louise nie zdziwiła się, gdy usłyszała, że kobieta jest psychologiem i pracowała kiedyś w szkole, do której chodziła Mona. Teraz była już na emeryturze.

– Mona siedzi w salonie – powiedziała i uprzedziła Louise, że ma dwa koty leśne norweskie. – Mam nadzieję, że pani nie ma alergii.

– Nie – odparła Louise, myśląc o Dinie. Właściwie wołała koty od psów, no ale teraz miała psa. Na moment przed oczami stanął jej Kim. Stęskniła się za nim, ale ze spokojem przyjmowała, że pewnie już nigdy się do niej nie

odezwie.

– Proszę za mną – zaprosiła ją do środka Gerd.

W niewielkim przedpokoju stały ciężkie meble. Wśród nich wysoka komoda z pięcioma szerokimi szufladami, która zajmowała całą ścianę.

Louise zdjęła buty i przeszła za gospodynią do salonu, w którym unosił się zapach herbaty rumiankowej i ziół. Miłe miejsce, chociaż trochę zbyt natchnione, pomyślała i stanęła jak wryta na widok Mony Jepsen.

Kobieta siedziała u szczytu dębowego stołu dla sześciu osób, a Louise jej widok tak zaskoczył, że nie mogła przestać się na nią gapić. Drobną jak dziewczynka, o jasnych, pozbawionych życia włosach sięgających chyba aż do pasa, siedziała nad rozsypanymi martwymi owadami. Dopiero kiedy odsunęła się nieco razem z krzesłem i wstała, aby się przywitać, Louise opanowała się na tyle, by podać jej rękę.

Na pierwszy rzut oka twarz Mony wydawała się bardzo młodzieńcza, jakby czas się dla niej zatrzymał, pomyślała Louise, chociaż wiedziała, że kobieta ma już czterdzieści pięć lat. Musiała podejść bardzo blisko, żeby zobaczyć, że o jej wieku świadczyły jednak ciężkie powieki.

Przywitały się. Louise podziękowała za to, że mogła przyjechać tak nagle.

– Ależ oczywiście – powiedziała Mona. – Przecież dzwoniłam do Nymanda. Ale on nie miał czasu.

Louise nie mogła oderwać wzroku od stołu. Owady. Wielkie martwe owady leżały ułożone w równiutkich rzędkach ze starannością filatelisty. Były bardzo różne, a Mona Jepsen najwyraźniej wbijała w nie szpilki. Na krześle obok stała niewielka tablica, pierwszy rząd był już zapełniony.

– Zbieram je – wyjaśniła Mona delikatnym dziewczęcym głosem, kontrastującym z makabrycznym widokiem martwych stworzeń. – To nie są rzadkie okazy, ale i tak oprawiam je w ramki. Tego znalazłam wczoraj, kiedy dowiedziałam się o Isabelli. – Wskazała na dużego pająka, który musiał leżeć pod prasą.

– I muchy – powiedziała Louise, wysuwając dla siebie krzesło na środku stołu.

– Tak, w lutym jest niewiele owadów. O tej porze roku nie trafiają się niezwykle okazy.

Louise pokiwała głową.

– Dziewczynka się boi. Musicie ją jak najszybciej odnaleźć.

Louise chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język, bo głębiej na stole zauważyła plik wycinków gazetowych. Wszystkie dotyczyły Isabelli. Nie mogła powstrzymać się od myśli, że siedzącą u szczytu stołu kobietę tak poruszyła historia małej, że sama zmyśliła jej dalszy ciąg. Czy to możliwe, by naprawdę coś wiedziała?

Mona usiadła po turecku na krześle, z którego jej luźne szarawary zdawały się spływać.

– Brakuje jej powietrza.

Gerd zajęła miejsce przy drugim końcu stołu, jakby nie chciała dotykać ani wycinków, ani owadów.

– Może pani wierzyć w to, co ona mówi. Wrażenia Mony na pewno zgadzają się z prawdą – oświadczyła emerytowana pani psycholog.

Louise uśmiechnęła się z przymusem.

– Kiedyś pewna dziewczynka zaginęła po koncercie w parku miejskim. Mona zadzwoniła na policję z informacją, że mała schowała się na jednej z łódek w marinie i policja odnalazła ją jeszcze tego samego dnia wieczorem.

Louise nachyliła się do Mony.

– Jeżeli pani wyczuwa, gdzie przetrzymywana jest Isabella Sachs-Smith, to proszę, żeby pani mi o tym powiedziała. – Poczła nagle, że pewność widoczna w oczach tej zadziwiającej osoby powoli ogarnia i ją.

– Nie mówiłam, że to wiem – odparła Mona szybko, dotykając palcami dużego skorka. – Absolutnie nic takiego nie powiedziałam. Gdybym wiedziała takie rzeczy, pracowałabym w policji tak jak pani. – Rozplakała

się.

Krucha jak bombka, pomyślała Louise, żałując, że w ogóle tu przyjechała. Lars Jørgensen będzie miał się z czego śmiać wśród wszystkich tych smutnych wydarzeń.

– Nie wiem, gdzie jest dziewczynka, ale gdyby mogła wyjrzeć, zobaczyłaby wielki łuk. Wyczuwam, że się boi i że wokół niej jest ciemno. I coś jest nie w porządku z jej oddechem, jakby zaczynało brakować jej tlenu.

Louise pokiwała głową i pogłaskała wielkiego kota, który wskoczył jej na kolana. Wciąż nie mogła się powstrzymać od przyglądania się Monie. Gerd wprawdzie rozpoczęła dłuższą przemowę na temat intuicji i możliwości jej wykorzystania, ale ona i tak nie mogła oderwać oczu od tej drugiej kobiety.

– Ważne jest znalezienie właściwego łuku – oświadczyła Mona, wpatrując się w gościa.

– Dlaczego pani sama zgłosiła się do szpitala? – spytała Louise, zamiast komentować zdolności wróżki.

Spokój przez chwilę widoczny w niebieskich oczach Mony przepadł i kobieta, być może nieświadomie, wsunęła ręce pod stół i poruszyła się nerwowo. Louise wyczuła, że weszła na ścieżkę, na której nie była mile widziana.

Odpowiedziała jej Gerd:

– Monie bywa trudno, kiedy ktoś zaginie. A czasami zaczyna się czuć bardzo źle i teraz też tak było, gdy dowiedziała się o Isabelli Sachs-Smith.

Louise domyślała się, że nie powinna więcej o to wypytywać. Wstała, uścisnęła Monie rękę i z uprzejmości powiedziała, że będzie wdzięczna za telefon, gdyby Mona zwróciła uwagę na coś, o czym jej zdaniem powinna wiedzieć policja. Drobną kobietą kiwnęła głową, patrząc na owady, i nie wstała, gdy Louise położyła na stole wizytówkę i wyszła. W przedpokoju Gerd otworzyła drzwi wejściowe i z ręką na klamce powiedziała

z przejęciem:

– Ona normalnie nie wykorzystuje swoich zdolności, ale je ma. Naprawdę może pani wziąć pod uwagę to, co mówiła.

Louise jeszcze raz podziękowała, lecz nie była ani trochę przekonana.

W samochodzie zobaczyła, że Rønholt kilkakrotnie próbował się do niej dodzwonić. Zostawił też wiadomość: „Technicy znaleźli w piwnicy peny z insuliną przepisaną Carlowi Emilowi. Przyjęliśmy teorię, że Wedersø uśmiercił również Inger Sachs-Smith. Poza tym znaleziono ten sam rodzaj farby, której użyto do namalowania liter na nagrobku”. Louise patrzyła przed siebie. Wstrząsnęła nią świadomość, że adwokat uciekł się do groźenia śmiercią, aby przynaglić swojego klienta do odszukania ikony. Prawdziwy szalenciec. Zabił sześć osób. Prawie siedem, wliczając Naję Holten. A teraz zniknął razem z dziewczynką.

Zamknęła oczy i oparła głowę o zagłówek.



Światło było daleko, niemal poza zasięgiem, gdy Naja Holten na moment usiłowała otworzyć oczy.

Panowała całkowita cisza, sen ją wciągał. Poddała mu się. Jej ciężkie ciało pozwoliło się unieść, ale znów rozległ się ten głos. Głos, który ją wzywał.

Spróbowała jeszcze raz. Walczyła z opadającymi powiekami uczepona tego głosu, który powtarzał jej imię.

– Ona się budzi – powiedział ktoś, chyba jakaś kobieta, jeszcze dalej.

Naja chciała pokręcić głową, uciszyć tę kobietę, tak aby mogła słuchać tylko tego głosu rozbrzmiewającego blisko, tuż obok niej. Jeszcze się zbliżył. Był teraz tuż przy jej twarzy.

– Obudź się, najdroższa.

Jesper. Śnił jej się. Albo tak jej się wydawało, pewności nie miała. W ogóle nie była niczego pewna. Czuła się taka zmęczona.

– Obudź się – powtórzył.

Światło zakłuło ją w oczy, kiedy wreszcie uniosła powieki. Jego twarz znajdowała się tuż obok. Rozpoznawała bruzdy na policzkach i te piwne oczy, teraz pełen łez. Pogładził ją po czole i szybko wytarł łzy, żeby nie kapały na nią.

Pojawiło się więcej twarzy, ale tych nie знаła. Ktoś przyłożył jej do piersi stetoskop, zmierzono ciśnienie.

– Uściśnij mnie za rękę, jeżeli słyszysz, że do ciebie mówię.

Chciała się do niego uśmiechnąć, ale twarz miała zupełnie sztywną, więc poprzestała na uściśnięciu ręki.

– Jesteś w Szpitalu Centralnym – powiedział Jesper. – Miałaś wypadek samochodowy.

Naja chciała pokręcić głową, ale nie mogła. Myślała o tamtej szmacie,

którą wepchnięto jej do ust, odcinającej cały dopływ powietrza. I o tym, jak walczyła ze śmiercią, kiedy zwała się na nią ciemność. To nie był żaden wypadek. Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć. Znowu poczuła tamtą szmatę na twarzy i wyciągnęła rękę, żeby wstać.

– Ona się rusza – oznajmiła nieznajoma kobieta.

Wyczuła dłoń Jespera pod plecami i dostrzegła naczynie w kształcie nerki, które jej podsuwał. Zaczęła wymiotować. Trzęsła się z zimna, ale wymioty nie ustawały.

– To antidotum – odezwał się jakiś niższy głos.

Zobaczyła, że do łóżka podszedł mężczyzna w białym kitlu.

– Podziałało.

Kolejna fala wymiotów. Jesper musiał zmienić naczynie.

W końcu Naja zamknęła oczy i opadła na poduszkę. Wciąż było jej bardzo zimno, ale ciało się rozluźniło. Próbowwała odzyskać kontrolę nad ustami. Przecież otworzyły się, kiedy wymiotowała, więc może znowu jej usłuchają.

– Jesper – szepnęła, gdy usta zareagowały.

– Tak, jestem – powiedział znowu bardzo blisko.

– Co to za jakiś wypadek?

– Nic takiego – odparł czym prędzej.

– On chciał mnie zabić. To nie był żaden wypadek.

– Wiem. Ale mu się nie udało.

Pamiętała to. Przypominała sobie tamto uczucie, kiedy już sądziła, że umiera. Tamtą ciemność i lęk. Na zawsze już je zapamięta. Zawsze będzie umiała przywołać tamten strach. Pomyślała o tym i przytomnie spojrzała na otwarte drzwi, w które pukał właśnie mężczyzna z wypielegnowaną brodą, patrząc na jej łóżko.

– Bardzo chciałbym porozmawiać z pacjentką – powiedział. – Jestem Rønholt z Wydziału Osób Zaginionych. Mogę wejść?

Zobaczyła, że Jesper wstaje, i znowu ogarnął ją niepokój.

– Nie odchodź!

– Nie, nie, nie bój się. – Jesper wziął ją za rękę. – Zostanę tu. Ale musisz porozmawiać z policją.

Czterech funkcjonariuszy celowało w niego z pistoletów. Pozostali trzymali ręce na kaburach.

Rozumiał ich niewypowiedziane słowa. Odczytywał ich mimikę i rejestrował czujne spojrzenia. Po zamknięciu samochodu podniósł obie ręce na znak, że mogą opuścić broń, lecz oni tego nie zrobili.

Wykręcili mu rękę na plecy. Bolało. Zwłaszcza kiedy żuchwą uderzył o maskę samochodu. Po szaleńczej jeździe silnik zdawał się płonąć.

Próbował unieść głowę, ale natychmiast przyciśnięto mu ją z powrotem i unieruchomiono.

– Mecenase Miklos Wedersøe – rozległ się głos z akcentem z południowej Jutlandii. – Jest pan zatrzymany pod zarzutem zabójstwa, zbezczeszczenia zwłok i uprowadzenia Isabelli Sachs-Smith.

Nic go nie zaskoczyło. Dziwne tylko, że policjant nie wspomniał o *Aniele śmierci*. Poczł kajdanki zaciskające się na nadgarstkach.

– Kto jest pana zwierzchnikiem? – spytał, gdy wreszcie pozwolono mu się wyprostować. – Jest pan z grupy negocjacyjnej czy z policji w Roskilde?

– Tym nie musisz się martwić – warknął funkcjonariusz, ujmując go za prawy łokieć. – Proszę wykonywać nasze polecenia.

Policjant miał jasne kręcone włosy, które szarpał wiatr, a z powodu gorączkowych czerwonych plam, zapewne wykwitłych na policzkach z podniecenia, wyglądał jak dzieciak. Widać było, że jest bardzo zdenerwowany.

Miklos szybko obejrzał pozostałych. Napięci, twarde spojrzenia. Od razu widać, że sprawa jest poważna. No ale jeszcze nie wiedzą wszystkiego, pomyślał. Już za chwilę będą musieli go puścić.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na ciszę. W przeciwną stronę niejechały już samochody. Szum silników ucichł. A więc odcięli cały obszar, pomyślał

z zadowoleniem. Minie trochę czasu, zanim korki się rozładują. Dzięki temu będzie miał większą swobodę, jadąc tam, dokąd zmierzał.

Z szeregu wystąpił jakiś starszy mężczyzna i mrużąc oczy, podszedł bliżej.

– Gdzie ona jest? – spytał Miklosa, nawet nie zerkając na stojącego obok funkcjonariusza.

Coś w jego tonie zirytowało adwokata. Mężczyzna zachowywał się bezczelnie, a sposób, w jaki mrużył oczy, kojarzył się z twardym szeryfem, który jednym ostrzegawczym strzałem w powietrze dopada bandytów. On zaś wyobrażał sobie, że rozmowa będzie prowadzona uprzejmym tonem, jak między normalnymi ludźmi. Postanowił więc uciec się do arogancji. Utkwił wzrok w wąskich szparkach oczu szeryfa.

– Kto dowodzi tą akcją? – spytał, dając do zrozumienia, iż wie, że to nie miejscowy szeryf zajmuje się uprowadzeniem. On tylko pilnuje bydła.

Tamten odpowiedział pytaniem:

– Chcesz zaczekać, aż wezwiemy świadków, zanim przeszukamy twój samochód?

– Nie – odparł, kręcąc głową. – Ale jej tam nie ma.

Zobaczył, że trzech policjantów zagląda do mercedesa.

– Trzeba otworzyć bagażnik! – zawołał któryś.

– Jeśli chcesz uratować życie tej dziewczynce, to pozwól mi porozmawiać z Nymandem – ciągnął Miklos, ignorując słowa tamtego. – Zakładam, że śledztwo wciąż prowadzi komenda w Roskilde.

Świadomie przypomniał, że odpowiedzialność za życie dziecka spoczywa na kimś innym. Teraz to od policjanta zależało podjęcie właściwej decyzji.

Szeryf wsunął ręce do kieszeni, zachowując kamienną twarz.

– Dasz nam kluczyki do samochodu czy mamy się włamać? – spytał.

Miklos liczył, że zdoła wynegocjować wolność, zanim zaczną sprawdzać auto. Poczuł, że znów zaczyna się pocić. Przez szyby nie dało się nic

zobaczyć. Ikona leżała w bagażniku.

– Przyda ci się dobry adwokat – mruknął szeryf, kiedy Miklos niechętnie podał mu kluczyki.

– Sam sobie poradzę – odparł, dziwiąc się, że policjant nie wie o tym, iż jest specjalistą od prawa karnego.

Kiedy otwierali, samochód dwa razy mrugnął światłami. Policjanci nachylili się nad bagażnikiem.

Obserwował ich, gdy kłapa powoli się unosiła. Jeden zajrzał do środka, uniósł też kołdrę, w którą owinięta była ikona, ale zaraz się wyprostował. Pokręcił głową, dając znak szeryfowi, i zamknął bagażnik. Najwyraźniej byli przekonani, że w środku zobaczą dziecko. Nic innego ich nie interesowało.

– Chcę rozmawiać z Nymandem albo z szefem grupy negocjacyjnej. – Miklos czuł, że powraca spokój. – Tej małej zostało niewiele godzin życia. Jeśli chcecie jej pomóc, musicie się spieszyć.

Zobaczył, że wyraz twarzy starszego mężczyzny się zmienia, jakby próbował ocenić, czy to nie blef.

– Mogę udowodnić, że żyje, jeśli pozwolicie mi porozmawiać z osobą odpowiedzialną za śledztwo.

Pozostali funkcjonariusze otoczyli ich ciasnym kręgiem, ale żaden się nie odzywał. Stali tylko wyczekująco.

– No dobrze – powiedział w końcu szeryf i skierował się do jednego z radiowozów. Funkcjonariuszowi, który ciągle trzymał adwokata za łokieć, polecił posadzić aresztanta z tyłu.

– Nie – zaprotestował Miklos. – Zostanę tutaj. – Nie chciał oddalać się od samochodu i od anioła. Znow poczuł na sobie taksujące spojrzenie. – Proszę dzwonić – ponaglił, nie ruszając się z miejsca.

Śledził starszego policjanta wzrokiem, gdy tamten oparł się o środkowy radiowóz i zadzwonił ze swojej komórki. Najwyraźniej nie chce prowadzić tej rozmowy przez policyjne radio, stwierdził Miklos i czuł, że zyskał

przewagę. Uda się. To oczywiste, że się uda.

Nie słyszał słów, ale widział, że szeryf zaczął mówić, a w końcu ruszył do niego z komórką w ręku. Skinieniem głowy polecił funkcjonariuszowi, który go przyprowadził, aby go rozkuł i podał mu aparat.

– Miklos Wedersøe – przedstawił się, kiedy Nymand podał mu swoje nazwisko. – Mam dziewczynkę. Dostaniecie ją, jeśli pozwolicie mi odjechać. Oczywiście pod tym warunkiem, że zastosujecie się do moich instrukcji.

– My nie działamy w taki sposób – oznajmił Nymand zimnym tonem, a Miklos aż się uśmiechnął. Temu tłustemu komendantowi wydaje się, że potrafi blefować.

– Oczywiście, że tak działacie – powiedział cicho. – Nie macie żadnego wyboru. Jestem jedyną osobą, która może wam wyjawić, gdzie ona jest.

Nie dopuszczą do śmierci dziecka. Przecież ludzkie życie jest najważniejsze. Zwłaszcza gdy chodzi o spadkobierczynię Sachs-Smitha. Czy on go miał za idiotę?

Cisza trwała bardzo długo, zaczął się już bać, że Nymand odłożył słuchawkę.

– Jakie są twoje żądania? – spytał wreszcie komendant.

– Kiedy pański kolega tutaj potwierdzi, że dziewczynka dziś rano żyła, pozwolicie mi odjechać. Za dwie godziny zadzwonię i powiem, gdzie ją znajdziecie. Ale – dodał czym prędzej – jeżeli w jakimkolwiek momencie zorientuję się, że jestem śledzony albo obserwowany, nie podam wam tej informacji.

– A jeśli nie zadzwonisz?

– To będę ściganą zwierzyną. A kiedy mnie zatrzymacie następnym razem, będziecie już wiedzieć, że nie mam żadnej kart przetargowej. Ale zadzwonię. – Zrobił chwilę przerwy, a potem jeszcze raz powtórzył to samo zdanie, które rozbrzmiewało mu w głowie całą drogę przez Zelandię i Fionię: – Nymand – powiedział. – To od ciebie zależy, czy wnuczka Sachs-

Smitha umrze, czy będzie mogła dalej żyć. Ale czas płynie, a wy go macie mało. – Wolną rękę wsunął do kieszeni spodni i wyjął małą kasetę. Oddał ją razem z komórką. – Jeśli ten facet mnie puści, to przyniosę odtwarzacz z samochodu.

Po rozmowie z Nymandem oczy szeryfa nie były już tak zmrużone. Dał znak, że dwaj funkcjonariusze mają podprowadzić Mikłosa do samochodu, sam zaś krótko odpowiadał na instrukcje udzielane mu telefonicznie przez komendanta z Roskilde.

Mikłos już z pewnej odległości otworzył samochód. Szedł demonstracyjnie wolnym krokiem, by zobaczyli, że nie ma zamiaru uciekać. Zresztą przecież by nie mógł. To była tylko taka gra pod publiczność. Mała cyfrowa kamera wideo leżała w kieszeni drzwi przy siedzeniu kierowcy. Kiedy ją wyjął i trzasnął drzwiczkami, zamknął samochód kluczykiem.

Obejrzelni nagranie kilkakrotnie, za każdym razem patrząc na niego, kiedy dziewczynka przestawała mówić. Przygotował klasyczną wersję z gazetą z bieżącego dnia, tak aby mogli mieć pewność, że film został nagrany dziś rano.

Szeryf znów zadzwonił do Nymanda, a minę miał jeszcze bardziej udręczoną. Mała nie wyglądała dobrze, przebywała w jakimś ciasnym miejscu. Dorosły człowiek nie zmieściłby się tam nawet skulony. Oczywiście pomogło też to, że płakała i wzywała matkę. Naprawdę świetne nagranie.

Poczuł na sobie nienawistne spojrzenie. To ten funkcjonariusz, który uderzył jego głową o maskę. Mikłos nic sobie z tego nie robił. Taki dzieciak nie będzie go osądzał.

– Musisz zrozumieć, że podjęcie tak ważnej decyzji wymaga czasu – powiedział starszy policjant, wykorzystując frazy znane z negocjacji.

Bzdura, pomyślał Mikłos, nieco rozbawiony tym, że szeryf z południa Jutlandii do tego stopnia może go nie doceniać. Pokręcił głową.

– Musicie mnie teraz puścić, inaczej ona umrze – oświadczył, nie



czekając, aż tamten wypowie się do końca. – Jej naprawdę zostało już niewiele czasu.

Policja usiłowała coś ustalić, a on popatrzył na puste pasy autostrady. Wiedział, że szeryf i Nymand kontaktują się również ze sztabem doradczym, który w zasadzie o wszystkim decydował i był odpowiedzialny za właściwe rozwiązanie. To właśnie tam musiano włączyć zielone światło, aby mógł jechać dalej. Ci miejscowi wieśniacy nie potrafiliby podjąć decyzji dotyczącej życia i śmierci, pomyślał i z zadowoleniem kiwnął głową, kiedy wreszcie wyglądało na to, że szeryf otrzymał ostateczne wskazówki.

– Chcę mieć dla siebie dwie godziny – powtórzył Miklos przekonany, że żaden z funkcjonariuszy nie mógł przez cały ten czas umieścić w jego samochodzie urządzenia umożliwiającego śledzenie. Zapewne nie zdołali w ogóle zdobyć odpowiedniego sprzętu, zanim wysłano ich na autostradę. Mimo to powiedział: – Macie mnie nie śledzić. Co do tego muszę mieć pewność.

Szeryf nie odpowiedział, tylko kiwnął głową, zgnębiony i jakby jeszcze starszy. Zapisał coś w notatniku wyjętym z wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Zadzwoń pod ten numer, gdy będziesz gotów powiedzieć nam, gdzie jest Isabella Sachs-Smith.

Dał znak swoim ludziom, by przestawili samochody, aby Miklos mógł przejechać.

– Wstrzymacie ruch jeszcze przez pięć minut po moim odejściu i pamiętajcie, najmniejsze wrażenie, że jestem śledzony, a stracie szansę na odnalezienie dziecka – oświadczył i ruszył do samochodu, napawając się doznaniem, że oto znów ma przewagę.

Deszcz lał z nieba strumieniami, kiedy dowodzący akcją wygonił wszystkich zwiedzających z katedry w Roskilde i rozmieścił w niej swoich ludzi. Na placu przed świątynią ludzie zbili się w grupki pod parasolami i z zaciekawieniem patrzyli, jak Nymand z podwładnymi ogradzają kościół i wchodzą do środka.

Telefon zadzwonił dokładnie dwie godziny po tym, jak policja z południowej Jutlandii została zmuszona do puszczenia Miklosa Wedersøego wolno. „Znajdźcie ją w katedrze”, tak brzmiała wiadomość wysłana, jak się wkrótce okazało, z Hamburga. Miklos Wedersøe był teraz za pośrednictwem Interpolu poszukiwany w całych Niemczech.

Czterech policjantów zaczęło przeszukiwać kościół, wciąż jednak czekano na psa tropiącego z przewodnikiem, który musiał dojechać z Lejre. Przed kościołem zaparkowała karetka, a trzech policjantów pilnowało ogrodzenia.

Louise wracała do domu po wizycie u Gerd i Mony w Svogerslev, kiedy zadzwonił Thiesen z informacją, że jest kontakt z Wedersøem. To właśnie szef grupy negocjacyjnej doradził Nymandowi, by puścił adwokata, z nadzieją że tamten pozwoli im odnaleźć dziecko.

– Lepiej, żebyśmy stracili jego niż ją – powiedział, gdy Louise spytała, czy naprawdę wierzy w to, że Wedersøe zadzwoni.

– A jeśli ona już nie żyje?

– I tak musimy ją znaleźć – odparł.

Musiła przyznać mu rację.

– Schodzimy do krypt! – zawołał teraz Nymand, wychodząc z kaplicy Trzech Króli.

Louise przekazała komendantowi, że Wedersøe był członkiem rady parafialnej, zatem najprawdopodobniej dobrze znał katedrę i wszelkie

możliwe kryjówki. Ona sama odwiedziła świątynię tylko raz z wycieczką szkolną. Było to już tak dawno temu, że nie pamiętała nic oprócz wielkiej nawy i długiej drogi do ołtarza.

Jeden z funkcjonariuszy pojechał do willi na Frederiksborgvej po różową nocną koszulę Isabelli. Louise widziała, że jest już na miejscu przewodnik z psem. Wilczur obwąchał nocną koszulę dziewczynki i zaczął ciągnąć do przodu. Kościelnego poproszono o otwarcie krypt zwykle zamkniętych dla zwiedzających. Gdy zaczęto poszukiwania, chodził za policjantami z zatroskaną miną. W rogu przy kaplicy rodziny Trolle kraty były otwarte, Louise słyszała, że przewodnik z psem są tam w środku. Kościelny nerwowo schował ręce do kieszeni i powiedział, że w katedrze spoczywają szczątki dwóch tysięcy osób.

– Siedemset pięć pochowano pod posadzką. – Wskazał szerokie rzeźbione kamienne płyty wmurowane w podłogę kościoła.

Louise przeszedł dreszcz. Odruchowo cofnęła się kilka kroków, nie chcąc stąpać po grobach.

– To był powszechny zwyczaj w czasach, kiedy kościół był katolicki – ciągnął mężczyzna, ale ona nie słuchała. Z krypty dobiegały głosy, a chwilę później pies wyszedł na górę. Zatrzymał się przy schodach w oczekiwaniu na pana, który wkrótce, kręcąc głową, oświadczył, że można zamykać.

Przewodnik z psem przesunęli się bardziej w przód, do południowej kaplicy pod wieżą, a Louise podeszła do ołtarza. Przy wysokim chórze, przy kolumnie, w którą ponoć wmurowano szczątki Haralda Sinozębego, kucnęła i zajrzała do krypty poniżej. Trumny pokrywał kurz, niektóre stały na niewysokich cokołach. Zamknęła oczy, nasłuchując. Czterech funkcjonariuszy przeszukiwało część muzealną, dostępną jedynie podczas zwiedzania z przewodnikiem. Z krypty nie dobiegał żaden dźwięk. Wstała i podeszła do następnej kraty. Zaczęła wołać:

– Isabella! Isabella!

Pies się zbliżył. Znajdowali się teraz w kaplicy Fryderyka V.

Przestraszyła się, gdy kościelny znów się odezwał:

– Tu jest krypta królewskich dzieci – wyjaśnił, wskazując na podłogę. – Pochowano tam szlachetnie urodzonych, którzy zmarli przedwcześnie.

Louise poszła za nim, kiedy ją otwierał.

– Ta jest większa od innych – dodał, szykując się do zejścia.

– Proszę tu zostać – powstrzymała go, mocno łapiąc za ramię.

Kurz pokrywał czarne trumienki ustawione jedna obok drugiej.

– Pies musi zejść pierwszy.

Kościelny cofnął się przepaszająco.

– Dostęp tutaj ma tylko personel – powiedział i znów schował ręce do kieszeni.

Policjanci zeszli po schodach.

– Na wieży też jej nie ma – stwierdził jeden z nich, patrząc, jak pies z przewodnikiem schodzą do krypty królewskich dzieci. To było ostatnie nieprzeszukane miejsce.

Louise usunęła się nieco na bok. Oparła się o szorstki ceglany mur, z całego serca pragnąc, by dziewczynka się znalazła. Nie było już gdzie jej szukać. Kościelny pokazał im wszystkie zamknięte pomieszczenia. Dodał jeszcze, że kiedyś planowano budowę tunelu do znajdującego się poza katedrą miejsca pochówku królowej Ingrid i króla Fryderyka IX, ale z tych planów nic nie wyszło. W katedrze nie było żadnych tajnych przejść ani ukrytych pomieszczeń.

– Nic z tego – oświadczył przewodnik, nagradzając psa, kiedy zakończyli poszukiwania. – Jej tu nie ma.

Louise zamknęła oczy i oparła głowę o mur. Nadzieja na odnalezienie Isabelli żywej się rozwiała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo wierzyła w to, że znajdą dziewczynkę w świątyni.

Nymand co kilka minut dzwonił na komórkę Wedersøego, ale ani razu nie udało mu się z nim skontaktować. Ukrył teraz twarz w dłoniach. Chwiały się na nogach.

– Przekłeta bestia! – powiedział, kiedy znów uniósł głowę.

Miklos Wedersøe zjechał z autostrady i skręcił na niewielkie miasteczko Wedel położone na zachód od Hamburga. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma dużo czasu.

Zanim zadzwonił na policję w Danii, pożegnał się ze swoim czarnym mercedesem. Ze smutkiem rozstawał się z samochodem wartym cztery i pół miliona, bo przecież miał świadomość, że auto wkrótce zostanie załadowane na lawetę i odwiezione na parking policyjny jako dowód w sprawie przeciwko niemu. Zostawił go z kluczykami w stacyjce w pobliżu dworca głównego w Hamburgu. Ikonę przeniósł do samochodu, który już tam czekał, bo Carl Emil upierał się przy takim rozwiązaniu. Czerwony opel nie był wyposażony w nawigację, Wedersøe musiał więc zaopatrzyć się w staroświecką mapę, która leżała teraz rozłożona na siedzeniu pasażera.

Po załatwieniu telefonu wyłączył komórkę. Nie mogli go namierzyć. W ogóle wszystko przemyślał dokładnie i doszedł do wniosku, że nie dadzą rady go wyśledzić. Po przelaniu pieniędzy zamierzał dojechać w głąb Niemiec, a potem pociągiem dotrzeć do Trewiru i stamtąd dalej do Luksemburga.

Będą go ścigać, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Zapewne już go szukają. A jeśli nie znajdą dziewczynki, zintensyfikują pogoń. Ale ona przecież była tam, gdzie powiedział. To tylko oni nie będą umieli jej znaleźć.

Ściemniło się, kiedy jechał przez miasto. Polecono mu pokonać jeszcze kilometr, kiedy je minie, a potem skręcić w lewo i dotrzeć do bramy z kutego żelaza na końcu alei. Do transakcji miało dojść w pewnym dworze na obrzeżach miasteczka. Osobiście wciąż nie miał kontaktu z kupującym, ale jego człowiek w Nowym Jorku wyjawiał wreszcie, że nabywcą jest Niemiec, który nie mieszka już w kraju.

Włączył długie światła i zwolnił, wpatrzony w licznik kilometrów. „Kilometr po wyjeździe z miasta”.

Z mieszanymi uczuciami szykował się do rozstania z *Aniołem śmierci*. Nie był zdenerwowany, ale spięty. Czuł też ulgę, że dotarł do celu. Przykro mu jednak było żegnać się ikoną. Pragnienie posiadania jej na własność było tak wielkie jak głód, którego nie można zaspokoić. Zagłuszało wszystko inne. Wyłącznie myśl o pieniądzach, o tym, że cała suma przypadnie tylko jemu, sprawiała, że nie towarzyszyło temu poczucie klęski. Nagle marzenie o posiadaniu prywatnej wyspy okazało się możliwe do zrealizowania. A wtedy wszelkie perspektywy będą stały przed nim otworem.

Poczuł ulgę na widok alei wysokich drzew z nagimi koronami. Nigdzie nie zauważył żadnej tabliczki, ale miał pewność, że dobrze trafił. Przyhamował i skręcił, nie włączając kierunkowskazu.

Od wyjazdu z miasteczka nie napotkał żadnego samochodu. Wciąż nie widział też dworu, a zanim dotarł do bramy, musiał jeszcze przejechać przez niewielki mostek. Jak fosa, pomyślał z podziwem.

Wysiadł z samochodu i pchnął ciężkie żelazne wrota. Gdy zaczęły się otwierać, zapaliły się lampy oświetlające drogę do przypominającego twierdzę budynku wzniesionego z kamieni. Prowadziło do niego ogromne wejście.

Z powrotem wsiadł do samochodu. Świeciło się w dwóch oknach koło schodów z prawej strony. Podjechał wolno i zaparkował, a wtedy zza rogu wyłonił się mężczyzna.

Miklos nie był zaskoczony tym, że na spotkanie wyszedł mu starszy siwowłosy człowiek podpierający się laską. Rysy jego twarzy skrywał mrok. Szedł powoli, jakby z trudem stawiając nogi.

– Witam – powiedział po angielsku bez niemieckiego akcentu.

Miklos ujął wyciągniętą rękę i kiwnął głową, gdy mężczyzna wyjaśnił, że lepiej, aby przejechał za dom, bo tamtędy łatwiej wnieść ikonę do środka.

W szczytowej ścianie budynku otwarte były drzwi z ciemnego drewna.

Szerokie schody prowadziły do środka.

– Prosiłbym, aby pan sam zechciał ją zanieść – powiedział siwowłosy mężczyzna, idąc przodem. – Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie zobaczę ten boski motyw. Przez tyle lat nikt nie miał pewności, czy witraż wciąż istnieje.

Miklos wyjął ikonę z bagażnika i wszedł za mężczyzną po schodach do dużego oświetlonego pomieszczenia z białymi ścianami i ciężkimi belkami na suficie. W oknach tkwiły grube kraty. Przez chwilę miał wrażenie, że rzeczywiście znalazł się w średniowiecznej twierdzy, ale tym, co naprawdę przykuło jego uwagę, były ułożone na stole banknoty. Euro. Stosy w starannych rzędkach.

Uśmiechnął się do mężczyzny, kiedy już z największą ostrożnością ułożył *Anioła śmierci* na płótnie rozłożonym na drugim końcu stołu. Starszy pan długo przyglądał się ikonie. Powiódł dłonią po żelaznej ramie i popieścił szkło.

– Wie pan, skąd mam pewność, że przywiózł mi pan oryginał?

Miklos pokręcił głową.

– Proszę wobec tego tu podejść.

Zbliżył się, kiedy starszek nachylił się nad szkłem.

– Wyczuwa pan te maleńkie ryski w dolnych lewych rogach wszystkich kawałków szkła?

Miklos nachylił się, by lepiej się przyjrzeć.

– Tego nie widać, trzeba je wyczuć palcami.

Rzeczywiście dała się tam wyczuć lekka nierówność.

– To jest dowód na prawdziwość szkła. W tamtych czasach tak właśnie je znaczone.

– To bardzo ciekawe. – Miklos pokiwał głową, ale zaczynał się już niecierpliwić. Pragnął jak najszybciej odjechać stąd z pieniędzmi.

– Chcę panu coś pokazać – powiedział mężczyzna i sięgnął po laskę, żeby wyjść z pokoju.



Idąc za nim, Miklos jeszcze raz rzucił okiem na pieniądze. Banknoty miały różne nominały, tak jak się umawiali.

– Myślę, że to pana zainteresuje – stwierdził mężczyzna. – Mam jeszcze inną drogocenną ikonę pochodzącą z tego samego okresu.

Miklos przeszedł za nim w dół schodami i korytarzem do niewielkiej, pogrążonej w mroku niszy na jego końcu.

– Proszę poczekać, zaraz zapalę światło.

Starszy pan zawrócił na schody.

Huk, który się rozległ, ogłuszył go, jakby tysiąc żelaznych prętów spadło z góry. Miklos odskoczył, barkiem uderzając o nierówny mur. Serce mu waliło, a kiedy się zorientował, że żadne światło nie rozproszy tych ciemności, zaczął krzyczeć. Z wściekłością podbiegł do kraty i zaczął ją szarpać. Rozejrzał się i stwierdził, że w lochu średniowiecznej twierdzy jest kilka pomieszczeń. Został zamknięty w pierwszym.

Usłyszał szurające kroki i wiedział, że starszy pan się zbliżył.

– Jak panu mogło przyjść do głowy, żeby wystawić jeden z najskrytniejszych skarbów kultury na sprzedaż? – spytał urażony. Teraz już Miklos wychwycił w jego głosie niemiecki akcent. – Szukałem *Anioła śmierci* przez całe swoje zawodowe życie. Codziennie przez sześćdziesiąt lat ta ikona w taki czy inny sposób pojawiała się w moich myślach. Nawet się panu nie śni, jak blisko jej byłem. Ale rodzina Sachs-Smithów nieustannie zaprzeczała, by ją miała. Co w takiej sytuacji robi mądry człowiek? – spytał.

Miklos znów zaczął krzyczeć i szarpać za zardzewiałą kratę.

– Mądry człowiek czeka – ciągnął niewzruszony staruszek. – W końcu pojawi się ktoś taki jak pan i przybędzie nam na ratunek. Pazerny i chciwy, gotowy poświęcić tak cenną dla historii świata rzecz, aby tylko zyskać więcej dla siebie. – Prychnął z pogardą i umilkł, jakby jego długo tłumiony gniew wreszcie znalazł ujście.

– Niech pan posłucha... – próbował Miklos. – Zadzwoń teraz do naszego wspólnego znajomego i jakoś rozwiążecie ten problem. On już

przelewa pańskie pieniądze na moje konto, więc nic pan nie zyska na przetrzymywaniu mnie tutaj. A witraż należy do pana.

– Niech pan dzwoni – odparł spokojnie staruszek. – Pieniądze to jedyna rzecz, jaka pana interesuje. Wie pan, ile lat ikona ta wisiała w Hagii Sophii, zanim stamtąd zniknęła?

Nie, cholera, nie wiedział, ale włączył komórkę i chociaż było ciemno, odnalazł numer telefonu do swojego kontaktu w Nowym Jorku. Odwrócił się plecami do staruszka i dosłownie kipiał z wściekłości, kiedy telefon zaczął dzwonić.

Dopiero po kilku sygnałach zorientował się, że aparat, z którym usiłował się połączyć, znajduje się tuż obok. Odwrócił się i zobaczył, że siwowłose starszy pan podszedł do samej kraty z komórką w rękę i podczas gdy Miklos przyglądał mu się zdumiony, staruszek odebrał telefon i zaczął mówić z bezbłędnym amerykańskim akcentem:

– Mamy problem – powiedział znajomym głosem i wyjaśnił, że właśnie otrzymał informację, że przelewu, niestety, nie udało się zrealizować.

Wściekły Miklos cisnął własną komórką o ziemię i z całej siły rzucił się na kratę.

– Łajdak! – wrzasnął, zdając sobie sprawę, że człowiek, któremu zaufał, tak go oszukał.

– A ty jesteś wstrętnym złodziejem – odparł staruszek. – Jutro ikona zostanie przewieziona do Stambułu. A latem, mam nadzieję, zawiśnie na swoim miejscu.

Odwrócił się i wyszedł z piwnicy.

Louise usiadła na ławce w katedrze i podwinęła nogi. Nagle zakręciło jej się w głowie. Gwałtowne zmęczenie ją zaskoczyło. Chyba dlatego, że wszyscy byli pewni, iż znajdą dziewczynkę w świątyni, a teraz wszelkie nadzieje zgasły, uderzyło z podwójną siłą. Nie mieli już żadnych śladów, nie było czym się kierować. Wiedzieli jedynie, że Isabellę uwięził szaleniec.

Łuk, pomyślała i przed oczami stanęła jej Mona Jepsen. W katedrze Roskilde były same łuki, ale dziecka ani śladu. Tyle przyszło z tego jasnowidztwa. Wstała i wyszła z kościoła. Przewodnik akurat zamykał bagażnik, w którym siedział pies. Nocną koszulę dziewczynki zostawił na półeczce z broszurami dla turystów. Louise obiecała mu, że ją stąd zabierze.

Na placyku wciąż tłoczyli się gapie. Mokli na deszczu, chociaż dla wszystkich powinno być jasne, że akcja już się zakończyła. Louise schyliła się i przeszła pod taśmami policyjnymi, zapięła kurtkę i z rękami w kieszeniach skierowała się ku ogrodzonemu terenowi, gdzie pochowano królową Ingrid i króla Fryderyka. Czuła, że przez chwilę musi pobyć sama, więc dalej szła wzdłuż murów świątyni aż do jakiegoś placu budowy.

Nikogo tu nie było, ale pustkę czuła głównie w sobie. Na moment ulgę przyniósł jej deszcz padający na twarz. Przynajmniej sama nie musiała płakać. Zatrzymała się, chcąc zwrócić twarz do nieba, gdy nagle dostrzegła łuk.

Łuk Absalona łączący katedrę z dawnym pałacem biskupim.

Po raz pierwszy w życiu miała szczerą nadzieję, że ktoś naprawdę potrafi coś takiego wyczuć. Podbiegła tam i stanęła pod wielką kamienną bramą, patrząc przed siebie. Ale przed łukiem nie było niczego oprócz złotego muru, który zamykał przejście na Stændertorvet. Zirytowana na siebie, że przyszła aż tutaj, wierząc w takie bzdury, zawróciła. Dostrzegła jakąś

kobietę z torebką na ramieniu, wychodzącą z budynku administracji, który stał tuż obok katedry, przy wejściu do siedziby dziekana. Gdy stanęła pod łukiem Absalona, miała widok wprost na zamurowane okno umieszczone tuż nad poziomem gruntu. Zachował się jego kształt. Tak jak okna w świątyni kończył się ostrołukiem.

Podbiegła do tego budynku i na mosiężnej tabliczce przeczytała, że pozostaje on pod administracją katedry, a mieści się w nim kancelaria rady parafialnej.

Minikoparka przejechała z ładunkiem gruzu, kiedy Louise biegła ku budynkowi z czerwonej cegły. Bez żadnego wyjaśnienia wyciągnęła Nymanda na deszcz.

– O co znów chodzi? – spytał ze złością komendant, kiedy poczuł krople na twarzy.

Za nim przyszło czterech funkcjonariuszy.

– Tutaj są pomieszczenia rady parafialnej. A Wedersøe miał do nich klucz – wyjaśniła, przytrzymując mu drzwi. – Musimy się dostać do piwnicy!

Przy biurkach personelu administracji kościelnej nikt nie siedział. Tamta kobieta musiała wyjść do domu ostatnia. Louise się rozejrzała.

– Tutaj są jakieś schody! – zawołał jeden z policjantów, pobiegła więc w głąb pomieszczenia.

Funkcjonariusz zdążył już otworzyć niskie drewniane drzwi prowadzące do kamiennej piwnicy. Schody były bardzo wąskie i strome.

– Tu nigdzie nie ma żadnego światła – stwierdził.

Louise zaczęła wołać Isabellę, ale nikt jej nie odpowiedział. Podeszedł Nymand i spojrzał w dół.

– Sama musisz tam zejść.

Dla niego korytarz był zbyt wąski, ale Louise nie miała nic przeciwko temu. Posuwała się po omacku. Ściany korytarzyka były lodowate i mokre. Czuć było pleśnią.

– Mamy latarkę! – zawołał Nymand, nachylił się i podał jej maglite.

Snop ostrego światła wydobył z mroku wilgotne kamienie. Korytarzyk się rozszerzył. Louise posuwała się naprzód, nie przestając wołać dziewczynki, i jej głos roznosił się echem. Starła się posuwać we właściwym kierunku, w stronę zamurowanego okienka, ale miała kłopoty z orientacją. Na podłodze w kilku miejscach były wybrzuszenia, musiała więc się schylać, aby nie uderzyć głową o sufit.

Zgięta w pół zmierzała ku przeciwległej ścianie, gdy nagle światło latarki wydobyło z mroku w kącie podłużną klapę w podłodze. Uklękła, próbując poruszyć żelazny rygiel, ale nie ustępował. Omiotła światłem przestrzeń wokół siebie. Na podłodze leżały cegły, które wypadły ze ściany. Usiadła, przyłożyła jedną z nich do rygla i kilka razy uderzyła w nią piętą. Zamknięcie wreszcie ustąpiło. Zawołała do Nymanda, że schodzi głębiej.

– Potrzebujesz pomocy?! – odkrzyknął.

Wstała, złapała uchwyt na klapie i pociągnęła. Pokrywa okazała się ciężka, ale nie stawiała oporu.

– Isabella! – zawołała, przyklękając, by oprzeć klapę na barku i całkiem ją otworzyć. – Isabella!

Przez chwilę czuła się jak idiotka, przecież żaden odgłos nie świadczył o tym, by ktokolwiek mógł tu być. Wokół panowała całkowita cisza.

Poświeciła na pomieszczenie. W tej piwnicy można było tylko się czołgać. A w dodatku trzeba było pokonać dwa stopnie w dół. Zorientowała się, że sama raczej się tu nie zmieści.

– Jest jeszcze pies?! – zawołała do Nymanda i uklękła, by zajrzeć głębiej.

Dziewczynka leżała na boku pod samą ścianą odwrócona tyłem do klapy i schodków. Ręce i nogi miała związane jasnymi paskami materiału.

– Isabella! – krzyknęła Louise jeszcze raz, ale nie doczekała się reakcji. – Ona tu jest!!! – zawołała do Nymanda i wstała. Zawróciła do schodów. – Ściągnijcie karetkę! Nie wiem, czy żyje.

Wróciła do otworu w podłodze, położyła się na brzuchu i spróbowała pełznąć. Latarkę ustawiła na stopniach. Na łokciach podczołgała się do dziewczynki, która wciąż leżała nieruchomo. Położyła jej rękę na ramieniu, cicho szepcząc jej imię. Ostrożnie obróciła ją na plecy. Ubranie dziewczynki było brudne i wilgotne. Louise zauważyła też irchę obok ust dziecka i wymiociny. A jeśli ona się udusiła? Dostrzegła zakrzepłą krew na buzi Isabelli. Przyłożyła rękę do piersi dziewczynki, a ucho do jej ust, ale nie mogła wyczuć oddechu.

Usłyszała za sobą jakieś odgłosy. Ratownicy schodzili z noszami. Musiała stąd wyjść, żeby zwolnić im drogę.

– Teraz już nie zostaniesz sama – szepnęła, chociaż nie wiedziała, czy mała ją słyszy. – Wszystko będzie dobrze.

Wyczołgała się tyłem, a potem obserwowała, jak ratownicy ostrożnie układają dziecko na płaskich noszach i przywiązują pasami, żeby mogli je wyciągnąć z tej ciasnej dziury. Nosze powoli przesunęły się po dwóch stopniach, a gdy wreszcie zatrzymały się na płaskiej posadzce piwnicy, ratownicy przystąpili do reanimacji.

– Czuję puls! – zawołał w końcu jeden i kazał szykować kroplówkę.

– Jest wyziębiona – stwierdził młodszy. – I może ma wstrząs mózgu. W każdym razie otrzymała parę ciosów w głowę.

– Przeżyje? – spytała Louise.

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

Wynieśli Isabellę po stromych schodach. Natychmiast podłączono jej kroplówkę i owinięto ją w grube koce.

Louise rozejrzała się za Nymandem.

– Odszedł zadzwonić do matki, żeby mogli się spotkać w szpitalu – wyjaśnił jeden z funkcjonariuszy, patrząc na nosze wsuwające się do karetki.

Właśnie wróciłem z kaplicy w Roskilde – zaczął Rønholt, kiedy Louise usiadła naprzeciwko niego w jego gabinecie. – Grete Milling chciała zobaczyć córkę.

Sama Louise przyjechała bezpośrednio z uroczystości zorganizowanej w komendzie dla uczczenia Willumsena. Trudno było powstrzymać się od płaczu, zwłaszcza że przyszła też jego żona w czarnej chustce zasłaniającej łysą głowę. Nie wszyscy z wydziału wiedzieli, że rozpoczęła kolejną chemioterapię, a wiele osób nie umiało się wobec niej zachować. Lęk przed kontaktem z nią jeszcze się wzmógł teraz, gdy nieszczęście dotknęło ją podwójnie.

Louise już wybierała się do domu, kiedy wezwał ją do siebie Suhr.

– To było bardzo trudne – stwierdził Rønholt, wrywając ją z myśli, które nie dawały jej spokoju od chwili, gdy naczelnik zamknął drzwi i oznajmił, że jej pierwszej chce powiedzieć, że wybrał już następcę Willumsena. Dodał, że jest to osoba, z którą Louise blisko współpracuje.

Natychmiast pomyślała o Henny Heilmann, swojej pierwszej szefowej, która teraz w centrali operacyjnej obsługiwała radio. Wspaniale by było, gdyby do nich wróciła.

– Usiłowałem ją przygotować, a nagie ciało córki zasłoniliśmy – ciągnął Rønholt. – Ale nie można się przygotować na coś, co jest tak straszne, a jednocześnie wydaje się tak żywe. – Ze smutkiem pokręcił głową i pogładził się po wypielegnowanej brodzie. – Musieliśmy później dać jej coś na uspokojenie. Dobrze, że towarzyszył jej ten nowy przyjaciel.

Louise wiedziała, że Melvin pojechał z Grete Milling. Prosiła go, żeby zajął się Jonasem po powrocie ze szkoły, ale sąsiad z wyrzutami sumienia wyznał, że już się umówił.

– Bardzo chciałbym sam wznieść toast za Willumsena – powiedział

Rønholt, patrząc na nią. – Ale czułem, że nie mogę, dopóki nie porozmawiamy.

Louise uniosła brew, nie bardzo rozumiejąc, o czym on mówi. Po spotkaniu z naczelnikiem zmęczenie przytłoczyło ją ze wzmożoną siłą. Przed południem była u Nymanda. Isabella po nocy spędzonej w szpitalu odzyskała przytomność. Była bardzo wychłodzona, ale jej życiu już nic nie groziło, a ordynator oddziału dziecięcego zapewnił rodzinę, że fizycznie nic nie będzie jej dolegać.

Rønholt złożył dłonie, nie przestając wpatrywać się w Louise. Patrzył z powagą, której nie rozumiała, dlatego niespokojnie poruszyła się na krześle.

– Byłem bardzo zadowolony z twojej pomocy – powiedział. – Liczymy, że Miklos Wedersøe w ciągu najbliższego tygodnia zostanie przeniesiony do duńskiego aresztu. Ten staruszek, historyk sztuki, ma całą korespondencję z adwokatem i potrafi udokumentować planowanie transakcji. Ten człowiek dzięki swoim znajomościom przez całe życie szukał ikony na całym świecie, więc gdy tylko pojawiła się nowa informacja o *Aniele śmierci*, natychmiast do niego dotarła. Zorientował się, że Carl Emil usiłuje wysądować kolekcjonerów, i od razu zgłosił się jako osoba zainteresowana, a jednocześnie jako pośrednik.

Louise pokiwała głową. Już to wszystko słyszała od Walthera Sachs-Smitha, któremu w pewnym sensie ulżyło, że to właśnie ów historyk sztuki, od którego opędzał się przez tyle lat, zaczął działać, gdy jego syn postanowił sprzedać ikonę. Od Nymanda wiedziała też, że Walther wynajął całą ekipę adwokatów, których zadaniem było zgromadzenie wszelkich dowodów przeciwko Wedersøemu, tak aby nikt nie miał żadnych wątpliwości, gdy jego sprawę będzie rozpatrywał sąd.

– Szczególnie doceniam twoje zaangażowanie w historię Jeanette Milling, w której kompletnie utknęliśmy – ciągnął Rønholt.

Louise założyła nogę na nogę, patrząc mu w oczy. Zupełnie nie



wiedziała, do czego zmierzał.

– Ponieważ nasz wydział został w zasadzie bardzo okrojony, nie mamy możliwości zajęcia się starymi sprawami – ciągnął – chociaż wszyscy mają świadomość, że przynajmniej za niektórymi z nich może kryć się przestępstwo.

Louise dobrze wiedziała, że spośród półtora tysiąca osób zaginionych rocznie średnio pięć mogło paść ofiarą przestępstwa, a może nawet więcej, bo Rønholt i jego zespół nie mieli środków, by się w te sprawy odpowiednio zagłębić. Wydział Osób Zaginionych poświęcał czas głównie na prowadzenie krajowych rejestrów takich przypadków oraz asystowanie przy identyfikacji zwłok. Współpracował też oczywiście z Interpolem w sprawach cudzoziemców znalezionych w Danii i Duńczyków znajdujących za granicą.

– W naszym wydziale rejestrujemy zgłoszenia napływające z całego kraju i oceniamy, które sprawy należy zbadać wnikliwiej. – Urwał na chwilę, patrząc na nią. – Co ty na to, że Michael Stig obejmie szefostwo grupy po Willumsenie? – spytał, nagle zmieniając temat. Poczęstował Louise miętową pastylką i odłożył pudełeczko, przyglądając jej się uważnie.

– Jestem wściekła – przyznała szczerze. – Nie spodziewałam się tego. Ale on jeden spośród nas ukończył wstępny kurs zarządzania w policji, więc skoro nie ktoś z zewnątrz, to musiał być on.

– Po rozwiązaniu tej sprawy mam zezwolenie na utworzenie niewielkiej jednostki specjalnej – Rønholt znów wrócił do wcześniejszego tematu. – Jeden śledczy i jeden kierownik.

Louise się nachyliła.

– To ma być specjalna jednostka do spraw zaginięć, która będzie się zajmować niewyjaśnionymi dotychczas sprawami – wyjaśnił. – Sprawami osób zaginionych.

– A kto będzie tym kierownikiem? – spytała Louise i sama sięgnęła po kolejną miętówkę, bo nagle zupełnie zaschło jej w ustach.

– Ty – odparł Rønholt z powagą. – Jeżeli dasz się wyciągnąć z Wydziału Zabójstw.

Tak, to się mogło udać. Po minie Suhra poznała, że wiedział, iż nie będzie zadowolona z tego, że Michael Stig zostanie jej szefem. Ale decyzja już zapadła. Suhr mógł się wstrzymać i naradzić z grupą, sam jednak o wszystkim zdecydował, co nasunęło Louise podejrzenia, że jej kolega już dawno został wybrany na to miejsce i miał awansować w odpowiednim czasie. A ten czas właśnie nadszedł.

– A kim będzie ta druga osoba? – spytała, czując nagle ściskanie w żołądku.

Oczywiście propozycja bardzo jej pochlebiła, lecz jednocześnie ogarnęła ją niepewność. Zupełnie nowa jednostka, którą miałyby stworzyć i za którą miałyby odpowiadać... Gdyby została w Wydziale Zabójstw, na czym jej kiedyś tak bardzo zależało, czułaby się pewnie. Pomyślała jednak o Jonasie. Nie mogła dłużej pracować w taki sposób, ciągle nieobecna, i to teraz, kiedy chłopiec tak bardzo jej potrzebował.

– Sama zdecydujesz, kogo weźmiesz – odparł Rønholt. – Oczywiście będziesz miała dodatek do pensji za kierowanie jednostką.

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko przed siebie, a myśli krążyły jej po głowie. Kierownik jednostki. Rønholt musiał się mocno nagłowić, aby wymyślić taki tytuł, żeby mogła szefować bez ukończonego kursu zarządzania.

– Namysł się nad tym do poniedziałku. Ale wtedy muszę już mieć odpowiedź.

Louise wolno skinęła głową i wstała.

– Czy to oznacza, że w tej jednostce będą tylko dwie osoby?

– Tak – odparł Rønholt, patrząc na nią z powagą. – I okres próbny sześć miesięcy.

– Co to oznacza?

Przepraszająco wzruszył ramionami.

- Że tyle mamy czasu na udowodnienie, że taka jednostka jest potrzebna.
- A co potem?
- Zobaczymy, czy będziemy mogli działać dalej.
- A jeśli nie, to będę mogła wrócić do Wydziału Zabójstw?
- Tego, niestety, nie będę mógł ci zagwarantować.

Louise włożyła kurtkę i pomyślała o Jonasie. Naprawdę miałyby więcej czasu dla niego.

– Kiedy miałabym zacząć? – spytała.

– Sama zdecydujesz, byle tylko wydział zaczął działać, zanim administracja zmieni zdanie.

Przez chwilę stała, przyglądając się wypielegnowanym orchideom na parapecie.

– Zgadzam się – powiedziała. – Jeżeli mogę zacząć w poniedziałek od tygodniowego urlopu.

Nowy szef spojrział na nią zdziwiony.

– Potrzebuję czasu dla chłopca, którego zostawiłam w trudnej sytuacji – wyjaśniła.

– Myślę, że to da się załatwić. – Rønholt kiwnął głową i ruszył do drzwi, żeby je elegancko przed nią otworzyć. – Wobec tego sam zajmę się zorganizowaniem biura. – Wskazał na drugi koniec korytarza. – Będziecie mieć siedzibę w gnieździe szczurów.

Louise znieruchomiała w drzwiach.

– Tak było kiedyś – uspokoił ją. – Niżej jest kuchnia. Szczurów nie ma już od dawna, ale nazwa została.

Akurat w tej chwili Louise było wszystko jedno, gdzie będzie pracować, byle tylko w pobliżu nie było Michaela Stiga.

Zrobiła kilka kroków korytarzem, ale Rønholt jeszcze ją przywołał.

– Czy moglibyśmy już teraz załatwić formalności? – spytał.

Trzymał w ręku dwie kartki, które jej podał. Wzięła je i czytając, zaczęła się uśmiechać. „Specjalna jednostka do spraw poszukiwań zaginionych

obywateli duńskich, kierownik jednostki Louise Rick” – widniało na samej górze.

– Już zdążyłeś to przygotować? – spytała zdumiona. – To chyba oznacza, że już rozmawiałeś z Suhrem!

– Owszem, pozwoliłem sobie to napisać – przyznał, lekko wzruszając ramionami. – Chciałem, żebyśmy zaczęli jak najszybciej, jeśli się zgodzisz.

Louise schowała opis stanowiska do torebki, uścisnęła dłoń Rønholta i kręcąc głową, zawołała:

– Wiedziałeś, że się zgodzę!

## PODZIĘKOWANIA

Serdeczne podziękowania dla wszystkich, którzy z taką otwartością i sympatią poświęcili czas na to, by pomóc mi w zbieraniu materiałów do książki.

*Zwiastun śmierci* to fikcja. Wszystkie wątki wykluky się w mojej wyobraźni, podobnie jak bohaterowie powieści, którzy nie mają pierwowzorów w rzeczywistości. Jedynie historia Hagii Sophii w Stambule mniej więcej zgadza się z rzeczywistością, chociaż – przynajmniej z tego, co wiem – w bocznej nawie nigdy nie było witraża przedstawiającego archanioła Gabriela.

Sara Blædel